



POSAG.

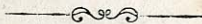
Kopi 40.

POSAG

POWIEŚĆ

PRZEZ

Jana Zacharjasiewicza.



161



Władysław Lewoniewski

WARSZAWA

Nakładem Michała Glücksberga księgarza,
ulica Krakowskie - Przedmieście Nr. 7 (411).

1872.

(-)



268797

Дозволено Цензурою.

Варшава 14 (26) Января 1872 г.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0145607

W/163/03

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr. 20.

I.

Domom Warszawy nakazano przywdziać nowe sukienki. Jakkolwiek rozkaz ten miał na celu upiększenie miasta, nie wszystkim jednak właścicielom przypadł do smaku. Jednym żal było naruszyć uskładanego grosza, inni nie mieli z czego naruszać. Mimo to wszystko domy zaczęły się stroić jak kobiety w szaty godowe, jedne z nietajoną kokieteryą marząc o gościach i lokatorach dostojnych, drugie ubierały się ze łzami w oczach, jak na ślub ubiera się panna młoda, której serce marzy o innym.

W jaskrawe szaty przybrał się jeden dom przy ulicy Mostowej. Właściciel domu niski, szpakowaty, kwadratowej postaci mężczyzna, stał właśnie na ulicy, patrząc na ukończone dzieło mularza.

I w rzeczy samej było na co patrzeć. Dom dwupiętrowy o czterech oknach frontowych, był wymalowany na czerwono-żółtawy kolor, miał prócz tego popielate gzemsy i dolny szlak jasno-szafirowy.

Właściciel domu z dumą patrzył na dzieło swego pomysłu, a był jeszcze dumniejszy gdy sobie przy-

Posag.

1

omniał, że pomysł ten przyprowadził do skutku mimo wojny domowej, jaką z tego powodu przebyć musiał.

— I niechże mi kto powie, mówił do siebie, że to cudownie nie wygląda. Ściany jak żółtko na twar-
do ugotowane, gzemsy jak perły zamorskie, a szlak dolny jak pas słucki u kontusza! Spadł tylko na dół, bo też dzisiaj i brzuchów dawnych niema!

— A co panie Izajasz, zauważył sąsiad rybak z zawodu, z krótką fajeczką w zębach — kamienica wasza więcej *bryluje*, niżeli zamek królewski!

— Ba — odparł pan Izajasz.

— Farba droga! Żółto-czerwona!

— Nieszczędziło się pieniędzy! Ale zato niech mi się zjawi lokator do tych dwóch pokoików! Musi zapłacić za farbę, za malarza i za moje kłopoty, które miałem z żoną i córką.

— Z żoną i córką?

— Tak jest z żoną i córką! Wyobraźcie sobie, Tomasz, córka moja powiada, że to kolor obrzydły, że w takim domu niegustownie pomalowanym nawet wstyd jest mieszkać. I matka była zrazu tego zdania. Ale człowiek w ciemę nie bity, wzięłem się na sposób. Poróżniłem matkę z córką i matce obiecałem z podwyższenia najmu za dwa pokoiki sprawić nowy szlafrok. Tym sposobem przeszła do mego obozu, a córka została sama. A teraz trzeba nowego lokatora dobrze pociągnąć, aby i szlafroczek był i koszt się wrócił za farbę! Niżej tysiąca złotych nie dam, choćby był rodzonym bratem!

— Tysiąc złotych! To zawiele!

— Klnę się na świętego Izajasz, że ani tymfa nie spuszcze!

— Zartujecie!

— Daję wam słowo, że psem mnie nazwiecie, jeżeli ustąpię!

— Przecież u was o grosz nie trudno.

— Gdzie tam! Gdzie tam! Człowiek biedny, wiąże dwa końce jak może! Dawniej to można było zarobić, dzisiaj handel nie idzie, Gdańsk drzewa nie potrzebuje.

— Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi!

— Żarty, żarty, panie Tomasz! Zarobiliście na stawach, to wam dobrze żartować!... Ale któż to przed nas zajeżdża?

Przed nowo wymalowaną kamienicą stanęła w tej chwili dorożka z jakąś sędziwą, czarno ubraną matroną. Obok niej siedział młody, dwadzieścia kilka lat mający mężczyzna.

— Czy tu jest mieszkanie do najęcia? zapytała sędziwa kobieta.

Pan Izajasz wytrzeszczył szeroko duże cebulaste oczy, jakby nagle przytomność umysłu stracił.

— Czy jest mieszkanie do najęcia? powtórzyła nieznajoma.

— Pomieszkanie?... Pomieszkanie?... bełkotał pan Izajasz i szeroką dłonią muskał po czole, jakby zamtąd chciał coś zetrzeć. — Aha, pomieszkanie!

Nieznajoma zmarszczyła brwi.

— Cóż to! Czy nie wyraźnie mówię? rzekła gniewnie — chcę mieszkanie nająć!

Pan Izajasz patrzył ciągle tym samym wzrokiem. Zdawało się, że nieznajoma sprawiła na nim jakieś niezwykłe wrażenie.

— Moja matka pyta się o mieszkanie, ozwał się młody mężczyzna, który w dorożce siedział.

— Tak, tak... o mieszkanie, wiem, wiem! bełkotał pan Izajasz i otworzył szeroko gębę.

— Sąsiedzie, przyszedł mu w pomoc rybak, ci państwo chcą pomieszkać!

— Cicho bądźcie! Do kroćstotysięcy! ofuknął sąsiada pan Izajasz, co wam do mego domu?

— Tam do kata! Czy oszalał? mruknął sąsiad.

Tymczasem nieznajoma wysiadła z dorożki i wraz z młodym mężczyzną zwróciła się ku sieni domu.

Widząc to, pan Izajasz pośpieszył za nią.

— Jest pomieszkanie, zawołał w sieni, ale to będzie zaszczerpane dla wielmożnej pani...

— Potrzebuję małego pomieszkania.

— To jest ubogie, bardzo ubogie mieszkanko.

— Nie jestem bogatą.

Pan Izajasz zatrzymał się w sieni, jakby nieznajomej dalej puścić nie chciał. Rozrzewnienie mało wało się na jego twarzy.

— Z wielu izdebek składa się to mieszkanie, zapytała nieznajoma, nie patrząc wcale na pana Izajaszka.

— Zaledwie z dwóch i jednej kuchenki! odpowiedział pan Izajasz, a głos jego drżał widocznie.

— W sam raz dla nas!

— Ale... przepraszam... ale...

— Co za ale? Można przecież obejrzeć!

— Tak... tak... można, ale... te izdebki są za drogie!

— Są drogie? Będę się targowała! A gdzie właściciel?

— Właściciel nic nie ustąpi... ręczę wielmożnej...

— A gdzie mieszka właściciel.

— Właściciel... mieszka na drugim piętrze!

— Chodźmy do niego!

Pan Izajasz nie miał innego wyboru, jak tylko razem z nieznajomą udać się na drugie piętro. In-

nego sposobu w trudnym swoim położeniu nie mógł wymyślić.

Gdy wszyscy na korytarz drugiego piętra weszli, spoczęła chwilę nieznajoma, aby odetchnąć.

Zdaje się, że posłyszała pani Izajaszowa kroki idących, bo otworzywszy drzwi, wyjrzała na korytarz.

— Chcę obejrzeć mieszkanie do najęcia, rzekła do niej nieznajoma.

— Izajasz! Czy słyszałeś? odpowiedziała małżonka.

— Chciałabym widzieć samego właściciela!

— Mój mąż jest właścicielem! Izajasz!

Izajasz stał ciągle oszołomiony. Otworzył głowę, wytrzeszczył oczy i patrzył ciągle w twarz nieznajomej.

Nieznajoma zaś powzięła dziwne wyobrażenie o panu Izajaszku. Zdawało się jej, że widzi idyotę przed sobą.

Uśmiechnęła się do niego.

— Więc to pan jesteś właścicielem tego domu? Czemuż pan tak nieogłędnie obchodzi się z lokatorami i ganisz im własny dom swój?

Pani Izajaszowa zmarszczyła brwi na męża. Pan Izajasz oprzytomniał nagle, widząc na czole małżonki tę dobrze mu znaną chmurkę gradową.

— Proszę państwa z sobą, zawołał nagle i wyjął klucz z kieszeni granatowej kapotki.

Współwłaścicielka domu przeczuła jakieś nie-szczęście. Nigdy jeszcze nie widziała małżonki tak dziwnie zafrasowanego przybyciem nowych lokatorów.

Zarzuciwszy lekkie okrycie na ramiona, zbiegła szybko po wschodach, aby być świadkiem i pomocą

przy najmie mieszkania, z którego miał się jej dostać, jako poręczawiczne — nowy szlafrok.

Na pierwszym piętrze zastała wszystkich, oglądających dwa pokoiki i kuchenkę.

— Ja zaraz powiedziałem, że zaszczupłe dla wielm...

Pani Izajaszowa trąciła męża energicznie łokciem i rzekła, przerywając mu:

— Przecież każdy widzi co bierze! Co tobie do tego!

— Izdebki wprawdzie małe, ale dla nas wystarczają, zauważyła nieznajoma.

— Jabym jednak nie radził... zawołał pan Izajasz i błagalnie spojrzał na żonę.

— Co ty tam pleciesz! ofuknęła pani Izajaszowa.

— Chciałem powiedzieć, że izdebki za... drogie!

— Dzisiaj wszystko drogie!

— Chciałabym jednak wiedzieć, wiele za te pokoiki?

— Nie radzę nawet pani pytać wielm...

— Izajaszu! Co tobie dzisiaj?

— Musiałbym wziąć od wielmożnej pani... tysiąc złotych!

Pan Izajasz odetchnął głęboko, jak człowiek, który już zdobył się na krok stanowczy. Spojrzał z pewną dumą na żonę, jakby żądał od niej nagrody za czyn heroiczny.

— Tysiąc złotych! powtórzyła nieznajoma — to zawiele!

— Ja sam powiadam że zawiele!

— To nie warto!

— Sam powiadam że nie warto! Dlatego na-przód mówiłem, że nie radzę, że odradzam...

Pani Izajaszowa nie wiedziała teraz co się z mę-

żem zrobiło. Czy rozum stracił, czy zgłupiał nagle?

Trąciwszy go jeszcze energiczniej łokciem pod żebrą, rzekła ze słodkim uśmiechem:

— Niech państwo nie zważają na to co mój mąż mówi. On lubi czasem kpić sobie z ludzi!... Pokoje są czyste i widne, tysiąc złotych każdy da za nie!

— Wierzaj mi pani, że i osiemset nie wartę! repugnował z widoczną energią pan Izajasz. — Na Krakowskiem dostanie za te pieniądze, a tu na Mostówce...

— Widać, że pan nas niechętnie przyjmujesz! rzekła nieznajoma i spojrzała z uśmiechem na syna.

— O, jak najchętniej, wielmożna pani, odparł pan Izajasz i chciał nawet nieznajomą w rękę pocałować, — o jak najchętniej, tylko... tylko... te izdebki za-drogie!

— To niech pan opuści.

— Opuścić?... Nie mogę, dalibóg nie mogę! Farba, malarz, wapno... dalibóg nie mogę! Gdzieindziej może pani daleko taniej znaleźć.

Pani Izajaszowa załamała ręce i smutno spojrzała na męża.

— Siedemset złotych! rzekła nieznajoma.

— Więcej ani szeląga nie warte te izdebki! skwapliwie dodał pan Izajasz.

— On tylko tak żartuje! przerwała pani Izajaszowa, nadeptując małżonka na nogę.

— Nie, kochanie, nie żartuję! Jak mi Bóg miły, nie żartuję! A gdzież jabym śmiały żartować z wielmożnej pani...

— Więc zgoda za siedemset! zawołała z uśmiechem nieznajoma, patrząc na syna.

— Jeśli wielmożna pani koniecznie chce w tych

ubogich izdebkach mieszkać, to... to zgoda! westchnął pan Izajasz, a łyzy stanęły mu w oczach.

Pani Izajaszowej stanęły także łyzy w oczach, ale trudno odgadnąć, czy z tego samego powodu co mężowi. Czy utrata obiecanego szlafroka wycisnęła te łyzy z oczu poczciwych małżonków?

Pani Izajaszowa nie chciała dłużej być świadkiem sceny której nie pojmowała. Odwróciła się szybko, wybiegła na drugie piętro i zatrzasnęła głośno drzwi za sobą.

Trzask drzwi rozległ się głucho po pustych murach. Dwa razy powtórzyło go echo, a potem nastała cisza ponura, grobowa, zwiastująca panu Izajaszowi złowrogie następstwa.

Otarł zimny pot z czoła, patrzył czas niejaki to na nieznajomą, — to na młodego przy niej stojącego mężczyznę, a potem rzekł:

— Niech się wielmożna pani nie dziwi mojej żonie. Poczciwa to i dobra kobieta, ale o świecie tyle tylko wie, co z okien domu na Mostówce obaczy! Człowiek zna... całą Wisłę i kawał morza nawet za Gdańskiem!

— Więc mogę dać zadatek? przerwała nieznajoma.

— Nietrzeba! Wcale nietrzeba! Przecież ja...

— Ale dla mojej pewności... zaraz muszę się sprwadzić!

— A... tak, prawda! Wielmożna pani mnie... nie zna! A ludzie, to różni bywają! W samej rzeczy, trzeba zadatku.

Nieznajoma wyjęła sto złotych.

Pan Izajasz wziął pieniądze z ręki podanej, wziął i rękę przyłożył do ust i dziesięć razy serdecznie pocałował.

Nieznajoma cofnęła szybko rękę i otarła ją z łez pana Izajasza, które tenże mimo jej wiedzy tamże zostawił.

— Podochocił sobie biedak, rzekła w powrocie do syna, i oślinił mi całą rękę.

— Jeszcze o zadatku gotów zapomnieć, odpowiedział młody mężczyzna i rzucił okiem na dom jakskrawo pomalowany, z którego górnych okien wyjrzała teraz główka młodej dziewczyny.

A sąsiad Tomasz, zamożny rybak, stał na ulicy z małą fajeczką w ustach i z dziwnym uśmiechem patrzył na wracającą dorożkę, która nowych lokatorów wiozła ku kościołowi Paulinów.

Ponieważ jednak z tej dorożki nie wyczytać nie mógł, coby mu tak dziwne zachowanie się pana Izajasza wytłumaczyć mogło, odchrząknął więc kilka razy, otarł wąsy i powoli wszedł do domu sąsiada, aby w gronie rodziny szukać klucza do tej ciekawej zagadki.

II.

Drugie pięterko, do którego właśnie sąsiad Tomasz dążył w tej chwili, składało się z kilku małych izdebek i jednego dość obszernego pokoju. Ten pokój miał urządzenie dosyć wykwintne. Sute firanki wisiały u okien, podtrzymywane grubymi sznurami z wełny czerwonej. Przystarzałego fasonu kanapa, ale grubą jedwabną materią pokryta, rozpieierała się z pychą dorobkowicza między dwoma oknami. Przed nią stał w nieustannej służbie wyprostowany jak najemny lokaj, lub jak mąż posagiem żony kupiony — stół mahoniowy, bogato w rzeźbę opatrzony. W koło niego ugrupowały

się różnego pochodzenia krzesła, fotele i karły, jako przyjaciele domu. Jedne podziwiała rzeźbę służącego stołu i to, co na tym stole czasem podawano, inne adorowały bogaty adamaszek kanapy i wypukłe świeczki z kości słoniowej.

Prócz dużych zwierciadeł wisiały na ścianach obrazy olejne w złoczonych ramach, a niektóre z nich były nawet lepszego pochodzenia.

W kącie opierał się o ścianę fortepian, a otworzona klawiatura i rozłożone na pulpicie nuty okazywały, że nie jest tutaj tylko meblem zwyczajnym.

Młode paluszki, które przed chwilą wydobywały z niego jakieś zagraniczne melodie, jak zwykł mawiać sąsiad Tomasz, spoczywały teraz na kolanach młodej kobiety, która najwięcej mogła liczyć lat dwadzieścia.

Była to córka pana Izajasza. Twarz jej nie odznaczała się ani szlachetniejszym wyrazem, który oczy porywa, ani spokojną regularnością rysów, jakie w posągach marmurowych uwielbiamy. Była tam tylko młodość a nie więcej. Tak przynajmniej wydawała się na pierwszy rzut oka jedynaczka pana Izajasza.

W tej chwili nawet twarz jej była wcale niepojętną. Dwa grube zmarszczki przecięły jej czoło, któremu niemożna było odmówić rozsądku. Nos spuszczone na dół przedłużył się jeszcze więcej, a zaszeroko rozkrajane usta wygięły się do góry końcami i wyglądały jak księżyc w ostatniej kwadrze. W czarnych tylko oczach błyskało milutkie światelko, a nawet od czasu do czasu strzelało tak pięknym połyskiem, że najwprawniejsza zalotnica mogłaby go pozazdrościć.

Ubiór zato jedynaczki pana Izajasza był nadzwyczaj gustowny, chociaż w rzeczywistości był bardzo prosty. Lekka tiunika z jasnej wełnianej materii, na pół opięta, na pół fałdzista uwydatniała zgrabną kibić. Z pod długiej sukni wychylał się mały bucik oparty o pedał fortepianu.

Po pokoju szybkim krokiem chodziła niskiego wzrostu a dobrej tuszy kobieta. Miała twarz gładką, wypełnioną, ale bez żadnego wyrazu. Usta szerokie, pospolite, okazywały instynkta więcej realne. Ubiór jej był pretensjonalny, ale bez wyższego smaku. Stare, brudne rękawiczki z podciśnianemi palcami, miały chronić rękę od szkodliwego wpływu powietrza i słońca.

W tej chwili przybrała jej twarz kolor karmazynowy, okragłe bezmyślne oczy błyszczały ogniem nieprzyjemnym.

Na pierwszy rzut oka można było poznać, że to jest matka siedzącej przy fortepianie jedynaczki. Rysy matki powtarzały się w córce, były jednak wykształceniem i wychowaniem więcej uszlachetnione. Dla wprawniejszego oka uwydatniał się nawet pewien kontrast jaki był między niemi. Widocznie odbiegła córka matkę wyższem wykształceniem, a ta nie mogąc za nią zdążyć, zajmowała często względem swojej jedynaczki stanowisko nieprzyjacielskie.

— Tobie tylko granie w głowie, wołała w gniewie roztrzając krzesła i fotele; abyś tylko mogła brzdąkać na klawikordzie, to już ci nie więcej nie trzeba. A ja mam domowe kłopoty, mam umartwienia, o które nawet nie zapytasz! Czy słyszysz Elżusiu?

— Słyszę, mateńko, odpowiedziała Elżusia cofając z klawiatury paluszki na kolana.

— Ja muszę się trapić, muszę we wszystko wglądać, prawda dalej pani Izajaszowa. Wczoraj musiałam sama żyda z piwnicy wyrzucać, który już za trzy kwartały nie zapłacił, a ty nawet nie zapytałaś się o to!

Elżusia westchnęła. Wyraz cierpienia przebiegł po jej twarzy.

— Cóż ja tym kłopotom poradzę, mateczko?— odpowiedziała i spuściła smutno głowę.

— Właśnie dlatego mówię, że nie radzić nie chcesz. Gra swoją drogą! Można coś zagrać, gdy są goście, aby pokazać żeśmy na twoją edukację pieniędzy nie żalowali, można czasem jaką historyjkę z książki poczytać— ale zasiać na cały dzień do fortepianu, otoczyć się nutami i książkami, to tylko wielkie panie tak robią! Nam dzięki Bogu jeść nie brakuje, mamy dwoiste mięso na obiad, ale przecieć do tych pańskich fanaberyj to nam daleko jeszcze.

— Wszak zawsze się pytam, czy mateczka ma dla mnie co do roboty.

— Prawda że pytasz. Ale cóż z tego! Gdy tylko spojrzę na ciebie, jak się wystroisz i minkę pańską przybierzesz, to wolę już sama zrobić a tobie dać pokój!

Elżusia znowu westchnęła.

— Czy myślisz, że będziesz piękniejszą, gdy się wystroisz? Czy sądzisz, że te głupie fatałaszkki przysporzą ci urody? Mylisz się. Jesteś podobna do ojca na twoje nieszczęście!

W oczach Elżusi błysnęły łzy.

— Piękną nie jestem, mateczko — odpowiedziała cichym głosem, ale jest inna, wyższa piękność, piękność duszy. O tę piękność staram się, kochana mateczko, i na nią pracuję!

— Tereferel! Śmieję się z tego! Gdybyś nie była jedynaczką, a rodzice nie mieli dwóch domów, jednego na Mostowej a drugiego na Podwału, toby i pies o ciebie się nie zapytał, choćbyś miała duszę tak piękną jak najpiękniejszy karmazyn!

Elżusia machinalnie wróciła palcami do klawiatury. Wzięła kilka cichych, posępnych akordów.

— Proszę cię nie brzdąkaj, kiedy i tak nikt cię nie słyszy! Niech przecieć się wygadam, chociażby sama przed sobą!

W tej chwili wszedł do pokoju sąsiad p. Tomasz.

— Słyszysz Elżusiu? Daj pokój nutom. Pan Tomasz wolałby kielbasę z sosem, niżeli te sztuczne trele twoje!

— I muzyka dobra, jeśli jest w domu wesoło! — rzekł pan Tomasz, całując w rękę panią Izajaszową.

— Tak, to prawda, kochany sąsiedzie — odpowiedziała pani Izajaszowa, ale wprzódy, aby to wesele było w domu.

— Nie obrażać Pana Boga, sąsiadko.

— Czy to obraza, jeśli się człowiek z umartwień swoich skarży?... Ot przed chwilą zmartwiłam się, aż mnie czkawka porwała! Wyobraźcie sobie, panie Tomaszu, że Izajasz z każdym dniem głupszym się staje! Co to jest? Co to być może?

Sąsiad posunął ręką po czole, spojrzał zyzem na Elżusię przed fortepianem i odparł:

— Sąsiadko, ja wam powiem prawdę. Każdy mąż, gdy ma lat dwadzieścia kilka, to jest i mądry i dobry. Gdy zaś na sześćdziesiąty krzyżyk zachodzi, to głupieje, jest nieznośny, i Bóg wie jakie ma jeszcze przywary!

— Żarty na bok, ale wyobraźcie sobie, panie To-

maszu, przychodzą jacyś państwo i chcą nająć izdebki.

Drzwi pokoju otworzyły się z trzaskiem. Wszedł pan Izajasz mocno zarumieniony. W ręce trzymał pomięte banknoty, a drugą ocierał pot z czoła.

Wejście pana Izajasza sprawiło przerwę w rozmowie. Wszyscy spojrzeli na niego z ciekawością, oczekując rozwiązania tej dziwnej zagadki.

Snać przeczuł to pan Izajasz i jak się zdaje, chciał szczerze zaspokoić ciekawość małżonki i sąsiada, ale przeznaczeniem było dla nich, że dzisiaj od niego nic się dowiedzieć nie mogli.

Pan Izajasz bowiem zaczął wprawdzie wiele mówić, ale połowę swoich myśli zostawił w izbach na pierwszym piętrze i na korytarzu. Do tych myśli nawiązał teraz słowa swoje.

— Tak, tak to się dzieje na tym świecie! zaczął zaraz od progu, a przecież lepiej gdyby tego wszystkiego człowiek nie wiedział! Ludzie płyną Wisłą i cieszą się, że woda pięknie wygląda, że płynie po niej piana jak srebrne kwasty, że całe niebo z chmurami w niej się odbija! Ale to wszystko dobre jest dla tych, co to nigdy na dnie tej wody nie byli i nie widzieli co tam leżeć może.

— Tam do katal ozwał się sąsiad. Czasem dobrze i pożytecznie wiedzieć, że na dnie leży jesiotr lub szczupak trzyłokciowy!

— Ba, gdyby to tylko jesiotry i szczupaki tam leżały!... Raz pamiętam, płynąc z drzewem do Gdańska, zauważyliśmy że pod brzegiem woda się kręci i coś ustawicznie w niej płąska. Pewnie jakaś bestya trzyłokciowa tam się ukrywa, zawołał sternik, dalej chłopcy, będzie obiad wymienity! Trzech orylów skoczyło zaraz z wieńcierzami do wody i nuż

podrygiwać!... I cóż tam było? Było wprawdzie kilka leszczów i dwa okonie, ale był także i trup utopionego człowieka, około którego uwijały się te ryby!... A mówię wam, woda Wisły była w tem w miejscu tak piękna i czysta, tak pięknie odbijały się w niej i niebo i chmurki białe, jakby tam na dnie wcale trupa nie było.

— Zkądże wam dzisiaj taki apetyt do trupa przyszedł! Na całej Mostówce niema ani jednego nieboszczyka!

— Niema nieboszczyka?... Hm, różne są nieboszczyki! Jedni leżą na dnie wody, innych zamykają do trumny i z muzyką chowają do ziemi, a są i tacy, którzy jedzą i piją i po świecie chodzą.

— Izajasz, co ty bredzisz! rzekła zadziwiona małżonka.

— Cicho bądź, bo jestem w złym humorze! Dzisiaj mógłbym nawet kogoś wybić.... Gdyby mi pod ręką był Janek, który przed tygodniem kilka kłoców samopas do Gdańska puścił, zbiłbym go na kwaśne jabłko!

Pani Izajaszowa uznała za rzecz stosowną hamować swój gniew z powodu tanio wypuszczonych izdebek. Cofnęła się nawet o dwa kroki.

— Ojczulko dobrze powiedział, ozwała się Elżusia, że nie wszyscy żyją, którzy chodzą i jedzą!

— Tak, tak, dziecko moje, zawołał z rozrzewnieniem pan Izajasz. Ty to lepiej rozumiesz od matki, bo czytasz książki. Ja choć ich nie czytam, ale za to widziałem wiele w świecie i wiele doświadczałem!

Sąsiad Tomasz kręcił wąsy, marszczył czoło, jak to zwykli czynić ludzie uczeni, ale mowy dzisiejszej pana Izajasza nie mógł zrozumieć.

Koniec końców, ozwał się po chwili, wracając do tych nieboszczyków.

— Et, co wam do nieboszczyków, przerwał mu pan Izajasz i machnął ręką.

— Tyle co i wam, kochany sąsiadzie!

— A, prawda! Macie słusność! Wam więcej o nieboszczyków chodzi, niżeli mnie. Mój towar to same nieboszczyki! Że tam ongi żyły w górach Karpackich, że pstrokate ptaszki śpiewały i gnieździły się na ich gałęziach, że miały zielone liście i biały kwiat na wiosnę.... cóż mnie to obchodzi? Dopiero gdy je siekiera na wiosnę powali, gdy soki w ich żyłach skrzepną, gdy im odejmą koronę zieloną, a same tułowy w trawie zbijają—wtedy dopiero są dla mnie coś wartel.. U was inaczej! U was tylko żywa ryba popłaca. Gdy zdechnie, to już strata!... Wam nieboszczyk wcale nie pachnie.

— Zkądże wam przyszło do głowy takie kazanie o nieboszczykach?

— Ot, tak sobie!... Czasami jest człowiek podobny do drzewa, a czasami do ryby. Pierwsze dopiero po śmierci jest coś warte dla kupców, drugie gdy żyć przestaje traci na wartości.

— Do czegoż to wszystko stosujecie?

— Przecież powiedziałem do ludzi!... Ot naprzykład ja. Napracowałem się całe życie i cóż znaczą. Nic! dopiero po mojej śmierci będzie coś znaczący ten, który majątek po mnie zabierze!

— Nikt inny, jak tylko zięć!

— Być może.... A są znowu ludzie, którzy za życia bardzo wiele znaczą, których trumnę na barkach niosą do grobu i kwiatami ją zasypują, a potem... potem zostaje się nic, straszne, bolesne nic!... Czy wy to rozumiecie!

— Jak mnie Bóg miły, nic was nie rozumiem!

— A jeżeli znowu znajdzie się człowiek, który sobie przypomni coś o tych ludziach i innym chce to powiedzieć, to go ci także nie zrozumia! Lepiej więc nic nie mówić!

I jakby się obawiał, aby się z czemś nie wygadał, wsunął pan Izajasz pieniądże do szufladki, a sam wziął czapkę i szybko wyszedł z pokoju.

Sąsiad Tomasz i pani Izajaszowa stali w milczeniu i patrzyli na siebie. Nie mogli sobie w żaden sposób wytłumaczyć tych dziwnych słów pana Izajasz.

Elzusia machinalnie położyła palec na klawiszach i tam szukała odpowiedzi dla siebie.

Mowa jednak klawiszów była szeroka i ogólna. Elzusia mogła w nią włożyć własne myśli swoje i marzenia, ale odpowiedzi z niej wyczytać nie mogła.

III.

Sąsiad stał jeszcze niejakiś czas w pokoju i kiwał głową. Nie mogąc nic wykiwać, wziął czapkę i wyszedł. Pani Izajaszowa wyszła także do najbliższej sąsiadki, aby się przed nią z domowych umartwień poskarżyć i na męża wydać wyrok zaoczny.

Elzusia została sama z fortepianem. I zajęta grą, nie zważała wcale, że do pokoju weszła młoda kobieta z dużą teką pod pachą.

Młoda kobieta była słusznego wzrostu, miała twarz bladą o pięknych, regularnych rysach. Duże, głęboko osadzone oczy wyrażały rozsadek, na czole wypukłym malowały się myśli poważne. Włosy ciemne spadały w bezwładnych splątach na ramio-



na. Piękne, żywej barwy usta obiegał jakiś uśmiech cierpki.

Kilka chwil patrzyła od progu na Elzusię, potem postąpiła na palcach kilka kroków naprzód i rzuciła na fotel dużą tekę, którą pod pachą trzymała.

Zaczesawszy włosy za uszy, usiadła przy stoliku i drobną, nader zgrabną ręką podparła blade czoło.

Siedziała tak czas niejaki.

Elzusia kończyła jakąś improwizacją. Chciała właśnie powstać, aby leżące na fortepianie nuty do siebie przysunąć, gdy nagle zobaczyła siedzącą przy stoliku.

— Ah! Broncia, zawołała żywo, i ty tak cicho przychodzisz i mnie podsłuchujesz!

— Nie obawiaj się — odpowiedziała Bronisława, podając jej rękę, nie obawiaj się podsłuchu. Muzyka lepsza od ludzi. Ona nikogo nie zdradza.

— Tegobym nie powiedziała. Z gry można się zawsze czegoś domyśleć.

— Przynajmniej nie dostarczy sędziemu śledczemu żadnego materiału.

— Czy wracasz z lekcji?

— Moje całe życie składa się tylko z lekcyj! Jestem zmęczona nie do opisanania.

— I przyszedł do mnie na lekcję?

— Nie, dzisiaj chcę tylko odpocząć u ciebie. Odbyłam pięć godzin muzyki i trzy języka francuzkiego.

Przecież jednej rzeczy zazdroścę ci! Bywasz po różnych domach i widzisz rozmaitych ludzi.

— A ja tobie zazdroścę, że ich nie widzisz.

— Ach, samotność jest bardzo nudna!

— Lepsza jednak od tysiąca rozczarowań, jakie nam sprawiają ludzie.

— Zmęczenie mówi z ciebie! Podobną jesteś do człowieka, który przez cały dzień karmi się samymi frykasami. Nic dziwnego, że o jedzeniu z pogardą mówię. Głodny jego zdań nie podzieli.

— O! moje frykasy są gorzkie i zatrute.

— Zawsze jedno i to samo powtarzasz.

— Bo jedno i to samo zawsze mi dolega.

Milczenie zapanowało przez chwil kilka. Nauczycielka i uczennica puściły wodze myślom swoim, które gdzieś biegły niejednymi torami.

Po niejakiem czasie odetchnęła głęboko Bronisława.

— Ty nie pojmujesz, rzekła z bolesnym wyrazem, co to jest pracować na chleb kobiecie i to kobiecie, która urodziła się w innych warunkach!

— Mówią, że każda praca osładza życie!

— Tak być powinno, gdyby na świecie nie było głupich, strasznie głupich przesądów!... I oto więc czy i ja nie podzielałabym tych przesądów, gdyby nieszcześcia nie rzuciły mnie na drogę, na której obecnie jestem! Całe nasze wychowanie jest zwichnione.

Elzusia zamysliła się.

— Niedawno, mówiła dalej rozrzuwniona Bronisia, będzie temu zaledwie lat kilka, byłam tak jak ty jedynaczką, mieszkalam we dworze na wsi, otoczona liczną służbą. Sąsiedzi zjeżdżali się do nas, kawalerowie z całego powiatu uganiali się o moje serce i posag... i cóż z tego wszystkiego mi zostało.

— Jesteś tak piękną! z westchnieniem szepnęła Elzusia.

— Gdyby tak było w istocie jak mówisz, cóż to dzisiaj znaczy? tyle co piękne niebo, piękny widok, od którego odchodzimy, gdy na obiad zadzwonią!...

Był czas, gdy rzeczywiście wierzyłam, że moje osobiste przymioty przywiązują ludzi do mnie. Ale gdy ojciec mój umarł; gdy matka moja z bólu za nim i z niedostatku umarła; a ja zostałam bez posagu: wtedy sąsiedzi dawni zapomnieli o mnie, a kawalerowie całego powiatu pochowali się, aby się zemną nigdy nie spotkać. A przecież mam taką twarz jak dawniej, te same oczy i brwi, o których dawniej tyle pięknych rzeczy mi mówiono. Ale nie mam posagu!

— Ach to smutno! Bardzo smutno!

— Ale nie myśl żebym była zupełnie bez posagu.

— A dlaczego tak mówisz?

— Bo z tym posagiem przed nikim się jeszcze nie zwierzyłam, nikomu nie powiedziałam! Tobie jednak okażę go! Patrz!

Bronisława wyjęła mały pugilaresik, otworzyła go ostrożnie i wydobyła z niego mały, zwinięty papier.

— Patrz! Oto mój posag! Jedyny warunek mego szczęścia.

Rzekłszy to, przyłożyła papier do ust i ucałowała.

— Czy to wielkie pieniądze?

— To jest zapis mojej matki.

Łzy zaszklily się w jej oczach.

Ostrożnie rozwinęła papier i zaczęła czytać:

— „Zostawiam cię sierotą, drogie dziecko, zostawiam cię bez pieniędzy, ale nie myśl, żebyś nie miała posagu. Posagiem towarzyszni są nieszczęścia nasze, które nam pieniądze odebrały, i uczciwe imię które jako jedyny spadek po rodzicach odzie-

dziczysz. Z tym posagiem między ludźmi nie powinno ci być źle, a gdy do niego dodasz pracę swoją, to dobry Bóg zesze ci szczęście, którego zapagniesz!“.....

Dalej Bronisława od łez czytać nie mogła.

Elżusia zafrasowała się łzami przyjaciołki i nauczycielki. Wzięła ją za rękę, ucałowała i przycisnęła do siebie.

— Bądź przekonana, rzekła do niej, że to posag nie gorszy od domów i krociołów. Niedawno czytałam w książce że cierpienia, boleści i łzy kobiety stanowią nieraz wyższą cyfrę posagową od niejednej milionerki! Cierpienia wzbogacają duszę!

Bronisława schowała tymczasem zapis matki do pugilaresika i smutno złożyła ręce na kolana.

— Świat ma bardzo piękne teorie, ozwała się po chwili milczenia, ale teorie te nigdy w życie nie wchodzi. Gdybym do łez i cierpień mego ojca, do kurczowych boleści matki dodała owe niezliczone bezsenne nocy mego życia, w których się łzami zalewałam, byłabym jedną z najbogatszych pańien całej ziemi! Tak jednak nie jest.

— Gdybym była mężczyzną, kochałabym cię do szaleństwa!

— Tak sądzi tylko kobieta—mężczyźni inaczej myślą. Mam przykład na samej sobie. Gdy jestem w domu jakim większym na obiedzie lub herbacie, to przychodzący goście prawie nie widzą mnie, a gospodyni nie uważa nawet za stosowne przedstawić mnie. Jestem sprzętem tylko, niczem więcej, przed którym goście nawet w rozmowach nie wystrzegają się, jakby ten sprzęt nie miał uszów i oczów! Słowem jestem niczem! Praca moja poniża mnie w obec nich, podczas gdy każde

niebożatko i głupia gaska, byle miała posag, jest dla nich słońcem, jest dla nich bóstwem!

Elżusia zamysliła się. W zwierciadle, które na przeciwnej ścianie wisało, obaczyła swoją twarz, która w porównaniu z Bronisławą wcale ładną nie była. Zasmuciła się i westchnęła. Po chwili rzekła:

— Czyżby tylko dla posagu mężczyźni nas kochać mieli?

— Tylko dla posagu, żywo odparła malkontentka. A najczęściej jesteście nawet niebardzo upragnionym dodatkiem do tego posagu!

Elżusia westchnęła po raz drugi.

— To w takim razie może lepiej nie mieć żadnego posagu, szepnęła zcicha.

— Kto pragnie prawdziwego szczęścia, a nie złudy i pozoru, odpowiedziała Bronisława namiętnie, to lepiej mu być bez posagu.

Słowom tym jednak, tak bardzo ożywionym, towarzyszyły łzy, które zaraz pojawiły się w jej oczach. Co one oznaczały, trudno odgadnąć. Czy były poświęcone wspomnieniom byłego majątku, czy rozkoszom panny bezposażnej? Które z tych przypuszczeń było prawdziwe?

I jakby dalszą rozmowę urwać chciała usiadła Bronisława do fortepianu i zaczęła grać jedną fantazję.

Grała z uczuciem, a nawet z pewną namiętnością. Elżusia długo przysłuchiwała się jej grze.

— Gdybym z twojej gry coś wnosić miała, tobym powiedziała, że dzisiaj więcej cierpisz, niżeli kiedykolwiek.

— Ja zawsze wiele cierpię, odpowiedziała śród gry Bronisława, bo między ludźmi jestem anomalią.

— Zdaje mi się, że ja również we własnym domu tem samem jestem, zcicha szepnęła Elżusia.

— Prawda, wykształcenie twoje stawia cię wyżej, ale rodzice twoi kochają cię, a to jest wszystko, czego potrzebuje kobieta!... Ale *à propos*, czy u was będzie mieszkać senatorowa X***?

— Senatorowa? z zadziwieniem powtórzyła Elżusia.

— Senatorowa z Krakowa.

— Tu żadna senatorowa mieszkać nie będzie. Należała wprowadzić jakaś pani dwie izdebki z kuchenką.

— Senatorowa nie jest bogata.... Czy był z nią jakiś młody mężczyzna?

Przy tych słowach blada twarz Bronisławy zafarbowała się nieznacznie. Elżusia nie zważała na to, bo była w myśli jeszcze senatorową zajęta.

— Był jakiś szatyn, słusznego wzrostu, odpowiedziała.

— To on... to Floryan!

— Kto jest ten pan Floryan?

— Syn senatorowej.

— Czy znasz ich?

— W Krakowie świadczyła mi senatorowa swemi stosunkami bardzo wiele.

— Stosunki często wiele znaczą.

Po tych słowach nastąpiła dłuższa pauza milczenia. Zmrok wieczorny, który po pokoju już począł się rozpościerać, zakrył teraz twarze obydwóch przyjaciółek.

— O czem tak myślisz? zapytała po chwili Bronisława.

— O senatorowej, odpowiedziała zamysłona Elżusia.

Teraz ogarnęła go dziwna gorączka restauratorska. Nietylko że dziesięcioletnie śmiecie z dziedzińca wywieść kazał, nietylko że w sieni dał próg nowy i tradycyjną pod progiem kałużę kazał ziemią zasypać, ale nawet szczególniejszą uwagę poświęcił izdebkom na pierwszym piętrze, do których miała się sprowadzić nowa lokatorka.

Dwie ściany pierwszej izby, od słońca wypłowiałe, kazał na nowo żydkowi pomalować. Również i kominiek dostał nowe ramy z czerwonej farby, przy której to operacji pan Izajasz sam był obecnym, a nawet własną ręką żydkowi do zakreslenia prostych linii dopomagał.

Wszystkie te względy dla przyszłych lokatorów gniewały tem więcej panią Izajaszową, że sobie ich w żaden sposób wytłumaczyć nie mogła.

Pan Izajasz był nader oszczędnym, a nawet skąpym. Zkądże więc wzięła się tak nagle niewytłumaczona rozrzutność? Cóż go skłaniało do tego?

Były to pytania, na które w domu nikt odpowiedzieć nie mógł. Widziano tylko rosnący z każdym dniem niepokój pana Izajaszę, z jakim był względem nowych lokatorów.

Wiadomość przyniesiona przez Bronisławę, że przyszła lokatorka jest senatorową, pomieszała jeszcze bardziej wszelkie domysły, jakie o niej powzięć mogła pani Izajaszowa. Teraz dopiero była prawdziwie jak w lesie. I tu drzewo, i tam drzewo, wszędzie drzewa i nic więcej.

Zawezwana do pomocy Elżusiu nie umiała matce niczem dopomóc. Skończyło się znowu na wystrofowaniu córki, że o niczem w domu nie myśli, że tylko umie ubrać się, grać i czytać, podczas gdy Zosia sąsiada mięso w jatkach sprzedaje.

Elżusia nawet parę razy do ojca po wyjaśnieniu udawała się, ale żadnych ztamtąd wieści nie otrzymała. Pan Izajasz z taką zawiścią bronił przystępu do swojej tajemnicy, tak dziwnie oczy zawracał, gdy go o to pytano, że mieszkańcy drugiego piąterka postanowili zaniechać dalszych poszukiwań i spuścić się na łaskę Bożą.

Podobało się nawet to panu Izajaszowi, bo widocznie był weselszy, a nawet mógł żarty stroić, jak to było jego zwyczajem. Z całego jego zachowania się widać było, że za uszanowanie swojej tajemnicy poświęcał się do obowiązku być w domu uprzejmym i sprzedającym. Nawet o nowym szlafroku dla żony wspomniiał kilka razy, przeznaczając na to inne fundusze.

Jakkolwiek pan Izajasz był teraz dla wszystkich domowych tak dobry, że w koło palca można go było owinać, jakkolwiek przyobiecanie powtórne nowego szlafroka było dla pani Izajaszowej nie-małą rozkoszą — wszystko to jednak w wolniejszych od zatrudnień chwilach wznagało tylko jej ciekawość, jaki stosunek może wiązać jej męża do nowej lokatorki, która tak z nim rozmawiała, jakby go w życiu nigdy nie widziała.

Ciasny horyzont jej myśli tworzył zbyt małe pole domysłów, a i te nie mogły się jakoś z sobą dobrze wiązać.

Postanowiła więc spokojnie wyczekiwać chwili, w której rozjaśni się to, co dotąd było dla niej zagadką.

Tymczasem ułożyła sobie badać dokładnie wszystkie drobne domowe szczegóły nowej lokatorki, aby z nich przyjąć do jakich prawdopodobnych wniosków.

Elżusia również myślała o nowej lokatorce, ale myśli jej różniły się wielce od myśli matki.

Jak już przed swoją przyjaciółką wyznała, pragnęła ona szerszego świata od tego, jaki mogły jej dać stosunki rodziców.

Pan Izajasz osobistą pracą dorobił się mająteczku, który składał się z dwóch domów. Nie były one wprawdzie wielkich rozmiarów, ale stanowiły zawsze pewny kapitalik, który jedynaczce nadawał stanowisko panny posażniejszej od wielu jej rówieczek.

Pan Izajasz prowadził handel drzewem do Gdańska. Praca ta pochłaniała cały czas jego i siły, z których dla stosunków towarzyskich bardzo mało się zostało. Po pracy był kontent, jeżeli z jakim sąsiadem w narożnej bawaryi mógł kufel piwa wypić, lub czasem w ówika zagrać. Do innego towarzystwa nie miał ani czasu, ani stosownego wykształcenia, bo prócz wrodzonego sprytu do handlu, nie miał żadnych wyższych nauk.

Pani Izajaszowa, rodem z Nowego miasta, należała do rzędu tych kobiet miejskich, które patrząc z dala na prąd cywilizacji stołecznej, przyswajają sobie pozorne jej formy, których jednak niczem wypełnić nie mogą.

Ubierała się z przesadą, drobne foremki ludzi wykształconych brała za rzecz samą i gwałtownie je sobie przyswajała. Gdy dzień był piękny, a przechadzka piesza nawet dla jej tuszy bardzo byłaby przydatną, ona najmowała powóz i wśród duszącego kurzu jechała do Łazienek, bo tak robią ludzie mający jaki taki majątek. W teatrze nie siedziała nigdy na krzesłach, tylko pan Izajasz musiał kupić łożę na drugim piętrze przynajmniej,

bo tak robi jubiler mający magazyn na Krakowskiem-Przedmieściu. Była bowiem przekonaną że obowiązkiem jej jest okazywać się publicznie zawsze z pewną ostentacją, chociażby ta ostentacja poza granicę Mostowej ulicy nie wychodziła.

A ponieważ każdy, choćby najpocześniejszy człowiek, musi sobie jakieś umartwienie stworzyć, toż i pani Izajaszowa stworzyła sobie takie umartwienie, które ją ustawicznie podrażniało.

Umartwieniem tem była emulacja z żoną budowniczego, niedaleką jej sąsiadką. Żona budowniczego była wychowaną Saskiego ogrodu, w którym wzrosła od dziecięcia. Skakała po nim zgrabnie za obręczą czerwoną do lat dziesięciu, potem w krótkich sukienkach studyowała maniery elegantek, a w końcu póty w jasnych bucikach o wysokich korkach po środkowej alei deptała, póki nie wydeptała sobie potulnego małżonka, który miał kamieniczkę niedaleko pana Izajasz.

Odtąd zaczynają się umartwienia pani Izajaszowej. Żona budowniczego, czyli inaczej majstra mularskiego, zadawała „szyk“ całej Mostowej ulicy. W każdej porze roku nosiła nowe kostiumy, parasolki i kapelusiki.

Pani Izajaszowa wydała wojnę rywalce i postanowiła wyprzeć ją z pola. Nie mogąc jej w zgrabności sprostać, chciała ją przewyższyć w kosztowniejszym ubiorze. Przesadzała w drogich materjach, nosiła atłasy i aksamity, ale elegantka z Saskiego ogrodu wychodziła najczęściej zwyciężko w opinii całej ulicy wraz z Rybakami, a nawet z Podwalem.

Przy takich zajęciach rodziców zbyt szczupłe

— O senatorowej?... Cóż cię ona tak wielce obchodzi? Nie znasz jej przecież.

— Mówiłaś że ona ma liczne stosunki.

— Cóż ci z jej stosunków przyjdzie?

— Czasami mogą się przydać.

— Czy masz jakie plany?

— Żadnych planów nie mam. Znasz moje położenie i łatwo możesz mnie pojąć. Rodzice mają znajomości, które mnie wcale nie bawią. To co by mnie bawić mogło, leży po za sferą rodziców. Otóż chodzi o to, aby mieć kogoś, ktoby mi po za tą sferą mógł towarzyszyć. Muszę zaraz zaznajomić się z senatorową.

Bronisława nie dała na to długo żadnej odpowiedzi. Elżusia mówiła dalej:

— A w świecie wiele na tem zależy, kto nas w świat wprowadza. Pamiętam zeszłego roku u wód galicyjskich miałam nawet z tego powodu znaczną nieprzyjemność.

— U wód galicyjskich łatwo o nieprzyjemność.

— Było zebranie i tańczyć miano kontredansa. Mój tancerz w braku innego, zaprosił do vis-à-vis niejakiego pana Ludwika ***, którego wielkie damy kąpielowe pieszczotliwie „Lulu“ nazywały.

— Och, znam to głupiutkie stworzonko!

— Otóż ten pan „Lulu“, dowiedziawszy się kto ja jestem, odmówił usługi, utrzymując że do koła w którym on tańczy, nie można podobnych jak ja wprowadzać. Mój towarzysz zrobił nawet jakąś awanturę z tego powodu.

— Więc urodzenie twoje stanęło Lulowi przeszkodą w kontredansie?

— Napisał nawet jakieś wiersze francuzkie, wyśmiewając mnie.

— Bóg przebacza tym, którzy „nie wiedzą co czynią.“

— A gdybym naprzykład była z senatorową?...

— Ach, już się zmierzchoło!.. Bądź zdrowa, całuję cię!

Mimo wszelkich protestów Elżusi, wzięła Bronisława tekę pod pachę i wymknęła się za drzwi, życząc jej jeszcze ze schodów dobrej nocy.

Elżusia tymczasem zapaliła świecę, aby czytaniem jakiej książki skrócić sobie czas, zanim matka od sąsiadów powróci.

Książka jakoś tymczasem nie była dla niej skutecznym lekarstwem. Oczy jej wychodziły często po za brzegi książki i zawieszały się w powietrzu, jakby tam były jakieś złote czarujące obrazy.

IV.

Kilka dni upłynęło wśród jakiegoś zagadkowego niezadowolenia wszystkich mieszkańców drugiego pięterka.

Najbardziej niezadowoloną była pani Izajaszowa. Pan Izajasz bowiem od czasu zjawienia się nowej lokatorki tak się dziwnie zmienił, jakby mu co do głowy strzeliło. W domu przesiadywał bardzo mało, jakby się lękał wypytywać żony. Wynalazł sobie różne zajęcia, o których dawniej nawet nie myślał, a na czem najlepiej wyszła nowa lokatorka.

Pan Izajasz był nieprzyjacielem wszelkiej poprawki i restauracji domu. Konserwatysta z nabożem, zatrzymywał wszystko w tym samym stanie, w jakim to było, gdy dom ten przed dwudziestu laty kupił.

pole było dla Elzusi, która wykształceniem przewyższała całe swoje otoczenie.

Elzusia nie była ładną. W takim razie już sam instynkt każe kobiecie szukać równowagi na polu umysłowym.

Poczula ten instynkt jedynaczka i rzuciła się z całą duszą do nauk, aby przyswoić sobie wyższe wykształcenie. Nie chciała bowiem być małoznaczącym dodatkiem do swoich dwóch domów, jeźliby kiedy za mąż wyjść miała.

Pan Izajasz chętnie ponosił wydatki na nauki, bo córkę swą kochał i miał przekonanie że nauka także coś warta, jeśli ludzie o nią się ubiegają. Pani Izajaszowa nie sprzeciwiała się także temu, ale widziała w nauce Elzusi tylko nowe tryumfy dla siebie. Kiedy bowiem Elzusia publicznie po francuzku się odezwała, lub u sąsiada na fortepianie Liszta zagrała, to pani Izajaszowej było tak miło koło serca, jakby nową jedwabną suknię miała na sobie.

Wykształcenie to oddalało Elzusię coraz więcej od sfery rodziców i ich stosunków. Czula się, w domu coraz więcej samotną, bo ani matka, ani ojciec nie mogli jej rozumieć.

Przy każdym, choćby najdrobniejszych różnicach zdań, występowała domowa niezgoda między córką a rodzicami. A że rodzice już z prawa swego zawsze słuszność mieć chcieli, posłuszna Elzusia, ulegając im, czuła tem więcej wyjątkowe swoje położenie.

Towarzyskie stosunki rodziców nie rozszerzały bynajmniej tej ciasnej sfery domowej. Kilku rybaków, ludzi ze wszech miar godnych, ale ubogich co do zasobów umysłowych, dwóch rzeźników dosyć

mających, ale wyłącznie zawodem swoim zajętych, nie mogło wcale stworzyć dla niej świata, którego jej wyższe wykształcenie pragnęło.

W takim położeniu stworzyła dla siebie jakiś świat idealny, do którego się wyobraźnią przenosiła i tam żyła.

Wierzyła, że ten świat istnieje gdzieś po za granicami ulicy Mostowej, widziała go nawet z dala, gdy po Krakowskiem-Przedmieściu się przesuwiał, lub na koncertach obszerną salę zapełniał, widziała go w teatrze w łóżach pierwszo-piętrowych lub na wyścigach konnych.

Czem jednak ten świat jest i jak on wewnątrz domów swoich żyje, o tem wiedziała tylko ze słuchu a serce jej biło zawsze żywiej, gdy o tym świecie zamarzyła.

Dotąd jednak ten świat był dla niej owocem zakazanym. Rodzice nie mogli jej tam wprowadzić, bo żadnych z nim stosunków nie mieli. Krewnych z tego świata nie miała. Nauczycielka i przyjaciółka znosiła jej wprawdzie czasem wiadomości z tego świata, ale te były taką jakąś goryczą zaprawione, że nie mogły dać jej o nim dostatecznego wyobrażenia.

Z tej to przyczyny wiadomość o lokatorce, która miała być, według zeznania Bronisławy, senatorową, przyjęła z wielką radością i zaczęła do niej nawiązywać różne skryte marzenia.

Senatorowa była od tego czasu nieodstępną towarzyszką jej myśli i marzeń. Dowiadywała się ustawicznie u Janka, stróża i pełnomocnika ojca, kiedy się nowa lokatorka sprowadzi i czy już izdebki oczyszczone.

Częściej nawet, niżeli to było jej zwyczajem, wy-

glądała przez okno na ulicę, czy lokatorka nie przyjechała z meblami. Postanowiła sobie zaprzyjaźnić się z nią przy najpierwszej sposobności i za jej pomocą rozszerzyć ciasny horyzont dotychczasowego życia swego.

Na tem więc polu, choć z różnych powodów, stanął sojusz między matką a córką i obiedwie postanowiły bliżej poznać owę mytyczną lokatorkę.

Po kilku dniach niecierpliwego wyglądania oknem, spostrzeżono wreszcie pierwsze forpoczty zbliżającej się lokatorki. Nie były one zbyt zachęcające.

Najprzód jechał prosty wózek i wioził starą kanapkę wełnianą materyą obitą. Mebel ten widocznie pochodził z jakiejś tandety, bo dwóch żydków konwojowało go.

Za tym wózkiem jechał drugi z łózkami, komodą i szafką. Wszystko to było bardzo skromne, a nawet ubogie. Niebyło na tem ani śladu stosunków senatorskich.

Elżusia zadumała się, a matka machnęła ręką i wyrzekła jakieś słowo, na które skrzywiła się córka.

— Przecież ludzi tak się nie mierzy, szepnęła Elżusia jak mogła najciszej.

— Jakie pierze, taki ptak! odpowiedziała pani Izajaszowa i zaszeleściła suknią jedwabną.

— Szlachetne ptaki właśnie nie odznaczają się bogatym pierzem, kochana mateczko.

— Co ty tam wiesz! Zaręczam ci, żeby ta senatorowa miała co w kabzie, toby najprzód na Mostowej nie mieszkała, a powtóre żydowskich gratów nie sprowadzała. W tem może być jakaś inna rzecz.

Teraz nadjechała dorożka. W dorożce siedziała

przyszła lokatorka z synem. Dorożkarz miał pod nogami dwa spore kufry, za dorożką był także łomok, a w samej dorożce leżały stopy książek.

— Ma książki! zawołała Elżusia z radością, która koniecznie chciała coś dobrego przy senatorowej obaczyć, ma książki! To bardzo dobrze!

Pani Izajaszowa znowu machnęła ręką, ale tym razem nic nie odpowiedziała.

— Pan Floryan ma nawet w ręku kwiatki! mówiła dalej z rozjaśnioną twarzą Elżusia, dwa wazoniki z hijacentami! Co za piękne hijacenty.

— Jaki pan Floryan? zapytała matka.

— Syn pani senatorowej.

— Zkądże znasz go?

— Bronisława mówią mi o nim.

— Bronisława niech cię lepiej uczy grać i po francuzku gadać, a miejskie płoteczki niech schowa dla siebie.

Na tem skończył się pierwszy rekognoskunek, bo właśnie w tej chwili zamknęła się brama za panią senatorową wraz z panem Floryanem i hijacentami.

V.

Minęło dni kilka, a o zajętych izdebkach nic się nie dowiedziano na drugim piątku.

Słyszano tylko jak tam pukano, suwano i drzwi zamykano. Słyszano nawet niewyraźnie jak dwa głosy z sobą mówiły, ale słów nie można było zrozumieć. Wysłany na zwiady Janek nic ciekawego nie przyniósł. Powiedział tylko że pan Floryan sam gwoździe w ściany nabija, a matka podaje mu obrazki i zwierciadła do wieszania.

Niemniejszy niepokój okazywał pan Izajasz. Gdy

usłyszał stuk młotka, zaczął pilnie nasłuchiwać, a potem głową pokręcił i ręką machnął, jakby jakieś niemilej myśli chciał się pozbyć.

Wreszcie nadeszła upragniona dla mieszkańców drugiego piąterka pora, w której mogli o nowych lokatorach coś zachwyć.

Po tygodniu powszechnego niepokoju, kiedy właśnie pan Izajasz z niesporów niedzielnych powrócił, a matka z Elżusią z przechadzki wróciły, otworzyły się drzwi bawialnego pokoju i młody mężczyzna stanął w progu.

Elżusia rzuciła na niego okiem i poznała pana Floryana.

Pan Floryan, jak go w domu nazywano, był to mężczyzna dosyć słusznego wzrostu, twarzy ujmującej, miał duże niebieskie oczy i lekki zarost. Ubiór jego był skromny, ale przyzwoity i czysty. Na wysokim czole szły w podłuż dwie zmarszczki równoległe, które świadczyły o pracy umysłowej. Mógł liczyć lat dwadzieścia sześć lub osiem.

Widok syna tajemniczej senatorowej sprawił na wszystkich widoczne wrażenie.

Pani Izajaszowa wzdęła z ciekawości wierzchnią wargę i w milczeniu czekała pierwszego słowa przybyłego gościa. Wyraz jej twarzy okazywał jasno, że z wielką niecierpliwością czeka tego słowa, aby z niego coś dla swoich wniosków ułoić.

Elżusia zarumieniła się lekko, chociaż do tego nie miała najmniejszego powodu. Nie myślała w tej chwili bynajmniej o tem, aby ten młody człowiek mógł dla niej być kiedyś czem więcej niżeli zwykłym lokatorem dwóch izdebek na pierwszym piętrze. Mimo to, był on już dla niej czemś więcej, chociaż o tem sama nie wiedziała. Myślała bowiem już

o nim tyle razy, tyle razy wprowadzała w wyobraźni do przyszłych ról swoich, w nieznanym jej jeszcze towarzystwach, serce więc jej uderzyło teraz nieco żywiej, gdy ten człowiek, dotąd tylko w wyobraźni znany, stanął teraz w rzeczywistości przed nią.

Najdziwniejsze wrażenie sprawił dzisiejszy gość na panu Izajaszu.

Gdy go ujrzał wchodzącego do pokoju, porwał się z krzesła, na którym wygodnie siedział, i z takim zamachem ku drzwiom się puścił, jakby gościowi chciał oddać pokłon wierno-poddańczy.

W drodze jednak ku drzwiom oprzytomniał, wyprostował się jak przystało na właściciela domu, do którego ubogi lokator przychodzi i czekał na pierwsze słowo.

Rola jednak jego była zbyt trudna. Nie mógł natury swojej nagiąć do wymagań sztuki. Malowało się to widocznie na jego twarzy, której jedna połowa oznaczała dumę właściciela domu, a druga drżała ze wzruszenia jakby przed majestatem monarchy.

Przerwał tę niemłą dla wszystkich sytuacją pan Floryan. Skłonił się wszystkim z uprzejmym uśmiechem.

— Przychodzę z należytością za lokal — ozwał się do pana Izajasza — a przytem miło mi zabrać znajomość najbliższego sąsiedztwa.

Pani Izajaszowa wstała, a wyszedłszy na środek pokoju, i obejrawszy czy gdzie niema jakiej przeszkody, dygnęła z wielką uroczystością, jak to zwykła czynić żona budowniczego.

Elżusia zamiast odpowiedzi i ukłonu, zarumieniła się po raz drugi, i po raz drugi nie wiedziała dla-

czego, bo Floryan jednak bynajmniej na nią nie zważał.

Śród takiego bezkrólewia, uznał pan Izajasz za stosowne wziąć berło gospodarza do ręki.

— Z należytością nie było się co śpieszyć—rzekł prostując się—przecież tak bardzo potrzebni nie jesteśmy. Lepsza od tego jest dla nas znajomość pana, bo widzisz pan.... jak to zazwyczaj mówią, że góra z górą się nie zejdzie, a ludzie — urwał nagle i z otworzoną gębą stanął jak wryty.

Pani Izajaszowa obawiała się teraz, aby pan Floryan z tej pauzy nie skorzystał i za drzwi się wyniósł.

— Jak się państwu miasto nasze podoba?—zapytała, chcąc tym sposobem gościa przytrzymać—proszę siadać.

Floryan dopiero teraz spostrzegł Elżusię. Zmieształ się trochę że ją pominął przy witaniu się, i osobno teraz jej się uklonił.

Elżusia zarumieniła się po raz drugi.

— Czy pan znał nasze miasto już dawniej?—pytała dalej pani Izajaszowa, chcąc jak najprędzej Floryana przykuć do krzesła, aby jej nie uciekł.

Floryan usiadł.

— Miasto znam, bo kilka razy w niem po parę tygodni przebywałem. Po Krakowie może się podobać.

— Więc państwo dotąd mieszkali w Krakowie?—ciągnęła dalej inkwizycyą pani Izajaszowa.

— Urodziłem się i urosłem w Krakowie.

— O tak.... pamiętam.... Kraków to takie piękne miasto!—rzekł pan Izajasz.

— Czy pan znasz Kraków?

— Tak.... znam, znam trochę. Z powodu handlu

meo czasami tam bywałem. Piękne, pobożne miasto! Co krok to grób lub mogiła dawnych ludzi!

Chmurka smutku przemknęła po czole Floryana.

— Zapewne i ojciec pana tam umarł!—badała dalej pani Izajaszowa, z ukrytem zadowoleniem.

— Umarł, umarł!—krzyknął pan Izajasz aż szyby zabrzęczały, ale jak umarł!

Floryan ciekawie spojrzął na pana Izajasza.

Ułakł się tego spojrzenia pan Izajasz.

— Bo to widzisz pan—dodał prędko—ludzie różnie umierają. Jedni na suchoty, drudzy na puchlinę, a inni jeszcze innym sposobem. Otóż chciałem się zapytać, na co rodzic umarł?

— Mój ojciec umarł na.... pęknięcie serca, powoli i ze wzruszeniem odpowiedział Floryan.

— Na pęknięcie serca! powtórzyła pani Izajaszowa, i szeroko otworzyła gębę, jakby dotąd nie wiedziała że serce pęknąć może.

— Na pęknięcie serca! szepnęła z cicha Elżusia i zadumała się.

— Pęknięcie serca! ozwała się pani Izajaszowa, proszę pana dlaczego serce pękło? Czy je co przepeśniło? Może woda?

— Ot daj pokój, zawołał gniewnie pan Izajasz, co ty tam wiesz z tych rzeczy! Tobie się zdaje, że serce tak pęka jak rękawiczka za liche pieniądze! Nieprawda! Im lepsze i droższe serce, tem prędzej pęknie! Liche będzie się kołatać lat sto!

Floryan spojrzął ze wzruszeniem na pana Izajasza. Widział w nim prostaczka, ale prostaczek ten mówił zacnie i pocziwie.

— Ojczulku, poruszyłeś przedmiot bolesny dla pana.... zauważyła nieśmiało Elżusia.

— Nie obawiaj się pani, odparł Floryan, do tego

przedmiotu wracam codziennie kilka razy, bo jest on dla mnie wielkiej wagi, daleko większej, niżeli na pozór się zdaje.

— Śmierć rodzica jest zawsze ważnym dniem w życiu każdego człowieka, uspokojony nieco odpowiedział pan Izajasz, a kto do tego dnia wraca pamięcią, ten dowodzi że jest zacnym i poczciwym.

Elżusia spojrziała powoli na Floryana, którego oczy na ziemi spoczywały. Smutek upiększył twarz jego.

— I pan po śmierci ojca ciągle w Krakowie byłeś? badała dalej pani Izajaszowa.

— Byłem tam aż do ukończenia uniwersytetu.

— Zapewne uczyłeś się pan na urzędnika.

— Zdałem tutaj egzamin sądowy, gdyż życzeniem mojej matki było, aby do Warszawy się przenieść. W Krakowie teraz wszystko po niemiecku.

— A tak, tak! mruzczał pan Izajasz i ruszał głową, i machał ręką, jakby coś chciał tym giestem okazać.

— Czy macie państwo znajomości tutaj? zapytała Elżusia i spuściła oczy, bo zapytanie jej wydało się jej teraz nie bardzo stosowne.

— Dawniej wiele osób ztąd bywało u nas w Krakowie.

— Dziś do małych izdebek nikt nie zajrzy! zawołał pan Izajasz i ręką w kolano uderzył.

— Czyżby wszyscy ludzie byli tak źli, jak ojcuzłoko sądzi? rzekła Elżusia, i z widocznym współczuciem spojrziała na Floryana, który teraz lekko westchnął.

— Wszystkich ludzi w czambuł potępić nie można, odpowiedział po chwili Floryan, ale zdaje mi

się, że z dawnych znajomych nie wielu nam pozostało.

Tutaj podniósł oczy i spojrzął na pana Izajasza. Czy to spojrzenie było umyślne, czy przypadkowe, trudno wiedzieć. Wywarło jednak ono na panu Izajaszu niepospolite wrażenie. Rzucił się na krzesło, obrócił niem dwa razy, krząknął i kalsnął i zaczął palcami bębnić po kołanach.

— To prawda, rzekł po chwili, ludzie to szaleńcy i łotry, zapominają o drugich, jeśli tym źle się powodzi.

I jakby chciał kogoś z tych niewdzięczników ukarać, podniósł zaciśniętą pięść do góry i z całą siłą spuścił ją na własne kolano, aż kość się ozwała.

— Mniejsza o znajomych, mówił dalej Floryan, ale są ludzie, którzy dawniej nam służyli, o łaskę naszą ubiegali się.

— Mówię panu że łotry i szelmy! przerwał z ferworem pan Izajasz, i po raz drugi spuścił pięść na własne kolano.

— Takim ludziom niepowinien Bóg dać żyć na świecie, dorzuciła Elżusia wzruszonym głosem.

— Rozbić ich w puch, rozgnieść na miazgę powinien Pan Bóg... tak... tak! wołał ze złością pan Izajasz, uderzając raz po raz pięścią w kolano.

— Co robisz! ozwała się pani Izajaszowa, nogi połamiesz!

— Chciałbym, aby tak wszyscy ci mieli kości połamane!

— Dobrze, ale za cóż siebie bijesz?

— Bo jestem zły na tamtych!

— Złość twoja nic nie pomoże—świat jak był zły, tak będzie! To już stara piosnka!

— Nie mów tego, bo jak wszyscy tak mówić będą, to nikt się nie poprawi.

— My przecież, ani ja ani ty, nie mamy tak bardzo czego się poprawiać. Alboż my zabijali i mordowali?

— Mówisz jak faryzeusz w świątyni.

Floryan widząc, że między małżeństwem zaczyna różnica zdań objawiać się w sposób coraz gwałtowniejszy, powstał z krzesła i wziął kapelusz do ręki.

— Niech pan nie sądzi źle o nas, rzekł pan Izajasz, podając rękę Floryanowi; gdy się bliżej poznamy, może wydamy się lepszymi. Niektórzy ludzie są podobni do drzewa, które tylko za pomocą siekiery poznać można, co zacc jest.

— Proszę mamie kłaniać się od nas, dorzuciła pani Izajaszowa.

Elżusia nic nie powiedziała, tylko ukłoniła się z żywym afektem.

— Więc ojcu jego serce pękło! rzekła pani Izajaszowa, i spojrzała z uwagą na męża.

— Serce pękło! powtórzyła z cicha Elżusia i zbliżyła się do fortepianu, bo w tej chwili zapragnęła smutnych, posepnych akordów.

Pan Izajasz szybko powstał z krzesła i jakby się lękał, aby go o to nie pytano, wziął czapkę i wyszedł z pokoju.

V.

Po kilku próbach, które rzeczy wcale nie wyjaśniły, tylko wiele kwasu domowego narobiły, postanowiła pani Izajaszowa swemi drogami dojść do celu.

Najprościejsza droga była przez sługi. Janek stróż, zawiadowca i alterego w niektórych sprawach pana Izajasz, otrzymał rozkaz zbliżyć się do służącej pani senatorowej, jak ją teraz powszechnie w domu nazywano, i w tym celu nawet otrzymał do swojej normalnej pensji mały dodatek, podobny do tych dodatków, jakie zazwyczaj ministerstwo spraw zagranicznych tytułem funduszu informacyjnego w państwach parlamentarnych pobiera.

Janek użył skrupulatnie tego funduszu, kilka razy zaprowadził służącą na wieczorek tańczący do naróżnego szyneczku, zapłacił muzykę i wieszczę, a nawet w pocie czoła tańczył z nią przez dwie godziny.

Ale i tutaj pani Izajaszowa była nieszczęśliwa. Janek bowiem nie tylko że od służącej, która była Warszawianką, nic się nie dowiedział, ale popadł nawet u żony swojej w podejrzenie, że sakrament małżeństwa na szwank naraża. A chociaż biedny agent dyplomatyczny najuroczyściej przeciw temu zarzutowi protestował, skończyło się jednak na podbiciu lewego oka i na pewnym dodatku pana Izajasz, który to dodatek różnił się wielce od datku pani Izajaszowej.

Pani Izajaszowa po małej sprzeczce z mężem postanowiła porzucić obraną drogę polityki informacyjnej przez płatnych agentów i sama wzięła tę rolę na siebie.

Koniecznym warunkiem takiej polityki była potrzeba bezpośredniego zbliżenia się do pani senatorowej.

Nie było to jednak wcale tak łatwym.

Senatorowa, urządziwszy swoje izdebki, zamknęła je dla wszystkich sąsiadów. Tylko przez nad-

zwyczajne zdarzenia mogła pani Izajaszowa dowiedzieć się, że te izdebki choć skromne i małe, były jednak przyzwoicie umeblowane. Była kanapka, kilka stolików, był dywan duży, zwierciadła i kilka dosyć ładnych obrazów, które później z Krakowa nadeszły. Naczynie kuchenne było także przyzwoite i świadczyło o lepszej niegdyś zamożności senatorowej. Nawet i o rozmaitej odzieży otrzymała informację, że była z drogiej materyi, chociaż nie zupełnie modnej.

Drugi pokój zajmował Floryan syn senatorowej. Pokój ten był także wygodnie urządony. Miał wszystko co dla młodego człowieka potrzebnem być może. Było biurko, szafka i kanapka i sofa do spania. Najciekawszą przestrzeń zajmowały książki, które w kilku pakach z Krakowa nadeszły.

Matka i syn prowadzili żywot cichy, prawie zakonny. Floryan rano wychodził do urzędu, który miał przy sądownictwie, a matka tymczasem przy pomocy sługi zajmowała się porządkiem i przyrządzaniem obiadu.

Po zjedzonym wspólnie obiadku wychodzili oboje, gdy była pora potemu, na przechadzkę. Wieczory przepędzali w domu, czytając książki. Czasami Floryan coś pisał, a matka wtedy zatrudniała się robotką kobiecą. Wyjątkowo tylko spędzali wieczorek po za domem, a wtedy najczęściej byli w teatrze na jakiej nowej sztuce lub koncercie. Zdawało się że w mieście żadnych znajomych nie mieli.

Tyle dowiedziała się pani Izajaszowa. Dalej miała ją zaprowadzić Bronisława, nauczycielka i przyjaciółka Elżusi, jak to sobie ułożyła pani Izajaszowa.

Bronisława przychodziła teraz częściej, niżeli da-

wniej do Elżusi. Grywała z nią wiele i rozmawiała po francuzku całemi godzinami, które bynajmniej do płatnych nie należały.

Pani Izajaszowa widziała w tem nietylko korzyść oczywistą, ale postanowiła nawet dla siebie z tych częstych odwiedzin Bronisławy skorzystać.

Bronisława odwiedziła kilka razy senatorową, którą знаła z czasu pobytu swego w Krakowie. Wprawdzie to, co o niej pani Izajaszowej opowiedzieć mogła, bynajmniej nie było dla teje wystarczającym, mogła jednak być przewodnikiem do bliższych z nią stosunków.

Plan taki pani Izajaszowej miał wielkie prawdopodobieństwo powodzenia, gdyż Bronisława bardzo temu planowi sprzyjała, a nawet sama do stosunków z senatorową panią Izajaszową zachęcała.

Zaraz po pierwszej rozmowie podjęła się swojej misji Bronisława z jak największą skrupulatnością nawet widocznie z pewną gorączką przystąpiła do pierwszych kroków. Odwiedziła senatorową i tyle tylko w rozmowę dwugodzinną zmieścić się mogło.

Senatorowa zrazu słuchała Bronisławy z pewnym lekceważącym uśmiechem. Jej twarz podłużna i ponura, przeciągała się jeszcze więcej, gdy Bronisława wynosiła pod niebiosy życie dawne prostych a uczciwych ludzi.

Z większym nieco udziałem słuchał tych słów Floryan. Widział tych ludzi już zbliżka i wyrobił sobie o nich to przekonanie, że jakkolwiek nieposiadają światowego połysku, są jednak w gruncie zaci i poczciwi, i że znajomość bliższa z nimi mogłaby dla matki być niejaką rozrywką.

W tej chwili nawet, jakby zmowa jaka między

Bronisławą a drugim piąterkiem była, oznał się fortepian.

— Kto gra na fortepianie? zapytała senatorowa, posłuchawszy chwilę z uwagą.

— To Elżbieta, córka domu, odpowiedziała Bronisława.

Senatorowa słuchała jeszcze muzyki chwil kilka. Elżusia grała jakiś kawałek wyborowy.

Surowa twarz senatorowej zaczęła rozjaśniać się powoli. Z dumnego jej czoła schodziły zmarszczki.

— Nie spodziewałam się, rzekła, że u ludzi tej sfery może być wyższe zamiłowanie do muzyki. Panna Elżbieta gra wcale dobrze, chociaż na ojcu podobnych talentów nie widać.

Wymieniwszy te słowa, wydeła z dumą dolną wargę, jakby w tej chwili o swojej godności senatorskiej marzyła.

— Zapewne tobie tylko ten talent zawdzięcza panna Elżbieta, dodała po chwili zwrócona do Bronisławy.

Bronisława zarumieniała się i spojrzała na Floryana.

Floryan patrzył w tej chwili na ziemię, pogrążony w myślach. Zdawało się że ani ostatnich słów matki nie słyszał, ani zarumienienia Bronisławy nie widział.

— Ja tylko dla innych pracować mogę! szepnęła zicha Bronisława i gorące czoło spuściła ku ziemi.

Senatorowa westchnęła.

— Na innych ludzi przyszła dziś kolej! odpowiedziała i z dumą wyprostowała się na kanapie, chociaż wiek i cierpienia napowrót przygięły ją na dół.

Misya jednak Bronisławy odniosła pożądaną sku-

tek. Po kilku dniach walki utajonej, weszła senatorowa pewnego dzystego dnia na drugie piąterko i odwiedziła panią Izajaszową motywując zaraz na początku swoją wizytę zamiłowaniem muzyki, którą często słyszy w ułamkach w swoich izdebkach.

Pani Izajaszowa była prawie u szczytu szczęścia. Posadziła senatorową na samym środku adamaszkowej kanapy, a zamiast rozmowy towarzyskiej, rozkazała Elżusi grać na fortepianie, jakie tylko zna najtrudniejsze utwory muzyczne.

Niebawem nadszedł także i pan Izajasz.

Zrazu groziła chmura gradowa pani Izajaszowej. Pan Izajasz, obaczywszy senatorową na kanapie u siebie, zacisnął pięści i prosto je ku żonie kierował, gdy nagle zagadniony przez senatorową, stopniał odrazu jak lód w ogniu i złagodniał jak baranek.

Jakby jakiś wiatr odmienny na niego zawiął, zmienił się nagle nie dopoznania. Nietylko że ku senatorowej z miną najspokojniejszą się rzucił i jej obie ręce ze łzami prawie ucałował, ale miał nawet wielką ochotę do nóg upaść i ją uściskać, gdy sobie w sam czas przypomniał że jest właścicielem dwóch domów, a senatorowa tylko najbiedniejszą jego lokatorką. Zmienił więc objaw swego afektu i zamiast ucałowania nóg, pobiegł do piwnicy i własnoręcznie przyniósł butelkę, której treść na dukaty liczył.

Dumne czoło senatorowej rozjaśniało się coraj więcej. Tak serdeczne przyjęcie uważała wprawdzie za inny hołd oddany swemu wysokiemu stanowisku, ale sposób tego przyjęcia tak ją ujął, że prawdopodobnie nawet o swoim senatorstwie zapomniała.

— A gdzież jest pan Floryan, złoty, kochany pan

Floryan! wołał w ekstazie szczęścia pan Izajasz—
pamiętam....

— Co ty możesz pamiętać, kiedy pani senatorowej nigdy nie znaleźć pochwyliła szybko pani Izajaszowa.

Spostrzegł to pan Izajasz i jak piskorz wyślizgnął się z ręki małżonki:

— Pamiętam mówił dalej, jak przed kilkoma tygodniami był u nas, to nam tyle ładnych rzeczy nagadał!...

— Floryan innym razem przyjdzie do państwa, mówiła pani senatorowa, dzisiaj zajęty jest pracą.

— Panna Bronisława nadzwyczaj go chwali, do dał dobrodusznie pan Izajasz.

Senatorowa spojrzała z uwagą na pana Izajasza. Nie tam jednak prócz szczęścia i jakiegoś dziwnego szczęścia nie obaczyła.

— Panna Bronisława jest zacna i dobrego rodu, odpowiedziała senatorowa z powagą.

Pan Izajasz nagle posmutniał. Potarł kilka razy po czole, potem zaczął palcami bębnić po kolanach.

— Hm hm, mruzczał cicho pod nosem. Dobry ród... dobry ród, jest ród zacny poczciwy!

— Zapewne, cedziła zwolna senatorowa, chciałam tylko powiedzieć że panna Bronisława tem więcej na szacunek zasługuje, że pochodzi z dobrego rodu, nie gardzi dzisiaj pracą i sama na kawałek chleba zarabia.

— Któż kiedy pracą gardzi, jeśli nie ma co jeść? zapytał z jakimś rozdrażnieniem pan Izajasz.

— To prawda, odparła senatorowa, ale pierwszej

trzeba tych ludzi zrozumieć, którzy urodzili się aby niepracować, a potem przez zbieg okoliczności pracować muszą.

— Zapewne, zapewne, podjął szybko z nagłem rozczuleniem pan Izajasz, a przypadszy do senatorowej, zaczął jej ręce całować, a nawet płakać.—Prawdę wielmożna pani mówisz, a ja prosty człowiek tego odrazu nie rozumiałem. Człowiek który się pod płótem rodził, już od dziecka musi pracować i tak się wciągnie do pracy jak wół do jarzma, który nie myśli o tem, że tam gdzieś w stepach żyją woły bez jarzma i pługą za sobą! Inaczej z koniem cugowym, gdy orać musi....

Rozmowa szła tym trybem jeszcze czas niejaki. Zdawało się pani Izajaszowej, że mąż jej jest u zenitu szczęścia, rozmawiając z senatorową. Jakże wielkie jednak było jej zdziwienie, gdy po wyjściu senatorowej zacisnął pan Izajasz pięść szeroko i sromotnie żonie nią pogroził.

— Czegoście ją tutaj sprowadzili? zawołał gniewnie, czy chcecie, żebym z domu uciekł?... Czy nie dość że mieszka ze mną pod jednym dachem? Wołałbym przez ten czas był w piwnicy siedzieć!

Pani Izajaszowa rozpoznała długą litanią skarg i interpelacji do dziwaczającego od niejakiego czasu małżonka, ale pan Izajasz, uchylając się od możliwej kłębki, wyniósł się prędko za drzwi i nie obejrzał się aż na ulicy.

VI.

Czy to jest już takie fatum na świecie, że niezawsze zbierają ci, którzy posiali, czy to właściwiej jest dowodem opatrności Boskiej, że z ego-

istycznych robót ludzkich zupełnie inni korzyść odnoszą—dosyć że z robót dyplomatycznych pani Izajaszowej i z wyświadczonej przysługi Bronisławy wywiązało się zupełnie co innego, od tego, do czego dążono.

Tajemnica, jaka okrywała stosunek pani senatorowej do pana Izajasza, pozostała nadal tajemnicą, mimo wszelkiego kobiecego sprytu, na jaki tylko pani Izajaszowa zdobyć się mogła.

Pani Izajaszowa dowiedziała się o całej prawie przeszłości senatorowej, a w niej nie było nic takiego, coby Izajaszowi mogło dać powód do szczególnych alteracji na widok tej kobiety. Senatorowa знаła pana Izajasza od czasu, jak poraz pierwszy o mieszkanie go zapytała.

Mimo więc wszelkiego zbliżenia się do senatorowej, nie postąpiła pani Izajaszowa ani kroku naprzód. Mimo to jednak nie opuszczała ją ciekawość i każda rozmowa z lokatorką lub jej synem była dla niej nadzwyczaj upragniona.

Z tego powodu nie zaniedbywała żadnej sposobności, aby senatorowej nie odwiedzić, lub jej do siebie nie zaprosić.

Senatorowa była często sama. Floryan wychodził do miasta lub miał jakie prywatne interesy. Korzystając więc z sentymentu państwa Izajaszów, brała często robotkę do ręki i wychodziła na drugie pięterko.

Rozumie się że w takim razie Floryan przychodził po nią, gdy wrócił do domu. A gdy przyszedł, proszono go usiąść i albo wziąć udział w rozmowie, lub słuchać muzyki.

Floryan robił jedno i drugie i powoli przyzwyczaił się do tych konwersacyjno-muzykalnych wie-

czaił się do tych konwersacyjno-muzykalnych wieczorków.

Bywało nawet że wracając po całodziennej pracy do domu, już z najwyższego punktu Mostowej ulicy patrzył w okna kamienicy żółto-czerwonej, gdzie się światło znajduje. I widocznie twarz jego rozjaśniała się, gdy na pierwszym piętrze obaczył ciemne okna....

Było to tylko przyzwyczajenie, ale nie więcej, jak to często sam do siebie zwykł był mawiać.

Przyzwyczaił się więc powoli do herbatki podawanej rączką Elżusi, do jej nieładnej twarzy, która jednak czasem wcale ładną była—przyzwyczaił się do muzyki wcale niezłej i do komicznych dziwactw pana Izajasza, który wprawdzie wynalazkiem prochu nie groził, był jednak rzadkiej zacności i poczciwości człowiekiem.

Wprawdzie bywała czasem na tych wieczorkach i Bronisława, ale nie bywała tak często, aby się do niej miał tak samo, jak do innych, przyzwyczaić.

Bronisława przesuwała się rzadko po cichem niebie tych wieczorków domowych, ale przesuwała się zawsze z powagą, niepokojem, jak kometa taki.

Należało to wprawdzie do różnitości wieczorków, ale zostawiało zawsze jakieś wspomnienie drażniące.

Jeżeli bowiem Elżusia zachowaniem swoim nigdy po za sferę kobiecą nie wyszła. Bronisława wchodziła na wieczorek jak młoda wilczyca, na chwilę z łańcucha menażeryi spuszczonej.

Słowa jej były niezwykle. Okazywały jakieś bolesne rozdrażnienie duszy i rzucały przykre oskarżenia na cały świat i na ludzi. Miała do nich

zał jakiś, którego bliżej nie określała. Zarzucała im egoizm, lamentowała nad brakiem wyższych uczuć i oskarżała ich o zabójstwo najpiękniejszego z uczuć ludzkich, jakim jest miłość.

Przeciwko pięknej instygatorce występował najczęściej Floryan i brał w obronę biednych, zaozycznie skazanych ludzi. Pomagała mu w tem Elżunia z cichem westchnieniem w piersiach na widok swojej twarzyczki w zwierciadle. Mniemała bowiem, że powszechnie tylko ładna kobieta może być kochaną. Floryan jednak prowadził obronę w ten sposób, że Elżusie czasem nawet jej twarz nieładna nie sprawiała bardzo przykrego wrażenia.

Gdy obrona przy wspólnych siłach tak daleko postąpiła, że Bronisława już więcej argumentów w pogotowiu nie miała, wtedy najczęściej łzami kończyła dysputę, albo zasiadłszy do fortepianu, z taką dziką namiętnością grała, jakby w jej piersi ukryty był wulkan pełen lawy palącej.

Pani Izajaszowa w takim razie lękała się o fortepian, senatorowa ganiła zbyt głośne uderzenia klawiszów, a Floryan nazywał ją żartobliwie żeńskim Wagnerem, mistrzem muzyki przyszłości.

Bronisława odpowiadała na to połyskiem łez w oczach, którym jednak nie pozwalała wpływać na twarz, aby je ludzie obaczyli.

Gdy Bronisława po takim wzruszeniu wyszła, wtedy najczęściej rozmawiano o nieobecnej.

— Nie wiem co się stało od niejakiego czasu Bronisławie, mówiła raz Elżusia; dawniej była wcale inną. Chociaż zawsze miała jakiś żal do ludzi, dzisiaj nie może już mówić o nich bez rozdrażnienia.

— Niech to was bynajmniej nie dziwi, odpowie-

działa senatorowa, biedna sierota gorzko na chleb pracuje. A może też i inna jaka ukryta przyczyna....

— Jakażby mogła być ta przyczyna? zapytała Elżusia z pewnym niepokojem.

— Być może że gdzie serduszko zraniła!

— Ona jest tak piękna i miła! któżby ją mógł zranić, nie odwdzieczywszy się wzajemnością?

— Na szerokim świecie bywają różne sytuacje.... Ona nie ma posagu, a posag u panny jest dzisiaj prawie wszystkim.

Elżusia westchnęła i zamyśliła się. Pani Izajaszowa przyznała bez ogródki słusność senatorowej, a pan Izajasz kiwał głową, jakby się także z tem zgadzał zupełnie.

Floryan patrzył przed siebie zamyślony i prawdopodobnie całej tej rozmowy wcale nie słyszał.

Tym trybem mijały tygodnie i miesiące.

Ciekawość pani Izajaszowej nie została wprawdzie zaspokojoną, ale zato była poniekąd wynagrodzoną.

Z prostej bowiem ciekawości zaszła w bliższe stosunki z senatorową, aby z tego zbliżenia się dowiedzieć się o tajemnych powodach irytacji swego męża. Tych powodów dotąd wynaleźć nie mogła, ale znalazła przyjemność obcowania z kobietą, która mając wykształcenie niepospolite, umiała się do niej zastosować i jej domowi już samą osobą swoją dodawała pewnego blasku. To więc co dawniej było u niej środkiem, stało się teraz celem.

Z czasem przyzwyczaiła się do dziwactw męża i brała je za skutek niepowodzeń jego handlowych, który w ten sposób objawił się w najbliższych domowych stosunkach.

Senatorowa zaś, jak się zdaje, z innego wychodziła stanowiska, utrzymując ten rodzaj stosunków przyjaznych z domem pana Izajasza.

Była to kobieta niepośledniej dumy. Na jej czołe malowała się jej dawna przeszłość. Nie zapomniała tego, że niegdyś była żoną męża, zajmującego w hierarchii społecznej tak wysokie stanowisko.

Dzisiaj przez zmianę stosunków i widoczne ubóstwo, nie mogła godnie między ludźmi nosić swego nazwiska. Uciekła więc od nich i otoczyła się samotnością. Dom zaś pana Izajasza uważała niejako za przypadkowe sąsiedztwo, które sprawiło jej potrzebną rozrywkę, tak jak czasem za granicą przypadkowy sąsiad w restauracji, z którym rozmawiając, nie pytany kto on jest i jak się nazywa.

Słowem senatorowej zdawało się, że żyjąc z ludźmi nie swojej sfery, żyje prawie incognito, nie udzielając się *swemu* towarzystwu. Że tak było, a nie inaczej, dowodzi ten fakt, że senatorowa nigdy do państwa Izajaszów nie przyszała, gdy mieli większe towarzystwo sąsiadów u siebie. Martwiło to wprawdzie panią Izajaszową, ale senatorowa umiała zawsze tak zręcznie wytłumaczyć się ze swojej nieobecności, że pani Izajaszowa nigdy prawdziwego powodu nie spostrzegła.

Za to spostrzegła coś z tego bystrzejsza Elżusia, ale spostrzeżenia swoje trzymała w ukryciu, aby przy dziwactwach ojca nie dolewać oleju do ognia.

Taką była sytuacja mieszkańców pierwszego i drugiego piąterka, gdy pan Izajasz w konsekwencji ukrywanej tajemnicy wyprawił wszystkim nieprzewidzianą niespodziankę.

VII.

Już dawniej były spory między małżeństwem o przeniesieniu mieszkania swego na Podwał.

Pan Izajasz miał drugi dom przy ulicy Podwał, która w hierarchii ulic stołecznych zajmowała wyższe stanowisko od Mostowej.

Dom ten, jakkolwiek niewielki rozmiarem, miał jednak balkonik, a nie miał żadnej kałuży przed progiem.

Pani Izaszowa dawno marzyła o tym balkoniku, ale pan Izajasz był nieubłagany. Piąterko z balkonem przynosiło dosyć spory czynsz, a na Mostowej trudno nawet było o jakiego lepszego lokatora.

Na tym argumentcie rozbiły się wszelkie marzenia pani Izaszowej, chociaż ją nawet dosyć walecznie Elżusia popierała. Pan Izajasz nie chciał o tem słyszeć.

Pewnego jednak poranku, gdy pani Izaszowa przy ustawicznym rozdrażnieniu i dziwactwach małżonka, nawet wcale o tych zachciankach swoich nie marzyła—wpadł pan Izajasz w dziwnym usposobieniu do pokoju i zaraz na wstępie rzekł do żony:

— Postanowiłem przeprowadzić się na Podwał!

Prędzej mogła się pani Izaszowa Bóg wie czego spodziewać, ale nie tego postanowienia.

Spojrzała więc z uwagą na męża i nic mu na to nie odpowiedziała.

Milczenie pani Izaszowej rozdrażniło jeszcze więcej pana Izajasza. Przy ustawicznej o to przeniesienie wojnie domowej, spodziewał się pan Izajasz, że objawieniem swej woli sprawi wszystkim niewypowiedzianą radość. Tak jednak się nie stało. Pani Izaszowa nie tylko nie krzyknęła z radości,

ale nawet czoło jakby z nieukontentowania zmarszczyła.

Była to na twarzy pani Izajaszowej taktyka nader zręczna. Sprytem kobiecym odgadła, że to na głą postawienie męża ma jakiś powód ukryty, który on przed nią chowa z zawiścią. Przeczuwała również że tym powodem nie mógł być nikt inny, jak tylko senatorowa. Postanowiła więc przyprzeć męża do muru, aby ostatecznie wydobyć z niego ukrywaną tajemnicę.

Spokojnie więc patrzyła dalej na męża, jakby słowa jego nie miały dla niej żadnego znaczenia.

— Cóż ty na to, Anusiu? ozwał się po chwili pan Izajasz.

— Co ja na to? cedziła powoli przez zęby pani Izajaszowa, ja na to tyle tylko mogę ci odpowiedzieć, że o przeniesieniu na Podwał dzisiaj ani myślę!

— Jakto? Wszak niedawno nie dawałyście mi z Elżusią spokoju, tylko terkotałyście ciągle jak dwie terkotki.

— Przecież ludzie zmieniają z czasem swoje zachcianki, jeśli więcej doświadczenia nabierają.

— Cóż to jest? Dalibóg nie rozumiem cię!

— Zamiast się cieszyć z tego, że jesteśmy rozsądniejsze, ty się gniewasz i unosisz!

— Cóż to jest za rozsądek mieszkać na Mostowej, jeśli można na Podwału?

— Czyż dotąd nie było to rozsądkiem? Któż się dotąd opierał naszym nierozsądnym zachciankom?

— Ależ Anusiu.... dalibóg.... nam trzeba koniecznie przenieść się na Podwał. Już lokatorom wypowiedziałem mieszkanie, a nawet wynagrodziłem ich!

— To bardzo nierozsądnie z twojej strony. Lokatorowie płacili czynsz wysoki, a za te izdebki trzeciej części nie będzie.

— Przecież dla Elżusi trzeba jakąś ofiarę zrobić.

— Większą ofiarą będzie dla niej posag, a nie marnotrawienie pieniędzy dla głupiej ostentacji. Kto ją zechce znaleźć, ten znajdzie ją i na końcu Mostowej ulicy.

— Co też za głupstwa mówisz, Anusiu!

— Słowo w słowo, tak samo mówiłeś dawniej do mnie, gdy chciała przenieść się na Podwał.

Pan Izajasz spostrzegł że się sam złapał. Wydarł sobie garść włosów, a odfuknął z gniewu i rzekł:

— Z kobietami nigdy człowiek do ładu nie dojdzie. Myślałem że wam zrobię Bóg wie jaką radość.

— Być może że dawniej byłoby to dla nas radością. Ale dzisiaj, gdy mamy tutaj tak miłe sąsiedztwo, gdy Elżusia z towarzystwa senatorowej i jej biblioteczki wiele skorzystać może, dzisiaj byłoby wielkim nierozsądkiem ruszać się z miejsca na to, aby się więcej dorożek turkotało przed naszymi oknami.

Pan Izajasz zatrzęsł się z gniewu. Spostrzegła to żona i uśmiechnęła się nieznacznie z zadowolenia.

— Droga Anusiu, zawołał rozpaczliwie pan Izajasz, my musimy koniecznie ztąd się wyprowadzić.

— Mówiłam ci, że tracąc sąsiedztwo senatorowej, tracimy bardzo wiele.

— Ależ, na Boga, ja właśnie dla tego sąsiedztwa chcę się wyprowadzić.

— Dla sąsiedztwa senatorowej?... Nie, tego nie rozumiem! Nie nie rozumiem!

— Wiem że nie rozumiesz, ale tak być musi!

— Mówisz od rzeczy!

— Anusiu, zlituj się, nie pociągaj mnie za język.

— Zresztą, jeśli senatorowa tak ci zawadza, to lepiej jej wymówić mieszkanie, niżeli ruszać się z miejsca.

— O nie, nie, nie! Broń Boże! Niech mieszka jak najdłużej! Niech mieszka, choćby nie nie płaciła.

— Tego już nie rozumiem!... Izajasz, dwadzieścia lat żyjemy z sobą!... Cóż tobie jest?... Masz czoło gorące, ręce ci drżą, oczy się iskrzą jak u obłąkanego?

Słowa pani Izajaszowej podziały na miękkie serce męża. Wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie.

— Anusiu, jeśli mi dobrze życzysz, jeśli chcesz abym na prawdę nie stał się obłąkany, to nie pytaj mnie o nic więcej, tylko powiedz, że przeprowadzisz się na Podwał. Mnie tutaj strasznie duszno!

Pani Izajaszowa naprawdę zaczęła przeczuwać jakieś wielkie nieszczęście. Rozpłakała się i rzuciła mężowi na szyję.

Pan Izajasz już dawno takiej tklivości z jej strony nie doświadczał. Rozpłakał się także, uściśkał i ucałował wierną towarzyszkę życia i ostrożnie, jakby była istotą najsłabszych nerwów, posadził na krzesło.

Pani Izajaszowa płakała ciągle, a nawet dały się spostrzeżać początki spazmów.

Przestraszył się tego pan Izajasz, schwycił ją za rękę, aż rękaw w kilku miejscach się rozpruł, i na pół z płaczem zawołał:

— Jeśli koniecznie tego żądasz, to ci powiem! Ale zlituj się, to będzie źle!

— Nie gorzej jak jest! Ikała pani Izajaszowa.

— Więc słuchaj!.. Czy Elżusi niema w alkierzu?

— Poszła do senatorowej.

— A służąca?

— Jest w piwnicy.

Pan Izajasz sprawdził jeszcze to wszystko i ostrożnie drzwi za sobą zamknął.

Powróciwszy, usiadł przy żonie, a smutek oblał twarz jego.

— Są rzeczy, ozwał się po chwili z westchnieniem, o których i najlepszej żonie nic się nie mówi. Zmuszasz mnie jednak do tego i spodziewam się, że to, o czym ci powiem, zostanie tajemnicą przed całym światem, przynajmniej co się mnie dotyczy!

Pani Izajaszowa przyrzekła święcie dotrzymać tajemnicy, a serce jej drżało z radości, że raz położy koniec ciekawości.

— Poznałaś mnie, serce, zaczął pan Izajasz, gdy w porządnej kapocie z czerwoną podszewką i z trzosem ładownym holenderskim złotem wrócił z Gdańska. Nie znałaś mnie jednak, gdy miałem lat dzieścięć lub dwanaście.

— A gdzie wtedy byłeś?

— Wtedy byłem w Krakowie. Nie miałem rodziców i mieszkałem u krewnego, który był w domu nieboszczyka senatora, męża pani senatorowej....

Tu zaksztusił się pan Izajasz.

— Zapewne za rządęcę, dopomogła pani Izajaszowa.

— O nie, wcale nie! odparł smutno pan Izajasz.

— A czemże?

— Stróżem! cicho wyszepnął pan Izajasz i smutno zwiesił głowę.

— Stróżem? powtórzyła pani Izajaszowa i obej-

rzała się do koła, czy ściany przypadkiem tego słowa na ulicę nie podały.

Twarz jej poczerwieniała, oczy błysnęły złością.

— Nie gniewaj się, Anusiu, któż temu winien, jak się urodził? Mówiłem ci, że o takich rzeczach nigdy się nie mówi.

— Mów dalej, mów dalej! Jesteśmy sami, szepnęła zcicha pani Izajaszowa.

— Otóż będąc na losie swego krewnego, wyręczałem go czasem w jego robotach. Zamiatalem sień i nosiłem wodę. Głównem mojem zatrudnieniem było wycierać posadzkę u państwa senatorstwa.

Pani Izajaszowa westchnęła. Ciemny rumieniec oblekł jej twarz okrągłą i dobrze utoczoną.

— Byłem ubogim chłopkiem w czarnej konopnej koszuli. Pokoje senatora były dla mnie jakby kościół jaki. Ze strachem suwałem nogami po posadzce i bałem się oddychać całą piersią, aby tego pańskiego powietrza nie wiele spotrzebować. Robotę swoją uważałem za wielki honor....

— Piękny mi honor! zcicha szepnęła pani Izajaszowa.

— Gdybyś była na mojem miejscu, nie myślałabyś inaczej!.. Tak trwało kilka lat. Potem stało się w domu senatora wielkie nieszczęście!

Umarł senator nagle—mówią że mu serce pękło.

— Każdy człowiek umierać musi.

— To prawda, ale to co potem nastąpiło, tego nigdy w życiu nie widziałem! Senator był człowiek zasłużony, więc kto żył poszedł na pogrzeb. Zaczęwszy od rynku aż na Wesołą tak było pełno, żeby szpilka nie upadła na ziemię. Trumnę nieśli naj-

wieksi panowie miasta, a za trumną szła senatorowa z małym synkiem. Był to ten sam syn Floryan.

Pani Izajaszowa milczała. Oczekiwała ona jakiejś innej, daleko drastyczniejszej tajemnicy.

— I cóż w tem wszystkim jest tak dziwnego? zapytała po chwili.

— Co jest dziwnego? Czy tego sama nie widzisz? Czy sądzisz że ja mogę zapomnieć o tem, żeś kiedyś wycierał posadzkę u tej kobiety, żeś był prostym posługaczem, podczas gdy ona była tak wielką panią, a przy pogrzebie męża wyglądała istnie jak królowa!.. I ja... i ja... mizerak i posługacz od stróża, a dzisiaj właściciel dwóch domów w Warszawie, mam być panem tej kobiety, która dzisiaj jest najbiedniejszą moją lokatorką?... Nie, każde jej spojrzenie przypomina mi moję robotę w jej domu, obawiam się że mnie pozna i po dawnemu traktować będzie!.. Ty nie wiesz co to jest widok człowieka, który nam ustawicznie to przypomina, czego byśmy radzi wyprzeć się na zawsze! Czy licho ją tutaj do nas przyniosło?.. Gdyby sąsiad Tomasz o tem coś wiedział!..

— Pst! owała się pani Izajaszowa i położyła palec na ustach.

— Sza, nikomu ani słówka o tem!.. Z drugiej strony nie zniósłbym tego, aby ona z mego domu wyprowadzić się miała! Łzy w oczach mi stają, gdy sobie przypomnę, co to za państwo byli. A ja, com u nich posadzkę wycierał, ja mam dzisiaj dwa domy i jeszcze coś w trzosie!.. O co to na tym pogrzebie było! Złotą karetę posłali po nią panowie na ementarz, aby ją do domu zawieść!.. Nie, jabym jej nawet nie powiedział, gdyby mi komornego wcale nie płaciła! Niczym jej nie wziął i wyprowadzić

nie dałbym jej się.... Tylko nie chcę, aby mi to wszystko przypominała! Dlatego wyprowadzimy się na Podwał.

— Dobrze, wyprowadzimy się na Podwał, odrzekła pani Izajaszowa nie wiedząc, czy z dzisiejszej rozmowy ma się cieszyć, czy smucić.

Przeprowadzenie się na Podwał sprawiało jej wprawdzie zadość, ale z drugiej strony drzewo rodowe pana Izajasa wprawiło ją w lekką zadumę. Teraz dopiero wytłumaczyła sobie niektóre chropowatości charakteru swego małżonka, a jako mieszczanka czystej krwi i córka właściciela domu, poczuła się nagle w sytuacji kobiety, która uczyniła megalians.

Nie wiedział o tem pan Izajasz i zadumę małżonki wziął za objaw serdecznej zgody małżeńskiej. Uradowany tak szczęśliwym zakończeniem tajemnicy, objął ją tkliwie na około szyi i na oba policzki złożył dwa głośne pocałunki.

VIII.

Gdy pan Izajasz żonie swojej tajemnicę swego pochodzenia opowiedział, zastrzegł sobie wyraźnie, aby ta tajemnica między nimi została. Domowe jednak dzieje nie pozwoliły jednej stronie dotrzymać tych warunków.

Zaraz przy wyprowadzeniu się na Podwał zdarzyła się sposobność do tego. Pani Izajaszowa głośno i przed wszystkimi nazwała męża prostym chłopem, który w piecu palił w kamienicach i był stróżem. Narzekała na swoje nieszczęście, że przypadek związał ją z takim człowiekiem, który jej pojął

ani zrozumieć nie może, nie będąc równym jej w urodzeniu.

Elżusia słyszała to także i zmartwiła się. Wolała by tego niewiedzieć. Stała się podejrzliwa i badała z uwagą zachowanie się swoich znajomych, czy czego nie obaczy.

Wprawdzie ta zła wiadomość miała i dobrą stronę. Dowiedziała się przytem szczegółów o senatorowej, a Floryan mianowicie przybierał w jej żywej wyobraźni coraz jaśniejsze barwy. Jakoś już innym okiem patrzyła na niego, i zdawało się jej nawet, że i on inaczej spogląda.

Wyprowadzenie się na Podwał nie sprawiło w stosunkach sąsiedzkich wielkiej zmiany, jakby na pozor sądzić można. Dawni sąsiedzi, jako też i senatorowa, przychodzili często do państwa Izajaszów, ale zawsze nie tak często jak dawniej. W tym względzie ulżył sobie nieco pan Izajasz, ale z drugiej w ustawicznej był trwodze, że pani Izajaszowa przy pierwszej lepszej burzy domowej wszystko pani senatorowej wyśpiewa. Złagodniał więc jak baranek i nie dziwaczył wcale, gdy senatorowa do jego domu na Podwał przyszła.

Jakkolwiek senatorowa dawne stosunki z Podwalem zatrzymała, podejrzывała jednak pana Izajasa, że jako szczęśliwy dorobkiewicz, chce się piąć coraz więcej, i w tym celu opuścił ulicę Mostową, gdzie dla siebie odpowiedniej drabiny nie znalazł.

Podrażniło to trochę dumną a ubogą kobietę, której towarzystwo uważano za niewystarczające. Zamknęła to jednak w sobie, i nikomu nie dała do poznania. Bywała jednak rzadziej i to wtedy dopiero, gdy na nią mocno nalegano, albo gdy Floryan tego sobie życzył.

Floryan zaś był odmiennego od matki zdania. Przeniesienie się pana Izajasza na Podwał sprawiło mu pewną próżnię, której nie miał czem zapełnić. Dawniej choć w swojej izdebce siedział, zdawało mu się że nie jest sam. Potrzebował tylko z izdebki kilka schodów wejść na górę, a mógł już być w towarzystwie Elzusi i Bronisławy. Nawet mógł w swojej izdebce słuchać ich gry, gdy razem na cztery ręce grały.

Teraz jakoś inaczej rzeczy się przedstawiały. Na Podwał nie było wprawdzie daleko z ulicy Mostowej, ale nie było to już w jednym domu i pod jednym dachem. Gry słyszeć nie można było, ani śmiechu wesoło rozmawiających przyjaciółek.

Nie można było również wchodzić do domu o każdej porze dnia i godzinie, jak to dawniej bywało. Przyjście na Podwał miało już niejako pozór wizyty, której często powtarzać nie było można. Wprawdzie znalazła się znowu sposobność powtórzenia takich wizyt, ale potrzeba było zawsze szukać i stwarzać taką sposobność, co niemało czasem myśli i sprytu kosztowało.

Najlepszą i najwygodniejszą sposobnością do tego były książki. Elzusia lubiła czytać, a czytała jakoś tak prędko, że najmniej co trzy dni trzeba było nowej książki, albo przynajmniej innego tomu.

Odwiedziny więc Podwała mogły się tylko co trzy dni odbywać. Floryanowi było to zamało, bo dawniej przyzwyczaił się był do codziennego prawie bywania w domu pana Izajasza.

Zostawało mu między jedną a drugą wizytą dwa dni wraz z długimi wieczorami. Ponieważ innych znajomości nie miał, a nawet ze względu na matkę nie pragnął, poświęcał więc te wieczory pracy, któ-

ra kiedyś mogła go zaprowadzić na wyższe stanowisko.

Niewiedzieć jednak czy to z przyzwyczajenia, czy też z innych jakich powodów, wśród tej pracy przychodził mu często na myśl dom pana Izajasza, w którym wprawdzie nie było żadnej wyszukanej rozrywki, ale była prostota i swoboda, była cicha i spokojna atmosfera, bez piżma i paczuli, i innych odurzających narkotyków.

Elzusia albo grała, albo rozmawiała z rozsądkiem i z widoczną chęciwością rozszerzenia horyzontu swojej wiedzy. Podobało się to Floryanowi, i powoli, sam nie wiedział jakim sposobem, został nauczycielem Elzusi tego o czym ona jeszcze nie wiedziała.

Dla Elzusi wybaczał nawet wiele pani Izajaszowej, która nieraz dziwne, zaściankowe objawiała zdanie, co do poglądu na świat i ludzi.

Pana Izajasza polubił serdecznie, jako człowieka prostego, ale w swojej prostocie szczerego i poczciwego. Pan Izasz nie sięgał nigdy po nad skalę swego rozumu i nie potraçał nigdy o ten ton fałszywy, jaki często dał się słyszeć w rozmowie i zachowaniu się pani Izajaszowej.

Do tego dołączyło się jeszcze zachowanie się pana Izajasza względem niego.

Pan Izasz widział w nim zawsze owego małego chłopczykę, którego podczas pogrzebu świętej pamięci senatora krakowskiego, obecni podawali sobie z rąk do rąk, składając w synu winny hołd pamięci zasłużonego dyguitarza, i czyniąc niejako folę wezbranemu swemu uczaciu w owym dniu pamiętnym, a tak srodze bolesnym.

Jakkolwiek pan Izasz nie pojmował w całości tego pamiętnego wydarzenia, jednak instynktowo wi-

dział w synu św. pamięci senatora spadkobiercą tego, co się zacnemu ojcu należało.

Był więc dla niego z taką czcią i szacunkiem, tak wyraźnie przy każdej sposobności wyróżniał go od innych, tyle okazywał mu prawdziwego przywiązania, że Floryan był niejako zniewolony do odwzajemnienia się mu równą przyjaźnią i równem uczuciem. Niewiedząc jednak o powodach, które sentymentem pana Izajasza kierowały, szukał ich w ukrytych zamiarach ojca względem swojej jedynaczki.

Myśli takie przychodziły mu często do głowy, i coraz więcej zaczęły go w pracy jego turbować.

IX.

Pewnego dżdżystego wieczora późnej jesieni przyszedł Floryan na Podwał z książkami dla Elżusi.

Rodziców nie było w domu, tylko Bronisława siedziała przy fortepianie i rozmawiała z przyjaciółką.

Gdy Floryan wszedł do pokoju, Elżusia pośpieszyła do swego fortepianu, a Bronisława odstawiła szybko świecę od siebie, aby jej twarzy, która w tej chwili oblekała się ciemnym rumieńcem, nie widziano.

— Zapewne przerywam wzajemne zwierzenia się, zagadnął Floryan, z uśmiechem podając Bronisławie rękę.

— Mylisz się pan—odpowiedziała Bronisława, kobiety nigdy nie zwierzą się sobie.

— Jakto? Nawet przy największej przyjaźni?

— Nawet przy największej przyjaźni.

— Cóż ty mówisz, Bronisławo!—ozwała się Elżusia, i żartobliwie załamała rękę—jam myślała że ty z wszystkiego zwierzyłaś się mnie, a ty ukrywasz tajemnicę!

— Ukrywam tajemnicę? powoli wykrztusiła Bronisława, jakby ją co dławilo—ja żadnej tajemnicy nie ukrywam! Są rzeczy których ukrywać niepodobna, a jeśli mimo to nikt ich nie widzi, to przestają istnieć i giną.

— Nie zgadzam się z tobą.

— Bierz przykład sama z siebie. Ja cię nie osądzam o ukrywanie jakiej tajemnicy przedemną, choć mi o niej nigdy nie mówiłaś—a to z tej prostej przyczyny, że tę tajemnicę widzę i wyraźnie ją czytam.

Elżusia zarumieniła się i spuściła oczy w ziemię.

Floryan spojrzął na nią. Twarz Elżusi, zwykle wcale nieładna, wypiękniała w tej chwili dziwnym sposobem. Mianowicie usta złożyły się do tak pięknych linii, jakie tylko w obrazach Murilla i Rafaela podziwiać możemy.

Floryan nie widział jeszcze Elżusi tak pięknej.

Szlachetne, piękne uczucie jest w stanie twarzy każdej, choćby wcale nie ładnej kobiety, przeobrazić, jeżeli opanuje całą jej duszę.

Być może że Elżusia była w tej chwili życia, że właśnie to wejrzenie Floryana zeszło ją, gdy długo żywione marzenia w całym blasku stanęły przed jej duszą!...

W takiej chwili każda kobieta musi być piękną.

Floryan przez kilka chwil patrzył na nią. Sprawiało mu to jakieś dziwne uczucie. Czuł się w tej chwili szczęśliwszym, niżeli kiedykolwiek w życiu.

I byłby jeszcze dłużej tak stał i patrzył, gdyby nagle nie ogarnęło go uczucie, że ktoś patrzy na niego.

Odrócił oczy od Elżusi i spotkał się z dziwnem, gorejącem wejrzeniem Bronisławy.

Duże, wymowne oczy Bronisławy były szeroko otwarte i patrzyły na niego z głębokim wyrazem.

Był w nich żal i boleść, a wzrastający coraz więcej polsk kazał wnosić, że tam pod powieką zbierają się łzy, i lada chwila ztamtąd wypłyną....

Łzy jednak nie wypłynęły, ale zato rozległ się dziwny, metaliczny śmiech, któremu kilka silnych akordów fortepianu zawtórzyło.

— Ha, ha, ha! śmiała się Bronisława, Elżusia wzięła na prawdę moje żartobliwe słowa, i z uroczystością katechumenki załatwia pierwszy rachunek ze swoim sumieniem.... A jak też cudownie przy tem wygląda! Patrz pan, panie Floryanie!

— Patrzyłem, odpowiedział Floryan z utajonym gniewem, patrzyłem, ale pani spłoszyłaś mnie — dysonansem.

— Bo ja cała jestem dysonansem.

— Trzeba się nastroić do świata.

— Dzisiejszy.... deszcz mnie rozstroił.

— Wierzę — aby się z panią nie sprzeczać, na mnie bowiem wpłynął inaczej deszcz dzisiejszy.

— Widzę!

— W innym razie byłyby oczy pani niebezpieczne.

— W tym razie ponoszę sama karę za swoje oczy.

— Czyż dobrze widzieć jest źle?

— Ach! Niema większego nieszczęścia, jak — dobrze widzieć!

— Nie rozumiem pani.

Bronisława przesunęła ręką po czole, zamyśliła się na chwilę, a potem rzekła:

— Są naprzykład rzeczy, któremi pieścimy się w naszych marzeniach. Czasami są one nawet jedynym szczęściem naszym. Im dłużej zostajemy w tych złudzeniach, tem lepiej dla nas. A pomoga

nam do tych złudzeń, jeśli mamy wzrok krótki na rzeczywistość, która nas otacza. Ludzie z bystrym, dalej sięgającym wzrokiem muszą nieraz tracić to rozkoszne złudzenie.

— Czyż błąd lepszy od prawdy?

— *Nur der Irrthum ist das Leben, und die Wahrheit ist der Tod!* mówi poeta niemiecki.

— Pani znasz poetów niemieckich?

— Panna *bez posagu*, (ostatnie słowo wymówiła Bronisława z dziwnym przyciskiem) panna bez chleba powszedniego musi wiele umieć, aby pracować na ten chleb powszedni.

— Czyż tylko pieniądze są posagiem panny?

Bronisława rozśmiała się na to głośnym, metalicznym śmiechem, w którym dzwięczały jakieś dzwone, jakby żelazne struny.

— Czyż tylko pieniądze są posagiem panny? pytasz pan bez śmiechu i ironii... O, zapytaj pan o to każdego z mężczyzny, zaczawszy od studenta w ciasnym mundurku, aż do radcy sprawiedliwości! Zapytaj pan ich, a otrzymasz pan odpowiedź, że podobnego frazesu niema nawet w encyklopedyi, przez młodzież i profesorów wydawanej.

— Obawiam się, abyś pani tą ironią i tym sarkazmem nie natchnęła panny Elżbiety.

— Bądź pan o nią spokojny. Ona żyje w innych warunkach i z młodą wiarą przyjmuje to za prawdziwe szczęście, co w gruncie rzeczy może być tylko wyuczonym frazesem.

— Czemuż mnie tak zasmucasz? zapytała Elżusia.

— Bo ci dzisiaj — zazdroścę!

— Dlaczego tylko *dzisiaj*?

— Na to sobie pierwszej sama odpowiedz.

Floryan z pewnym niesmakiem słuchał tej rozmowy.

wy. Jakkolwiek do takich sarkastycznych wycieczek Bronisławy był przyzwyczajony, dzisiejsza jednak rozmowa sprawiała mu przykre wrażenie.

Pod tem wrażeniem cofając się w głąb swoich myśli nie spostrzegł wcale, że piękne usta Bronisławy drżały kurczowo, aby się do płaczu nie złożyć, aby cisnące się do oczu łzy powstrzymać.

W ostatecznej chwili dopomógł jej fortepian. Uderzyła z całą siłą w klawisze i po kilku wzniosłych, na marsz pogrzebowy zakrawających akordach, rozpoczęła jakąś przecudną improwizacją, w której prawie bez jej wiedzy wiązała się smutna, rzewna melodia.

Elżusia usiadła z dala od fortepianu na małej kanapce.

Obok niej zajął miejsce Floryan.

— Bronisława, ozwała się Elżusia, naprowadza mnie zawsze na smutne myśli. Na jej miejscu czułabym się bardzo nieszczęśliwą!... Co może czynić ją tak nieszczęśliwą?

— Sieroctwo jest wielkiem nieszczęściem, odpowiedział w zamyśleniu Floryan.

— Czasami może być ono szczęściem.

— Jak pani to rozumie?

— Jeżeli ją kto kochać będzie, to będzie to miłość prawdziwa!

— Czy sądzi pani, że są jakie miłości nieprawdziwe?

— Czasami może ktoś tylko posagu pragnąć.

— Wydarza się to bardzo często.

— A jeżeli do tego sama panna nie jest ładną.... Bronisława mówiła mi, że niedawno przyjechała do miasta jakaś milionerka arcy-brzydka. Zaraz w pierwszych dniach otoczyło ją grono młodych

ludzi, a nawet z tego powodu były już pojedynki między nimi... Mój Boże, jak nieszczęśliwą jest ta milionerka!

— Zależy od niej aby nią nie była.

— Jakiż jest sposób na to?

— Umieć rozróżnić szych od złota, wyuczony frazes od głosu prawdziwego uczucia. Nie uważać tego miliona za szczebel do podniesienia się w hierarchii towarzyskiej, czyli po prostu nie kupić sobie wyszarżanego człowieka z herbową koroną, która na drzwiczkach karcoty ma jakieś znaczenie, ale duszy kobiecej nie zapełni, jeśli ta dusza jest jeszcze jako tako zdrową.

Elżusia na to nic nie odpowiedziała. Przesunęła oczy po powietrzu, jakby tam zawieszane były jakie obrazy.

— Rozróżnić prawdę od pozoru jest tak trudno, zagadnęła po chwili.

— Zdaje mi się że łatwo, byle tylko nie patrzeć przez szkła próżności i źle zrozumianej dumy, odpowiedział Floryan.

Kiedyż kobieta może dostrzedz, gdzie jest granica próżności i tej dumy źle zrozumianej?

— Tam, gdzie się kończy prawdziwe uczucie!

— To są formułki tak ogólne, że ich nigdy zastosować nie można.

— Wtedy są tylko ogólne, jeśli kobieta sama sobie chce coś na korzyść swoje wytłumaczyć.

— Któż jest nieprzyjacielem siebie samego?

— Kobieta próżna.... A że takich kobiet bardzo wiele jest na świecie, ztąd też jest i wiele nieszczęść, na które później niesprawiedliwie narzekamy.

Po tych słowach nastąpiło dłuższe milczenie.

Bronisława grała dalej. Jej powieki były do połowy zamknięte, z pod których błyszczały oczy jak dwa węgle niczem nie zgaszone.

— Jakie masz pani pojęcie o szczęściu? zapytał po niej jakim czasie Floryan.

— Szczęście, odpowiedziała Elzusia cichym głosem — szczęście wyobrażam sobie jak ptaka w klatce, byle tylko ten ptak nigdy nie próbował przejść pomiędzy szczeble.

— Chciej mi pani ten obraz bliżej wytłumaczyć.

— Wyobrażam sobie, że szczęście nie potrzebuje wielkich przestrzeni. Zajmuje ono mało miejsca, byle tylko nigdy nie zapragnąć wyjść z niego.

— Dobrze wyjaśniłaś pani myśl swoje... ponieważ jednak ptak w klatce nie kontent z tego, że z niej ma zawsze pomiędzy szczeble do większych przestrzeni zaglądać, więc szczęście nasze które on przedstawia, byłoby bardzo zagadkowe...

— Zależy od tego, czy widok na szersze przestrzenie przysłonić można.

— Masz pani słuszność, w takim razie byłoby szczęście możliwe.

— Chodzi tylko o to, czy ten rozleglejszy widok czem przysłonić można?

— Kobieta zasłania go — sercem kochającym, mężczyzna, poświęceniem się dla niej.

— Pierwsze jest łatwe, ale drugie... z cicha wypełnęła Elzusia, a ciemny rumieniec wystąpił jej na twarz.

Floryan spojrział na nią z pewnym niepokojem.

Była teraz jeszcze piękniejszą niżeli przed godziną. Jej twarz zmieniła się zupełnie. Gdyby ktoś z obcych na nią spojrział w tej chwili, nie byłby jej nawet poznał

Gdyby kobiety wiedziały czem dla ich twarzy jest piękne, szlachetne uczucie, nie karmiłyby nigdy duszy swojej żadnem innym marzeniem, jak tylko takim, które rodzi to piękne, szlachetne uczucie.

Uderzającym przykładem w tej chwili była Elzusia. Twarz jej nie była nigdy ładną, jednak w tej chwili tyle było w niej wdzięku i uroku, tyle wyższego powabu, że najwybryduiejszy artysta mógłby z niej mieć model bardzo pięknej, a przynajmniej nader ujmującej kobiety.

Kobiety w takich chwilach wywierają na sercach niezatarte wrażenia; jestto prawdziwy moment miłości.

Pamięć tej chwili przechowuje się w sercu, do niej wraca dusza zawsze, a nawet wtedy, gdy przed sobą widzi twarz codzienną, zmarszczkami okrytą...

Do tej chwili wraca serce i pamięcią tej chwili kocha kobietę, która w oczach powszedniego, objętego świata może być czemciś bardzo powszedniem.

Floryan w takiej chwili ujrzał teraz Elzusię.

Dziwne wrażenie sprawiła na nim ta chwila. Serce uderzyło mu żywiej, przestrzeń pokoju rozjaśniła się przed nim, jakby światło jutrzeńki zajaśniało przez okna.

Bronisławy nie widział w tej chwili. Słyszał wprawdzie jakieś tony rzewne i przemawiające, ale te tony napęłuiły całą przestrzeń pokoju, falowały jako mgła wiosenna w koło niego i przemawiały nader rozkosznie do jego duszy...

Po niej jakim czasie szepnął z cicha do Elzusi.

— Powiedziałaś pani, że kobieta może sercem swoim zasłonić komuś świat cały?...

— Czuję że powiedziałam prawdę, odszepnęła Elżusia, a głos jej zadrżał jak struna gitary.

— Pozostaje teraz mnie odpowiedzieć, czy może mężczyzna poświęceniem się swoim dla kobiety zasłonić jej świat cały —

— Jakże pan na to odpowiadasz?

— Odpowiadam słowami pani: *Czuję*, że to być może.

Od kilku chwil przestała grać Bronisława. Ani Elżusia ani Floryan nie spostrzegli tego.

Bronisława słyszała ostatnią rozmowę.

— Powiadasz Elżusiu, ozwała się do nich, że kobieta sercem swoim może mężczyźnie cały świat zasłonić!... Takim mężczyzną wzgardziłabym na zawsze, gdybym ujrzała, że moja miłość zasłania mu wszystko inne na świecie! A gdzież w takim razie byłyby obowiązki dla społeczeństwa, dla bliźnich, dla potomności?... Kobieta zasłaniająca sobą wszystko, popełnia poprostu zbrodnię — a mężczyzna dający sobie jedną kobietą wszystko zasłonić, jest niegodny, aby go serce wznioślejszej kobiety kochało!...

— Może pani temi słowy uprzedzasz tylko moją odpowiedź, jaką chciałem właśnie dać pannie Elżubiecie? ozwał się z uśmiechem widocznego zadowolenia Floryan.

— To przepraszam, żem z dzisiejszego wieczoru, o którym prawdopodobnie nie wszyscy zapomną.... chciała wziąć coś dla siebie, odpowiedziała z namiętnym wyrazem na twarzy Bronisława.

— Czyśmy tak bogaci abyśmy komu coś dać mieli? zapytał Floryan z uśmiechem Elżusie.

Elżusia była ciągle jakby w ekstazie. Jej twarz rumieniała się, oczy błyszczały.

Zamiast odpowiedzi, rzuciła się Bronisławie na szyję i zaczęła ją namiętnie całować.

Bronisława jednak nie oddała jej pocałunków. Zbladła w jej gorących objęciach i uspokoiła się nagle, jakby z niej całe życie na raz uciekło. Była podobną do pięknego zimnego posagu z kararyjskiego marmuru.

— Cóż ci się tak nagle stało? pytała śród pieszczot Elżusia, przecież ożyj, dam ci połowę życia, którego mam w tej chwili zawiele. Słyszysz, Bronisławo?

Bronisława nic na to nie odpowiadała.

Floryan widział tylko Elżusie.

— Nie kochasz mnie, szczebiotała dalej Elżusia, nie podzielasz nic ze mną... Czegoś tak nagle skamieniała?

— Bo obaczyłam twarz Meduzy, która broni wstępu do złotego runa szczęścia! odpowiedziała zwolna Bronisława, a jej twarz smutna i blada poczęła ożywiać się cierpkim uśmiechem.

— Precz z tą twarzą, precz z twarzą Meduzy! wołała Elżusia, całując co raz goręcej przyjaciołkę, dzisiaj nie trzeba nam tej twarzy z wężowemi splotami!...

— Czy jej nie widzisz? z uśmiechem gorzkim przerwała Bronisława, patrz przez okno!... Widzisz jak te drobne wężyki wiją się z nieba ku ziemi. Czy niesłyszysz ich syku i plusku?...

— To deszcz!

— Tak jest, ten deszcz to moja Meduza — jutro mam lekcję! rzekła Bronisława i rozśmiała się tym dziwnym, metalicznym śmiechem, w którym był związek jakiś, ale śmiechu nie było.

Rzekłszy to, zaczęła się ubierać i w tece układać nuty.

— Biednaś ty z temi lekcyami! westchnęła Elzusia, patrząc na krzątającą się Bronisławę.

— Nie ubliżaj w tej chwili moim lekcyom, odpowiedziała spokojnie Bronisława, są one teraz dla mnie jedynem dobrodziejstwem.

— Dobrodziejstwem?

— Tak jest, najprzód dają mi chleb, a potem odbierają mi zbyt wielką czułość w mojem nieszczęściu!... Gdybym jutro nie miała ośmiu godzin nieustannej i nużącej pracy przed sobą — to bym mogła umrzeć, lub przynajmniej oszaleć.

— Zawsze masz dzikie myśli.

— Powiadam ci, gdy będziesz nieszczęśliwą, a gdy do tego nie będziesz miała pracy wyczerpującej siły, to twoje nieszczęście może cię zabić.

— Precz z takim prorocstwem!

— Dobranoc ci.

Po tych słowach nastąpiła cisza grobowa.

Na dworze pluskał deszcz i szumiał wicher, a bezludną ulicą Podwała sunęła się zwolna, pochylona naprzód postać kobieca, za którą postępował drugi cień, jakby towarzyszącej służącej.

X.

Całą dzisiajszą noc świeciło się światło w pokoju Floryana przy ulicy Mostowej.

Księgi rozmaitego formatu, kodeks Napoleona i pandekty leżały w nieładzie na stole. Były one przeznaczone do dzisiejszej pracy.

Floryan nie zajrzał do nich ani razu. Chodził po pokoju zamyślony. Czasami stawał i jakby się

ze snu jakiego chciał obudzić, przesuwał ręką po czole i oczach.

Mimo to, nie mógł z przed oczu odpędzić obrazu, który uporczywie przesuwał się zwolna tam i napowrót. A obrazem tym była Elzusia.

Miała twarz dziwnie idealną, która zupełnie różniła się od jej zwykłej, codzienniej twarzy.

Była to twarz z owej chwili, gdy z nim o szczęściu rozmawiała.

Floryan chodził po pokoju... twarz ta nie odstępowała go ani na krok.

Wreszcie uznał, że i on tej twarzy odstąpić nie może, a gdy ostatecznie to postanowienie powziął, zajrzała do okna jutrzienka i różowem światłem oblała różowe jego marzenia...

Nie rozbierając się wcale, rzucił się na sofę, aby siły swoje pokrzepić snem choćby chwilowym, a gdy u Paulinów na ranną mszę zadzwoniono, powstał szybko i udał się do pokoiku matki, aby z nią o marzeniach swoich pomówić.

Senatorowa siedziała już ubrana w swoim dużym krześle, koło niej leżała książka do nabożeństwa. Widać że już odmówiła modlitwę poranną.

— Dobrze że przychodzisz, rzekła zaraz na wstępie do niego, mam właśnie z tobą do pomówienia o ważnej rzeczy.

Floryan, który właśnie w takim samym celu do matki przyszedł, zdziwił się, że matka uprzedziła go jakąś sprawą również ważną.

— Czy ta ważna rzecz mnie się tyczy? zapytał z pewnem nieukontentowaniem — bo ja miałbym daleko ważniejszą...

— Tak jest, ciebie się tyczy, mój Floryanie, odpowiedziała senatorowa i wyprostowała się z pewną

powaga, jakiej w stosunku z synem nigdy nie zaniedbywała.

— Słucham matki, rzekł Floryan i usiadł na krześle.

Senatorowa poprawiła się na krześle, pomilczała chwilę, a potem zaczęła:

— Wiem dobrze, kochany Floryanie, że ludzie nie zawsze są tem, za co ich mieć chcemy. Spodziewam się, że i ty to zdanie ze mną podzielasz.

— Zdanie to jest prawdą, odpowiedział zdziwiony nieco Floryan, ale nie wiem do kogo matka to zdanie chce zastosować.

— A juści do tych, którzy nas otaczają, a przeto najbliższej obchodzą.

— Czy myślisz matko o domu państwa Izajaszów?

— O nikim innym.

— Słucham z wielką uwagą, bo takiej rozmowy wcale się nie spodziewałem.

— Wierzę, bo matka więcej widzi i lepiej uważa...

Czy ci nie wpadło w oczy pewne oziębienie naszych stosunków z państwem Izajaszami?

— Oziębienie?... tego wcale nie spostrzegłem.

— A nie dziw! Tak jest w istocie.

— Nie mogę z tem się zgodzić. Przeciwnie, doznaję od pana Izajasza mianowicie takich względów przyjaźni i szacunku, że z nich zupełnie co innego wnosić mogę.

— Jesteś młody i nie znasz ludzi. Zdaje ci się, że kto rękę podaje, ten podaje i serce. Od ręki do serca daleko jeszcze, bardzo daleko.

— Z czegoż matko to wnosisz?

— Z mnóstwa mniejszych i większych rzeczy. Najprzód trzeba świat i ludzi tak znać, jak ja ich znam. Długie, bolesne doświadczenia uczą tego.

Floryan zamyślił się.

— Gdy żył twój ojciec, mówiła dalej senatorowa z surowym wyrazem na twarzy, gdyśmy mieli dawne stanowisko nasze, wtedy kłaniali nam się ludzie i byli uszczęśliwieni, gdyśmy komu rękę podali... A gdy ojciec twój umarł, potrzeba się najprzód było rozstać z większemi wygodami życia, a potem nawet zejść prawie do ubóstwa... Wtedy dopiero poznałam, czem dla świata powszedniego, dla świata, który tylko w mamonę wierzy, jest jakaś tam idealniejsza zasługa pracy i pocziwości...

Senatorowa umilkła przy tych słowach.

— Najprzód, mówiła dalej z pewnem wzruszeniem, usunęli się od nas dawni nasi znajomi. Mała tylko garstka została przy nas. A ci nawet z pewnych względów swojej egzystencji, nie zbyt często widywali nas. Jeżeli zaś o ludziach jednej kategorii to powiedzieć można, cóż można powiedzieć o tych, którzy bez wyższego umysłu zajęci są tylko robieniem miłego grosza i według tegoż grosza wszystko na świecie sądzą!... U takich ludzi jesteśmy niczem, jesteśmy mniej niżeli zerem! Nasza przeszłość, nasze dawne stanowisko, po którym złota nie zostało, śmierć ojca, słowem: my jesteśmy dla nich niczem.

— Przecież tego do pana Izajasza stosować nie można.

— Obaczmy!... Czyś nie spostrzegł, że zrazu dosyć obojętnie nas przyjmowano, a przynajmniej nie tak, jakbyśmy na to zaskazyli. Tylko jakaś dziwna ciekawość zbliżyła panią Izajaszową do nas. Mąż jej zaś tak był zawsze naszym widokiem niepokojony, że postanowił wynieść się z najbliższego naszego sąsiedztwa.

— Z tego punktu nie zwracałem nigdy na to uwagi.

— Państwo Izajaszowie należą do rzędu tych ludzi, którzy niską a długą pracą dorobili się pewnego majątku. U takich ludzi tylko ten jest coś wart, który ma także realny majątek lub znaczną pensyą. Innych, moralnych kapitałów tacy ludzie nie uznają. A my tylko takie mamy!

— Może matka bierze pozory za prawdę.

— Każdy ci to przyzna, że ideałem u takich ludzi jest wkupić się zarobionym swoim majątkiem w wyższą sferę towarzystwa, do czego nieustannie wdychają.

— Tej choroby tam nie spostrzegłem. Pan Izasz jest sobie prosty ale zacy człowiek, pani Izaszowa czasem z zaścianka na świat pogląda, a panna Elżbieta...

— Już od czasu naszej znajomości jest znaczny postęp ku temu. Z Mostowej wyprowadzili się na Podwał, choć przezto tysiąc złotych tracą komornego. Urządzili się z pewnym luksusem i ton jakiś wyższy przybierają. Pani Izaszowa nie umie się nawet bardzo ukrywać.

— Wszystko to jeszcze nie przykonywa mnie.

— Pomyśl tylko jak rzadko teraz odwiedzają nas w naszych ubogich izdebkach. I na mnie nawet nie bardzo nalegają, aby częściej przychodzić do nich.

— Sprawia to oddalenie Podwala od Mostowej.

— Ludzi wytrwałych w przyjaźni nie powinno oddalać, odpowiedziała cierpko senatorowa i zmarszczyła czoło.

Po chwili wydeły się dumą jej usta, a cała postać wyprostowała się.

— Zresztą, mówiła dalej z uśmiechem ironicznym, między nami nie było tak gwałtownej przyjaźni. Zaiżyliśmy się do nich, aby choć słowo mieć do kogo przemówić. Powinni byli to ocenić i za to objawić nam wdzięczność w sposób należyty.

— Widzę z ich strony wielki szacunek dla nas.

— Drobnie rzeczy tworzą wielkie. Ja tylko mogę dojrzeć tych drobnych rzeczy, bo ty nie masz oczu obojętnych.

Floryan zarumienił się i zamilkł. Senatorowa udała że tego rumieńca nie widzi.

— Zdaje się, mówiła dalej, że oni zrazu przyłgnęli do nas, bo spodziewali się że my przez nasze stosunki wyprowadzimy ich na szerszy świat. Elżusia nawet kilkakrotnie do tego zmierzała.

— Za Elżusią mogę matce ręczyć! przerwał z widocznym zakłopotaniem Floryan.

— Człowiek i za siebie ręczyć nie może. Elżusia młoda dziewczyna, polata sobie trochę marzeniami, a w końcu zniży się do woli rodziców swoich, jak to wiele panien robi.

Floryan przybladł trochę. Senatorowa mówiła dalej:

— Jestem tego zdania, abyśmy nieco oddalili się od tego domu. Lepiej abyśmy sami zaczęli, niżeli żeby nas zupełnie opuszczono. Jeżeli nas mieć pragną, jeżeli naszą moralną wyższość uznają, jeżeli objawiają to przekonanie, że nie oni do nas, ale my do nich się zniżamy, to niech pierwsi starają się o naszą przyjaźń, niech to jawnie okażą i nas o tem przekonają....

— Droga matko!...

— Ubóstwo powinno mieć swoją dumę, a jeśli ubóstwo jest tylko epilogiem szlachetnego żywota

i wyższych uczuć, to wolno nawet nam w obec ma-
luczkiego świata grzeszyć—pycha!

Floryan niepokoił się widocznie.

— Nam niewolno zapomnieć, mówiła dalej z du-
mą senatorowa, czem byliśmy i co naszemu stanowi-
sku poświęciliśmy!

— Ależ, kochana matko....

— Są ludzie, którzy myślą że nam wielką ła-
skę czynią, jeśli nas zaproszą na kawałek mię-
sa, a to właśnie my wyświadczamy im łaskę, że
ten kawałek mięsa u nich jemy.

— Pozwól, droga matko, teraz mnie jedno słowo.

— Słucham cię.

— Nie gniewaj się, że moje zdania sprzeciwią się
tobie.

— Byłam na to przygotowaną, zawiązawszy tę
rozmowę.

— Inne zupełnie wyobrażenie powzięłem o domu
państwa Izajaszów. Mnie się zdaje że pan Izajasz
wielką wagę przywiązuje do naszej przyjaźni....
a nawet jasno daje mi zawsze do poznania.

— Cóż ztąd wnosisz?

— Ztąd wnoszę, że byłby bardzo rad pewnym
intencjom z mojej strony.

— Czy myślisz o Elżusi?

Floryan spłonął cały. Senatorowa patrzyła czas
niejaki na niego z widocznym upodobaniem. Potem
przybrała wyraz surowy, wydeła dumnie usta i rzekła:
— Od niejakiego czasu spostrzegłam twoje inten-
cye. Dlatego postanowiłam zatrzymać cię na tej
pochylej drodze!

— Ja widzę drogę prostą i otwartą!

— A gdybyś się zawiódł? Gdyby nagle zamknię-

to ci drzwi przed nosem i stylem podobnych do nich
ludzi powiedziano: nie dla psa kielbasa?...

Floryan zbladł, a potem cały stanął w płomie-
niach.

— Widzisz! Sama myśl przeraziła cię, a cóżby
dopiero było, gdyby cała Mostowa ulica z wszystkie-
mi kumoszkami, gdyby cały Podwał i część Krakow-
skiego przedmieścia opowiadały sobie, że córka pro-
stego handlarza, osoba nawet wcale nieładna, dała
odkosza Floryanowi ***... którego ojciec był sena-
torem rzeczypospolitej krakowskiej i umarł śmier-
cią człowieka szlachetnego?...

— Nie, to być nie może! wyjąknął Floryan, matka
masz uprzedzenia.... Elżusia bardzo mi sprzyja!

— Nie chcę cię bliżej badać w tym względzie.

— Wczoraj wieczór rozmawiałam z nią... widzia-
łem ją... i jestem przekonany, że czeka tylko osta-
tniego słowa odemnie.

— Czybyś wyrzekł to słowo?

— Myślałem o tem całą noc... i zdaje mi się że
zwlekać nie powinienem.

Senatorowa zamyśliła się. Długi czas panowało
milczenie. Floryan z niepokojem patrzył na matkę.
Senatorowa ozwała się:

— Dawno o tem myślałam, abys obejrzał się za
jaką godną towarzyszką życia. Pora była y teraz
po temu. Otrzymałeś urząd, który z czasem może
cię wynieść wyżej. Dzisiaj jest to wprawdzie za-
mało, aby żonę utrzymać, któraby nic do domu nie
wniosła. Nie chcę jednak sądzić, że dwa choć nie-
wielkie domy pana Izajaszka skłoniły cię do efektu
dla panny Elżbiety.

Floryan znowu się zarumienił.

— Niech mnie matka nie rani w ten sposób, od-

powiedział z indygnacją — wiem com winien sobie i pamięci ojca mego!

Surowa twarz senatorowej rozjaśniła się. Patrzyła chwil kilka z macierzyńskim uczuciem na syna, potem zbliżyła jego głowę do siebie i pocałowała go w czoło.

— Bądź takim zawsze, Floryanie, rzekła z rozrzwieniem, a ja spokojnie się patrzeć będę na zbliżający się grób....

Rozrzwienie opanowało matkę i syna.

Po niejkiej pauzie mówiła dalej senatorowa:

— Intencyom twoim w drodze stawać nie będę. Uważałam tylko, że mój obowiązek zrobić cię uważnym na niebezpieczeństwo, które ci grozić może, a którego ty nie widzisz. Dlatego chcę abyś z ostatniem słowem swoim wstrzymał się jeszcze czas niejaki. Być może że po tej rozmowie ze mną inaczey będziesz patrzył i co innego ujrzysz.

Floryan ucałował rękę matki i przyrzekł wstrzymać się ze swoim ostatniem słowem czas niejaki, chociaż wyraźnie dodał, że czyni to tylko dla woli matki.

XI.

Elzusia, o której dzisiaj w małych pokoikach przy ulicze Mostowej tyle mówiono i myślano, nie pozostała dłużną tym, którzy o niej mówili i marzyli.

Zaraz po wyjściu Floryana pobiegła do swego pokoiku i tam rzuciła się na sofkę, aby ten słodki sen, jaki przed chwilą miała na jawie, dalej kontynuować.

Jej serce odzywało się głośno, puls biły różniej. Czula, że żyje życiem zdwojonem, że jakieś nowe siły

przybывают jej i rozszerzają nad nią horyzont życia, jakiego dotąd jeszcze nie widziała.

Floryan oddawna był bohaterem jej marzeń. Opowiadanie matki o śmierci ojca jego podniosło go w jej oczach jeszcze wyżej, bo umiała to uczuć i ocenić.

Rzeczy jednak nie postępowały tak szybko, jak tego sobie życzyć mogła Elzbieta. Floryan zbyt wolno zbliżał się do jej serca. Tak przynajmniej wyobrażała sobie. Czasami wydało się jej, że jest bardzo blisko, a czasami znowu widziała go oddalającego się, w miarę tego w jakim usposobieniu na niego patrzyła.

Nieraz szła na spoczynek w tem przekonaniu, że Floryan rzeczywiście ją kocha i tylko z ostatniem słowem ociąga się z nieznanej przyczyny. Drugi raz ocierała łzy po wieczornej modlitwie i zasypiała z rezygnacją, że miłości u Floryana nie znalazła, że jest tylko grzeczny i bawi się w jej towarzystwie tak samo, jakby się w każdym innym bawił. A wtedy przychodziło jej na myśl, że nie jest ładną i że wcale dziwić jej to nie powinno, jeśli młody mężczyzna zatrzymuje się na granicy zwykłych towarzyskich stosunków.

Przy tej sposobności przychodziły także jej na myśl dwa domy, które prawdopodobnie kiedyś jej posag stanowić będą, ale wtedy bolesne uczucie ogarniało jej serce i byłaby w stanie pogardzać każdym mężczyzną, któryby tylko dla tych domów do niej się zbliżył, chociażby to był nawet sam Floryan.

Tego ostatniego jednak nie posadzała nigdy o fałszywy, brzydki egoizm. Po każdej z nim rozmowie poznawała w nim coraz więcej człowieka wyższego i starała się również wznieść się do niego.

Wyobraźnia jednak i zwykła fluktuacja duszy sprawiała jej często wiele zmartwienia. Co wczoraj widziała białem, dzisiaj tylko czarnem i na odwrót. Dręczyła się casemi godzinami, aby tylko mieć jedną chwilkę jaśniejszą, a ta zazwyczaj wynagradzała jej wszystkie udręczenia.

— Czy Floryan rzeczywiście mnie kocha, pytała siebie każdego dnia, czy tylko ja tak sobie wyobrażam?

Czasami takie zapytanie wprawiało ją w złoty humor. Grała wiele, śpiewała, była dla gości serdeczną i cały świat serdecznie kochała.

A często znowu takie zapytanie pogrążało ją w jaką zadumę, uczyniło ją milczącą i surową. Wtedy ani goście, ani świat cały, nikt nie miał z niej pociechy. Zasepiała sobą całą atmosferę.

Przy takiej ustawicznej fluktuacji serca był wczorajszy wieczór dla niej prawdziwą epoką przeszłości.

Usłyszała od Floryana słowa, jakich nigdy dotąd nie powiedziała, i powiedziała mu również niektóre słówka, które dotąd w głębi duszy starannie chowała.

Do tych słów należy się jeszcze dodać ich akcent, brzmienie głosu, spojrzenia, pauzy i tym podobne akcesorya, które często więcej znaczą i więcej mówią, niżeli same słowa.

Zebrawszy to wszystko razem, mogła Elżbieta być zadowoloną, mogła z wszelką pewnością marzyć o przyszłym szczęściu swoim, jeśli tem szczęściem był—Floryan.

Marzyła więc przez noc całą, marzyła jeszcze rano, gdy u Paulinów na mszę ranną dzwoniło, ma-

rzyła nawet wtedy, gdy ojciec ją zawołał, aby z nią o niektórych rzeczach pomówić.

W dużym, niebieskim pokoju oczekiwali ją rodzice.

— Pan Floryan był wczoraj przez cały wieczór, zaczął ojciec, patrząc z uwagą na Elżbietę.

— Była z nim i Bronisława, dodała szybko Elżbieta i lekko zarumieniła się.

— Nie potrzebujesz się rumienić, mówił dalej ojciec, nie widzę w tem nic złego, byle tylko wszyscy sąsiedzi tak samo wiedzieli jak ja. Ale sąsiadom to jakoś inaczej wygląda. W domu jest panna na wydaniu, młody mężczyzna chodzi od roku prawie, chodzi co dwa i co trzeci dzień... pytają zaraz co to z tego będzie?

— I pytają słusznie, dorzuciła pani Izajaszowa.

— Cóż ty na to, Elżusiu?

— Ja... ja... jakaś zakłopotana Elżbieta—ja sądzę, że pan Floryan ma rzeczywiste zamiary i że la-da dzień oświadczy to rodzicom.

— Czy tak przeczuwasz?

Elżbieta zarumieniła się i rzuciła ojcu na szyję.

Pan Izajasz odgarnął szeroką spracowaną dłonią włosy z czoła jedynaczki i ucałował ją z czułością.

— Wierzę ci, moje dziecko, rzekł po chwili, ale nie wiem czy ty się nie łudzisz.

— Nie wiem dlaczego by się łudzić miała, odpowiedziała za córkę matka. Przecież Elżusia byłaby dla pana Floryana gratką, jakiej na drodze się nie spotyka. Dwa domy, choć nie magnackie, także coś znaczą.

Pan Izajasz pokiwał głową.

— Anusiu, rzekł po chwili, ty nie znasz ludzi. Tobie się zdaje, że jeżeli stróż twój i Żyd lokator

przed tobą czapkują i panią cię nazywają, jesteś rzeczywście wielką panią. Wprawdzie każdy panem na swoim śmieciu, ale są ludzie, którzy i jednej cegły majątku nie mają, a jednak zawsze na drugich z góry patrzeć lubią. Im się zdaje, że to co oni w głowie lub w sercu noszą, więcej warte jest aniżeli dziesięć kamienic na Krakowskim Przedmieściu.

— To są głupi! zauważyła pani Izajaszowa.

— Głupi nie głupi! odparł pan Izajasz. Są między nimi tacy i tacy, zależy od tego, czy mają prawo, czy nie, patrząc z góry.

-- Hołysze takiego prawa nie mają! zauważyła znowu pani Izajaszowa.

— Hołysz hołyszowi nie równy. Jednych biorą z ulicy do cyrkułu, innych u pańskich stołów sadzają, chociaż ani jedni, ani drudzy nie mają szeląga w kieszeni.

Pani Izajaszowa na to nic nie odpowiedziała. Było to może nad jej rozum, aby o podobnych rzeczach z mężem rozprawiać, który jakoś więcej otarł się w świecie.

— Wracając do rzeczy, mówił pan Izajasz dalej, powiadam wam, że jakkolwiek pewni ludzie mogą być i bez majątku dumni i pyszni, to z drugiej strony nikt nie może mi równego prawa odmówić,

— Naturalnie, naturalnie! zawtórowała pani Izajaszowa.

— Jeżeli wnuk wojewody lub senatora może być dumnym z sukcesyi jaką po przodkach odziedziczył, chociaż na nią wcale nie pracował, to mi wolno być także dumnym z tego, co własną pracą swoją sobie zdobyłem!... Patrzcie! Wszystko to co mnie otacza, to ja stworzyłem. We wszystkim tem jest część mego życia, jest kropla potu z boleścią uronione-

go! Ja dla tego ani sobą, ani domem moim nikomu pomiatać nie pozwolę. Jeżeli kto z góry na ludzi chce patrzeć, to niech to czyni gdzieindziej, ale nie w moim domu.

— Do czego ojcuzko to stosuje? zapytała zaniepokojona Elżbieta.

— Tego na razie nie stosuje do nikogo, ale robię cię uważną, abyś potem nie potrzebowała narzekać na siebie.

— Ojcuzko zapewne myśli o panu Floryanie.

— Być może, że także o nim i o jego matce myślałem. Mam dla nich wielki szacunek, bo wiem czem byli, ale pochyłem drzewem także nie będę!

— Mogę rodziców uspokoić, że po wczorajszej rozmowie z panem Floryanem jestem prawie pewną, że dziś... jutro...

— Oświadczy się? uzupełnił pan Izajasz i rozśmiał się śmiechem niebardzo serdecznym.

— Obaczmy i wtedy pomówimy z sobą, dodała pani Izajaszowa, co więcej znaczy, czy senatorstwo krakowskie, czy dwa domy w Warszawie!

— Mateczka sprawa mi wielką przykrość!

— Żadnej przykrości, nie obawiaj się! Masz dwa domy, a jeśli ojcu jeszcze z tych domów zmażą długie małych, które hypotekę brudzą, to ręczę ci że będziesz mogła wybierać z tysiąca konkurentów. Być może że nawet wtedy i pan Floryan pośpieszyłby się...

— Niech mateczka tak nie mówi!

— Duszko, wszyscy oni do siebie podobni! I pan Floryan nie z innej gliny, chociaż senatorowa różne rzeczy rozpowiada.

— Przekona się mateczka że panu Floryanowi wyświadczyłaś niesprawiedliwość.

— Obaczmy to... dziś, jutro! jak powiadasz.
 — Dobrze, ja sam dopomogę mu.
 Na tem skończyła się poufna rozmowa familijna.

XII.

Nazajutrz przyszedł Floryan na Podwał. Zastał całą rodzinę zgromadzoną w małym pokoju, który panu Izajaszowi służył za kancelaryjkę, czyli kantor do przyjmowania kupców drzewa.

Elżbieta spozrzała na rodziców wzrokiem tryumfującym i cofnęła się na małą sofkę w kącie pokoju, które to miejsce, jak mniemała, miało być pamiętnem w jej życiu.

Floryan przywitał się z wszystkimi serdecznie. Mimo to jednak przyniósł z sobą pewną podejrzliwość, jaką wzbudziła w nim senatorowa. Postanowił dzisiaj być uważnym na różne drobne rzeczy i z nich wnosić, czy senatorowa w twierdzeniach swoich ma słuszość, czy nie.

Pan Izajasz i jego żona byli tak samo względem Floryana usposobieni i pilnie patrzyli na niego, czy ich przypuszczenia są prawdziwe.

Jedna tylko Elżbieta tym razem nie przybrała żadnej roli. Nie chciała podstępnie nikogo badać, bo serce jej mówiło, że w rzeczach miłości to jest niepotrzebne.

Twarcz jej była jeszcze od wczoraj rozjaśnioną.

Przywitawszy się z Floryanem, zrobiła mu miejsce przy sobie na sofie. Ujrzał to pan Izajasz.

— Usiądź pan przy nas, bliżej kominka, rzekł do niego i duży fotel przysunął między siebie a małżonkę.

Floryan usiadł na fotelu.

Żaden z nich nie wiedział że dzisiaj są adwersarzami.

Spoznarli na siebie w milczeniu.

— Przecież to nudno i smutno być musi, ozwał się pan Izajasz, mieszkać w tak małych i pustych pokojkach.

Elżusia uśmiechnęła się nieznacznie, bo aluzją ojca dobrze rozumiała.

Floryan zrozumiał także, że to aluzya, ale uprzedzony przez matkę, zrozumiał ją inaczej. Podniósł z pewną dumą głowę do góry, założył swobodnie nogę na nogę i odparł.

— W małych i pustych pokojkach można być szczęśliwym i lepiej żyć, niżeli w obszernych salonach, których prócz mebli, niczem innem zapełnić nie można.

I znowu nie zrozumieli się obaj.

Pan Izajasz ze znaczeniem spojrział na żonę, aby jej dać do zrozumienia, że się nie mylił.

— Ciekawa jestem, ozwała się pani Izajaszowa, czem salony prócz mebli mahoniowych zapełnić można.

Floryan uśmiechnął się, ale nic na to nie odpowiedział. Podobne zapytania matki Elżusi puszczał często mimo uszu.

— Zapewne, rzekł pan Izajasz, magazyn zawsze powinien stosować się do towaru. Ale jeżeli rzeźnik ma fantazyę, aby jatkę swoją złotem obiciem wykleić, to może to i zrobić. Niech to samo zrobi człowiek najgodniejszy w świecie, jeśli prócz wiatru w swoich izdebkach nie ma w kieszeni i dydka.

Floryan zaczął wierzyć, że matka może mieć słuszość. Przymówki pana Izajasza potwierdzały

to. Czemuż on tego pierwaj nie widział?... Rzekł po chwili:

— Ludzie zacni i czcigodni, którzy z wyższego stanowiska na swoje obowiązki się zapatrują, nie potrzebują żadnego tandetnego blichtru, aby czyjąś uwagę zwrócić na siebie.

— Przyznaję panu słusność, odpowiedział pan Izajasz, ale mimo to nie można lekceważyć tych, którzy godziwemi środkami przyszli do tego, że mogą sobie dla wygody kupić te błyszczące cacka niemi się otoczyć.

— Ale te błyszczące cacka nie zmieniają ich natury.

— Jak to pan pojmuje, zapytał pan Izajasz i strzelił do żony gniewnem spojrzeniem—jak to pan pojmuje? Czy sądzisz pan że to plami kogo, że własną pracą.....

— Uchowaj Boże, przerwał Floryan, biorąc pana Izajasza za rękę—nigdy czegoś podobnego powiedzieć nie mogłem! I owszem, każdą pracę osobistą mocno poważam, tylko sądzę że zebrany taką pracą grosz nie upoważnia nikogo do patrzenia z góry na ludzi, którzy, jak mówi pismo święte „lepszą część wybrali,“ chociaż ta część nie da im ani złota, ani kamienie.

Pan Izajasz uznał za stosowne spocząć tutaj nieco adwersarzowi nie nie odpowiedzieć. Potrzeba było trochę pomyśleć, aby dalszą wojnę podjazdową prowadzić.

Floryan także zamilkł, bo ton takiej rozmowy wydał mu się wstrętny. Jego dusza pragnęła w tej chwili harmonii, chciała się poić pięknymi obrazami przyszłości, ale nie chciała walki zdań, które tylko rozjątrzają.

Zdawało mu się że z dalszą walką może nabyć także przekonania, że matka miała słusność ostrzegając go przed niebezpieczeństwem. A on tego niebezpieczeństwa jeszcze nie chciał wiedzieć, nie chciał uwierzyć, że matka słusnie mówiła.

Nieubłaganą była jednak pani Izajaszowa.

— Nie słyszałam jeszcze nigdy, ozwała się, podnosząc mały nosek do góry, aby kamienice i złoto komuś w życiu zaszkodziły!

— Tak samo, odpowiedział Floryan, nie można twierdzić, aby komuś zaszkodziło ubóstwo, jeśli to ubóstwo sam sobie obrał, wybierając pracę, która jest zacna i pocziwa, ale która do bogactw nie prowadzi.

Teraz nastąpiło powszechne milczenie. Nikt jakoś nie miał gotowego słowa. Jedna i druga strona spostrzegła, że zadaleko zaszła. Czuć było w powietrzu obopólne rozdrażnienie.

Najwięcej na tem cierpiała Elżbieta. Każde sporne słowo było dla niej ostrym nożem, który jej serce ranił. Jeden listek po drugim opadał powoli z obfitego kwiecica jej marzeń. Smutno, bardzo smutno było jej w ciemnym kącie pokoju.

— Znajomi nie powinni nigdy spierać się z sobą, zaczął po długim milczeniu pan Izajasz, bo gotowi przekonać się że zamiast przyjaciołmi, są sobie nieprzyjaciołami!

— Tak daleko nigdy nie chciałbym zejść, odpowiedział Floryan, ale czasem potrzeba jest oświecić się wzajem.

— Tak, to prawda, surowa prawda!

— Czasami budujemy coś na fałszywym gruncie.

— To najgorzej!

— A jednak winą często nie po naszej stronie.

— Zarozumiałość, pycha zaślepia nas!
 — Czasami nazywa się to szlachetną dumą.
 — Niechże ta duma i w innych dumę szanuje.
 — Nikt drugiemu nie zabierze, co się jemu należy.

— Przecież nikt na świecie nie jest bez niczego, aby dopiero brać drugiemu.

— Nie rozumiemy się!

— Być może, nie mamy do tego ani nauki, ani sprytu. Elżusia może lepiej zrozumie.

Rzekłszy to, rozśmiał się pan Izajasz z własnego swego konceptu, a wstawszy z krzesła, wyszedł do drugiego pokoju, gdzie czekał na niego jakiś wspólnik handlowy.

Korzystając z tego zwrotu, Elżusia wstała z sofki i rzekła:

— Może przejdziemy do drugiego pokoju, bo ojciec ma do pomówienia z kimś w interesie handlowym.

— Zaraz wam służę, odpowiedziała pani Izajaszowa, przyniosę tylko wody, aby kwiatki popodlewać.

Zmiana położenia sprzyjała ukrytym zamiarom Elżusi. Mając sposobność pomówienia z Floryanem sam na sam, była pewną że przy pierwszych słowach upadną wszelkie złowrogie przywidywania rodziców i że za krótką chwilę wyjdzie z tryumfem z tej pierwszej sprawy serca swego.

Tak marzyć kazało jej serce, serce które przez całą noc po wczorajszej rozmowie biło niespokojnie. Przez całą noc układała sobie najrozkoszniejsze obrazy najbliższego jutra, żyła już tem jutrem, a dzisiaj miałaby wyrzec się tego wszystkiego?

Nie, tego uczynić nie mogła. Miała przekonanie że się nie łudzi, że Floryan ją kocha, tylko dziwne

usposobienie ojca zachmurzyło jej na chwilę niebo szczęścia!

Z mocno bijącym sercem, z twarzą zarumienioną poszła do drugiego pokoju. Za nią powoli, z głową ku ziemi spuszczoną, postępował Floryan.

Elżusia usiadła na krześle między oknami.

Była chwila, która rzeczywiście zagrażała wszystkim złowrogim podejrzeniom pana Izajasza.

Floryan zbliżył się do Elżusi i.... przemilczał tę chwilę.

Był on jeszcze pod wrażeniem ostatnich słów pana Izajasza. Do tego wrażenia przyłączyły się także wspomnienia z ostatniej z matką rozmowy. Wszystko to razem wzięwszy, dostarczyło Floryanowi materiału, aby nad położeniem swoim dobrze się zastanowić.

Miłość nie była u niego owym ształem bezwzględny, ształem bez jutra, który tempredziej gaśnie, im jawniej wybucha. O rozkoszach takiej miłości mogą bardzo wiele pisać młodzi poeci, ale Floryan był człowiekiem przez wypadki życia poważnie nastroszonym, do czego także przyłączała się praca całodzienna.

Miłości, jako czegoś oderwanego od życia, nie pojmował, nie widział jej w chwilowych wibracjach serca. Była ona dla niego synonimem szczęścia na całe życie. Chciał więc, aby to szczęście miało potrzebne ku temu warunki.

Nie upadł zatem w tej chwili na kolana przed Elżusią, jakby tego sobie ktoś mógł życzyć, nie chwycił nawet z gorączką jej rączek, aby na nich wypalić kilkaset namiętnych pocałunków.... tylko wziął sobie krzeselko i dosyć z daleka usiadł od okna.

Być może, że niejednemu widzi się dziwnem takie

utrzymanie się na pochyłości. Chwile jednak życia nie są to lizne, oderwane od siebie cząstki. Wiążą się one nie tylko z przeszłością, ale są również ogniwem przyszłości.

Floryan nie widział przed sobą innych warunków szczęścia. Jakkolwiek blizki widok Elżusi sprawiał mu już niejakię szczęście, ale między nim a nią przeżywał się w tej chwili jakiś cień złowrogi, rzucony przez podejrzenia matki i potwierdzony w połowie przez dziwne zachowanie się pana Izajasza.

Floryan był pewny, że ten cień zbladnie i zginie, ale uważał za stosowne przeczekać tę chwilkę. Ponieważ zaś wyczekiwanie takie nie jest bez pewnych rozkoszy, Floryan mimo swej woli i wiedzy zaczął się upajać takimi rozkoszami, które były dla niego tem ponętniejsze, im jaśniej pozwalały mu widzieć i sprawdzić to wszystko, przed czem matka tak uroczyście go ostrzegała, a co pan Izajasz swemi zagadkowemi słowami poczęści stwierdzał.

Elżusia, jako kobieta, wcale inaczej myślała w tej chwili. Uczucie było jej ostatecznym celem, w którym widziała szczęście swoje. Ta chwila nadeszła, jak mniemała, i z tej należało korzystać. Ozwała się pierwsza:

— Lękam się zawsze mówić z ojcem, gdy ma interesu handlowe na głowie! Dlatego i pan za złe nie weźmie ojc...

Ponieważ Floryan z ostatecznym słowem swoim postanowił przeczekać jeszcze czas niejaki i nawet matce wyraźnie to przyobiecał, musiał więc całą rozmowę z Elżusią w ten sposób prowadzić, aby uniknąć wszelkiej sposobności wymówienia tego słowa, jak również nie odebrania jej i sobie wszelkiej nadziei.

Droga jednak, którą ku temu celowi obrał, nie zaprowadziła go tam, gdzie tego sobie życzył.

— Najlepiej jest, przerwał Elżusi z udanym spokojem, takich drobnych rzeczy nierozbierać. Są to małe chmurki, z których nigdy deszcz nie pada. Przejdźmy do innego przedmiotu rozmowy!... Czy koncert onegdajsz...

— O koncertach tyle piszą w kurjerach — przerwała z małą chmurką na czole Elżusia, że do rozmowy o tym temacie prawie nic nie pozostaje.... Wracam do ojca —

— Ojciec pani, rzekł z uśmiechem Floryan, potrzebuje w tej chwili spokoju w interesach swoich — niech mu pani tego spokoju nie zamąca.... Czy zwróciła pani na ostatniem przedstawieniu „Zbójców“ uwagę na różnicę gry w rolach Karola i Franciszka?...

— Jeżeli pan dla mego ojca tak troskliwym jesteś, pocóż sprowadzasz do mnie rozbójników? zapytała Elżusia drżącym głosem, a w jej ożywionych oczach gotował się pocisk burzy.

— To chodźmy na balet! z wymuszonym uśmiechem odparł Floryan.... Owi nieśmiertelni Dwaj złodzieje...

— Nie poznaję dzisiaj pana!... Po raz pierwszy widzę pana w roli humorysty!

— Czasem jest to tylko maska, która łączy zasłania!

— Wolalabym pana widzieć — płaczącego!

— Tej zimnej rozkoszy nigdy pani nie doznasz! Elżusia podrzuciła z dumą głowę do góry.

— A jednak tyle ponęty jest w tej rozkoszy! rzekła po chwili, wstrząsając głową.

— W czemże zależy ta ponęta?

— Aby się śmiać, gdy inni płaczą!

Elżusia wymówiła te słowa z pewnym wysileniem

Przy ostatniem słowie drżały już łyzy w jej głosie. Floryan patrzył przed siebie zamyślony.

— Pani nie pozwalasz mi być samym sobą! rzekł po chwili.

— Uchowaj Boże, żywo odpowiedziała Elżusia, abym jakąkolwiek miała winę pańskiej apostazji!

Po tych słowach nastąpiło dłuższe milczenie. Floryan spostrzegł, że Elżusia używa względem niego jakiegoś tonu uszczypliwego. Cóżby on miał oznaczać? Czyżby to nie było potwierdzeniem tego, co matka mówiła?

Elżusia była w tem samym położeniu. I ona spostrzegła dziwny ton w rozmowie Floryana, jakiego dawniej nie zauważała. Cóżby on miał oznaczać? pytała siebie.

W tej chwili nadeszła pani Izajaszowa i zaczęła kwiatki podlewać. Rozmowa zwróciła się na inne pole, była jednak przy usposobieniu jednej i drugiej strony tak trudną, że przeplatana długimi pauzami, musiała się w końcu wyczerpać.

W kwaśnym humorze podniósł się Floryan i pożegnał Elżusią i panią Izajaszową. Pożegnanie było grzeczne, ale zimne i sztywne z obu stron.

XIII.

Po tej małej, z dziwnych nieporozumień wynikłej utarczce, nastąpiła kilkodniowa przerwa. Obie strony miały czas do wejścia w siebie i rozjaśnienia tego, co tam było ciemnego.

Pan Izajasz zauważył, że Elżusia w tych kilku dniach pobladła znacznie. Trapił ją ten pocziwy ojciec i nie widział wcale, że właśnie ta zmiana wypadła na korzyść córki. Twarz bowiem Elżusi wyszła-

chetniała jakoś. Powoli przybierała wdzięk i humor, którego dawniej nie miała.

— Czy nie był tutaj? pytał pan Izajasz każdym razem gdy z nad Wisły wrócił do domu.

Elżusia zaś każdym razem milczała, bo Floryan przez kilka dni wcale nie był.

Senatorowa prawie te same spostrzeżenia co i pan Izajasz robiła na swoim synie. Floryan wprawdzie nie zbladł tak znacznie, aby to widzieć było można, ale ogarnął go jakiś niepokój, który we wszystkich jego czynnościach się objawiał. Przytem był ciągle zamyślony i często dawał matce i innym odpowiedzi niestosowne.

W takim stanie rzeczy poczyniono z jednej i drugiej strony, bez uprzedniego porozumienia się, niektóre ustępstwa.

Pan Izajasz, widząc blednącą coraz więcej twarz swojej jedynaczki, zaczął potrosze wierzyć, że podejrzywanie jego względem senatorowej i Floryana było może nie ze wszystkim prawdziwe. To samo uczyniła i senatorowa. Widząc że Floryan tylko z przymusu wypełnia jej życzenie i Elżusią jest widocznie zajęty, postanowiła nie powstrzymywać go dłużej opieką macierzyńską na drodze szczęścia.

I bardzo dobrze złożyły się okoliczności potem. Elżusia wytłumaczyła ojcu, że długi czas nie było senatorowej. Pan Izajasz nie tylko dał się córce przekonać, ale zaraz na drugi dzień wybrał się z żoną i Elżusią na Mostową ulicę, a chociaż wewnątrz nie sprawiło mu to wielkiej przyjemności, nie okazał jednak tego nikomu. Był wesoły, opowiadał różne dykteryjki i często nawet senatorowę w rękę całował.

Elżusia nie była tym razem gościem u senatoro-

wej, ale kochającą córką. Dała jej tego dowody w każdym słowie, w każdej drobnej przysłudze. Pomagała przy herbacie, nalewała filiżanki, troszczyła się o cukier i łyżeczki.

Senatorowa i Floryan pozbyli się ostatnich mar, które ich dotąd niepokoiły. W skrytości duszy wyrzucali nawet sobie, że poczciwym ludziom wyrządzili krzywdę niesłuszną podejrzewaniem.

Całe to ich usposobienie odbiło się w przyjęciu gości, które tych ostatnich tak rozbroiło, że jeszcze przed rozejściem się powziął pan Izajasz postanowienie wydać walny wieczór u siebie, zaprosić kilku znakomitszych sąsiadów i senatorowę z synem, nie szczędząc węgryna i bakaliów.

Miało to stworzyć pewną, wyjaśnioną sytuacją dla wszystkich. Floryanowi miała być podana sposobność wyrzeczenia ostatniego słowa, do czego, według zdania pana Izajasza, miał dopomóc stary węgryn i strój nie zwykły Elzusi, praktykowany w takich okolicznościach. Strojem tym miała się zająć żona budowniczego, na co już w duchu przeznaczył pan Izajasz pięćset złotych.

Charakter uroczystego wieczoru miał niejako wpłynąć na przyspieszenie oświadczenia ze strony Floryana i niejako zobowiązanie matki i syna.

Wszystko to w jednej chwili ułożył i uporządkował w swojej głowie pan Izajasz i nim jeszcze od herbaty wstać zdołano, oświadczył to wszem obec i każdemu z osobna, że za trzy dni zaprasza do siebie wszystkich obecnych i nieobecnych na zraz pieczenia i kieliszek wina. Z herbatą pan Izajasz nie był jeszcze w zgodzie.

Z tajemnem zadowoleniem przyjęli to zaproszenie

senatorowa i Floryan, a oczka Elzusi zaiskrzyły się od jakiejś pięknej, przelotnej myśli.

I wszystko wróżyło jaknajlepsze rozwiązanie. Floryan ułożył sobie w dzień przed owym zapowiedzianym wieczorem wypowiadać się panu Izajaszowi w sposób uroczysty z dziejów swego serca i prosić go o rękę Elzusi. Następujący potem wieczór miał już niejako być radością w gronie familijnem, chociażby obojętniejsi goście o powodach tej radości wcale nie wiedzieli.

Pani Izajaszowa poraz pierwszy weszła w bliższe stosunki z żoną budowniczego, z którą przez lat kilkanaście nadaremnie walczyła, i powierzyła jej Elzusię, aby ją na ten wieczór ubrała według swego gustu.

I cudownych rzeczy obiecywał sobie pan Izajasz z tego ubioru swojej jedynaczki, na co drżącą ręką wyliczył przeszło osiemset złotych!

— Senatorstwo, mruczał przytem, jest w prawdzie rzecz droga, ale osiemset złotych piechotą także nie chodzą!

Wreszcie nadszedł dzień gorąco oczekiwany. Floryan wiedział że ten dzień będzie pamiętnym w jego życiu.

Zebrał jeszcze raz wszystkie swoje myśli i w momencie zrobił dokładny rachunek sam z sobą i postanowił nie cofnąć się od zamierzonego kroku.

Porozmawiał jeszcze w tej mierze wiele z matką. Senatorowa pozbyła się prawie dawnych skrupałów i uznała zamiary Floryana za dobre i szlachetne.

Okolo południa, w nastroju dziwnie poważnym pożegnał Floryan matkę i wyszedł do rodziców Elzusi.

XIV.

W domu pana Izajasz krzątano się już od rana. Pani Izajaszowa robiła przegląd kuchennych zasobów. Wydawała rozkazy gdzie i czego jeszcze kupić należy. Pan Izajasz obliczał mniej więcej konsumpcją wina, aby u Fukiera potrzebną ilość koszów zamówić.

Elżusia tymczasem zajmowała się więcej sobą. Marzyła trochę, trochę się śmiała, a czasem także w zwierciadle na siebie patrzyła. W jej pokoiku leżały różne stroje i stroiki, świeżo dopiero z magazynu przyniesione. Potrzeba było to i owo przymierzyć i znowu do zwierciadła się popatrzeć. A zwierciadło było dzisiaj dla niej bardzo przyjazne. Okazywało wdzięki i powaby, o jakich pierwiej zupełnie milczało. Osobliwie uśmiech był dzisiaj w zwierciadle niezrównany. Był to uśmiech marzenia, słodczy, szczęścia! Serce Elżusi przeczuwało szczęście, blizkie szczęście.

Śród tych przygotowań na horyzoncie szczęśliwego domu zgromadziła się nagle chmurka, która wszystkim tym pięknym rzeczom sromotnie zagroziła.

Kiedy właśnie pan Izajasz, jak wódz naczelny, już wszystko do szyku ustawił i przed walną bitwą nieco wypocząć zaprzagnął — otworzyły się drzwi z dziwnym skrzypem, a do pokoju wszedł listowy.

Pan Izajasz, jako handlujący drzewem, odbierał wiele listów z zagranicy. List jednak dzisiejszy coś go zatrwożył, a nawet zdawało mu się, że listowy podawał mu go z szczególnym wyrazem na twarzy.

Mogło to być tylko przywidzeniem, ale pan Izajasz wierzył że tak jest w istocie.

Z gorącą rozerwał pieczętkę i zaczął czytać. Czytał kwadrans — drugi i trzeci, a twarz jego wyglądała przytem, jakby miał przed sobą jakieś niezrozumiałe hieroglify.

Wreszcie ocknął się, krzyknął na żonę i powiedział jej krótko, że z dzisiejszego wieczoru nie będzie, że znakomitszych gości odprawić trzeba.

A nim jeszcze pani Izajaszowa jedno z tysiąca pytań wymówić zdołała, pan Izajasz był już na ulicy.

Wyjrzała za nim oknem i widziała tylko, jak skurczony biegł ku Zygmunтови, rozrzucając rękami jakby mówił do siebie.

Pani Izajaszowa odeszła od okna, aby tą hiobową wiadomością o wieczorku Elżusi jak najprędzej podać i z nią razem o tem ważnem zdarzeniu pomówić. Elżusi jednak nie było już w domu. Wyszła z żoną budowniczego na miasto, aby jeszcze jakiś sprawunek załatwić.

Teraz uwierzyła nagle pani Izajaszowa, że jest najnieszczęśliwszą kobietą pod słońcem. Uwierzyła że mąż cały świat jej zawiązał, że gdyby inaczej za mąż była wyszła, byłaby szczęśliwa i wesola i tak zawsze uśmiechnięta jak żona budowniczego.

I rozsnuwając stopniowo co raz czarniejsze myśli, uwierzyła sumiennie w swoje nieszczęście, a nawet wzięła dużą kraciastą chustkę do ręki i zaczęła płakać.

— Nie, to istny tyran! Ikała półgłosem, odebrał list jakiś i wyszedł, nie mi niepowiedziawszy. Jakaż opinią będą o mnie mieli sąsiedzi, jeżeli zapytają, dlaczego wieczór odłożony, a ja nic im nie

odpowiem? Cóż to za żona, pomyślą sobie, która o interesach męża nic nie wie?

Kiedy pani Izajaszowa w domu tak wyrzekała i dla męża gdy powróci pożądaną łaźnię gotowała — biegł pan Izajasz ciągle prostą drogą, jakby mu co do głowy strzeliło.

Przebiegł całe Krakowskie-Przedmieście, minął Kopernika i kilka ulic poprzecznych i zatrzymał się dopiero na samym końcu Nowego-Świata.

Wszedłszy do kamienicy narożnej, wybiegł na drugie piętro i ostrożnie drzwi otworzył.

W przedpokoju siedział staruszek z siwą brodą i drzemał. Ocknął się na widok gościa.

— Czy jest pan naczelnik? zapytał z gorączką pan Izajasz,

— Pan naczelnik... powoli ciągnął staruszek — widzi pan — naczelnik czasem jest, a czasem go niema.

— Mam pilny, krótki interesik.

— Widzi pan, interes może być pilny i krótki... ale gdyby naczelnika w domu nie było? to co?

— Czy jest, czy niema?

— Krótko mówiąc: niema. Ale widzi pan...

Tu otworzyły się drzwi i łysa głowa podstarzałego człowieka okazała się w progu.

— Ah! Pan Izajasz! Proszę, proszę!... Józefie, zamknij drzwi od sieni.

— Już ja tam długo tych drzwi zamykać nie będę, odpowiedział z indygnacją stary służący — niech inny zamyka, jeśli pan zemnie błazna robi!... Co to jest. Nie kazałeś pan żadnego wpuszczać, a tu wystawiasz pan nos do obcych ludzi. Co to jest!

Naczelnik jednak nie zważał na mruk starego

służącego i pana Izajasza pociągnął za rękę do swego pokoju.

Pokój, w którym teraz pan Izajasz usiadł na krześle, był to dosyć wykwintny salonik, napełniony rozmaitemi błyszczącymi fraszkami. Na ścianach wisiały w złotych ramach nie nader starannie pozbierane obrazki, na szklanych etażerkach było pełno różnych cacek i zabytków starożytnych, na stole leżały olbrzymie albumy i luzem porozrzućane fotografie. Francuzki dywan rozcielał się po posadzce.

Z tego saloniku otworzone były drzwi do sypialnego pokoiku, który urządzeniem swoim przypominał buduar kobiety. Były tam małe i większe zwierciadła, różne flaszki i flaszeczki, tygły i flakony. Szereg grzebieni, od grzebyczka miniaturowych rozmiarów, aż do olbrzymia fryzyerskiego z wulkanizowanego kauczuku, leżał symetrycznie uporządkowany. Koło łóżka perską tkaniną nakrytego, leżały różnego rodzaju przyrządy do ściągania butów. Jedne miały mechanizm skomplikowany i wyobrażały lirę, inne prościejszej struktury przedstawiały chrząszcza z rozczapierzonemi wąsami, albo misterną podkowę.

Z wszystkich tych drobnych wygódek i gracików wnosić można, że to było mieszkanie starego kawalera.

Rzeczywiście tak zwany „naczelnik“ był starym kawalerem, i sam sobie liczył lat pięćdziesiąt dwa.

Był on urzędnikiem przy banku, a że w biurze swoim miał dwóch podwładnych pisarzy dziennych, więc zwyczajem warszawskim nazywał się w świecie towarzyskim naczelnikiem.

Był to człowiek niskiego wzrostu, tuszy nieco większej nad potrzebę, twarzy czerwonej, oczu du-

zych, wypukłych. Włosy pierzchy już z głowy wraz z młodocianymi marzeniami i zostawiły pole czyste, błyszczące, jakby wypalony grunt bujnej niegdyś łąki. Jedyne szczątki zostały jeszcze nad uszami, które naczelnik rozprawdzał jak mógł najoszczędniej po całej głowie.

Zato wasy i brwi czerniły się, dzięki czarnemu woskowi, jak las gęsty bukowy. Okrągły podbródek okazywał, że naczelnik już dawno uspokoił się i żył regularnie jak chronometr angielski.

— Siadaj pan, panie Izajaszu, siadaj, wołał barytonowym głosem naczelnik, podsuwając gościowi krzesło.

Naczelnik nie zaprosił pana Izajasza na kanapę. Widać że kanapę miał dla innych gości. Pan Izajasz był u niego gościem tolerowanym.

Tak było w istocie. Pan naczelnik Bonawentura lubił tak zwane towarzystwo wyższe. Niżej od mecenasa nie schodził. Nienależnie jednak od tego miał także tak zwanych znajomych z handelków. Tylko w handlach znał takich znajomych i rozmawiał z nimi przy omszałych butelkach. Do tych należeli mieszczenie Starego Miasta, którzy radzi częstowali go u Fukiera, a którym w zamian pan Bonawentura dawał niektóre objaśnienia co do obrotu *efektami*, o czem mieszczenie nie mieli żadnego wyobrażenia.

Taki również stosunek był między nim a panem Izajaszem.

— Cóż, panie Izajaszu, mówił pan Bonawentura tonem protekcyjnym, zapewne nadeszła z Gdańska jakaś znaczna gotówka. Trzeba coś kupić — *efekta* nisko, bardzo nisko stoją!

Pan Izajasz poskrobał się w głowę.

— Daleko do efektów jeszcze, panie naczelniku, odpowiedział zakłopotany, ja tylko... ot tak... chciałbym na wypadek... gdyby...

Tu westchnął pan Izajasz i kułakiem otarł lzy.

— Tam do kata! zawołał zaciekawiony smutną postawą pana Izajasza naczelnik, tam do kata, cóż to jest! Czy nie jaka sromotna sukcesya?

— Tak... prawdopodobnie... widzisz panie naczelniku... długo, bardzo długo byłoby o tem mówić... jednak lepiej byłoby przy butelce u Fukiera.

Pan Bonawentura połknął i całą lysinę obszedł starannie ręką.

— Fukier Fukierem, ozwał się, on nam nie ucieknie, ale nie zaszkodziłoby kilka słów dla wyjaśnienia tutaj pogadać.

— Co tam słowa! Ja słów żadnych nie mam... mam tylko list... i to list może po raz ostatni ręką Sebastjana pisany!... Tak to życie człowieka.

— Ręką Sebastjana?... któż jest ten Sebastyan.

— Mój brat stryjeczny i wspólnik, który od lat pięćdziesięciu w Gdańsku mieszka.

— Hm, hm... w Gdańsku robią się pieniądze.

Pan Izajasz westchnął.

— Pocóż wzdychać. Człowiek każdy musi umierać. I my pójdziemy na Powązki, panie Izajaszu!... Jakież to list, o którym pan wspomina. Może są zawiłe cyfry?

— List... list... w liście cyfer niema, ale na wypadek gdyby koniecznie jakie cyfry się okazały... chciałbym więc rady pana naczelnika, bo to za granicą mogą człowieka oszukać ci Niemcy i jeszcze wyśmieć.

— Możesz mi pan ten list pokazać?

— Może u Fukiera?...

— Lepiej tutaj, do Fukiera pójdziemy potem.

Pan Izajasz wyjął list z zanadru i powoli rozwinął. Naczelnik wziął okulary na nos i zaczął czytać:

„Wielce kochany Izajaszu i panie bracie!

Lat pięćdziesiąt minęło, gdy opuścił nasz domek rodzinny, przez ten czas jak wiesz krwawo pracowałem, ale nie pracowałem, jak wielu naszych, tylko dla miłości grosza. Miałem dla mojej pracy inne pobudki.

Oto nieraz przychodziło mi na myśl, jak to nasi panowie grosz z ojczyzstego majątku wyduszony wiozą zagranicę i tam go marnotrawią. Widziałem to sam na własne oczy i mocno nad tem bolałem. Biorąc bowiem poprostu tylko kredkę do ręki i rachując, co my za granicą płaciemy, a co ona nam za to daje, to okazało się w końcu, że my koniecznie zbankrutować musimy. Otóż ta myśl trapiła mię nieustannie, póki nie postanowiłem sobie, aby wyjechać za granicę i tam pracą i oszczędnością choć częśćkę tych pieniędzy odebrać i napowrót krajowi je wrócić.

Bóg błogosławił myśli mojej i dzisiaj mogę już powiedzieć, że zamiaru mego, o ile na to siły moje starczyły, dokonał. Okrągła cyfra jest ... dzisiaj moim majątkiem.“

— Tu coś przemazane, rzekł naczelnik, patrząc przez papier do okna.

— Coś przemazane, odparł pan Izajasz i westchnął.

— Jeżeli się nie mylę... to będzie — milion!

— Być może... pan Sebastyan miał znaczne z Anglią interesa drzewem.

Pan Bonawentura odetchnął ciężko. Żałował, że pana Izajasza na kanapie nie posadził.

Potarł ręką po czole, plunął głośno z indygnacją, że jemu taki milion do gęby wpaść nie może i czytał dalej:

„Od kilku dni zaniemogłem. Mam lat górą siedemdziesiąt, kto wie, czy to Bóg nie ostrzega mnie, abym za życia rozporządził owocem pracy mojej...“

Nie mam rodziny, tyś mi najbliższym, panie bracie. Otóż proszę cię, przyjeżdżaj, abym z tobą mógł się rozmówić.

Na piśmie nic robić nie chcę, bo tu Niemcy wielkie taksy od tegoby wzięli. Chcę ciepłą ręką złożyć u ciebie mój dorobek i żywem słowem powierzyć ci niektóre myśli moje. Tylko śpiesz się, bo czuję, że dusza moja tęskni do Pana Boga! Nie chciałbym, aby po mojej śmierci ludzie tylko pieniądze znaleźli, pieniądze bez myśli, która je gromadzić kazała“...

Po odczytaniu tego listu, długie panowało milczenie. Pan Bonawentura przebiegał jeszcze kilka razy list oczyma i zastanawiał się nad każdym słowem. Pan Izajasz nie myślał o liście, ale o ręce, która ten list pisała. Była to ręka zacna i poczciwa i ręce tej zawdzięczał wiele, bardzo wiele. Smutek owładnął serce jego.

— Koniec końców, ozwał się wreszcie pan Bonawentura, smutek smutkiem... każdy człowiek umierać musi... a jeśli to przekreślone słowo w istocie milion oznacza... to jest nawet czem się pocieszyć po smutku! Zacni, poczciwi ludzie, którzy pieniądze zbierają! Żaden z moich krewnych pieniędzy

nie zbierał, chociaż jeden z nich miał być dygnitarzem za Stanisława Augusta!...

- I jakąż radę dajesz mi pan naczelnik?
- Tu wiele rzeczy trzeba jeszcze wyświecić.
- Chodźmy do Fukiera!
- Dobrze, chodźmy.

I dziwnie wzruszony pan Bonawentura wziął kapelusz i obadwaj wyszli na ulicę.

XV.

Na zamku biła godzina dwunasta, gdy Floryan z Mostowej wchodził na Podwał.

Nigdy jeszcze nie był w podobnym usposobieniu. Rozkosz i trwoga przechodziły koleją przez jego serce. Piękne obrazy przyszłości roztaczały się ponad nim, a za nim, zdawało mu się, sunęła się jakaś chmura złowieszczą, która tym pięknym obrazom groziła. Przyspieszył kroku, wpatrzył się daleko, daleko w swoją przyszłość pogodną, a mimoto słyszał za sobą jakiś dziwny huk, podobny do huku gotującego się gromu.

Wytłumaczył to sobie jakos; krok, jaki teraz uczynić zamysłał, był stanowczym krokiem, a takiej chwili życia towarzyszy zazwyczaj obok radości i pewna trwoga.

Z dobrą więc otuchą wszedł do domu pana Izajasza.

Zaraz jednak w progu uderzyły go dziwne głosy. Rozmawiano głośno. Głos mianowicie pani Izajaszowej był dziwny, nienaturalny. Dźwięczał on jak struna do powszechnego akordu niedostrojona. Pan Izajasz odzywał się rzadko, a w głosie jego było coś rzewnego. Czasami jak jasne perełki wydoby-

wwały się z tego chaosu słówka Elzusi, którym zazwyczaj wtórował metaliczny głosik Bronisławy. Cały ten chór różnogłosny prowadził silny baryton, którego dotąd nigdy w domu pana Izajasza nie słyszał.

Floryan zatrzymał się chwilę w przedpokoju. Sam nie wiedział czy ma iść dalej, czy się wrócić. Podobne towarzystwo nie sprzyjało jego zamiarom. On chciał właśnie uczynić krok tak ważny, chciał tej chwili nadać jak największą uroczystość, a tu zalatuje go gwar dziki, gwar ludzi, którzy przynajmniej po dobrem są śniadanku.

Chciał się właśnie cofnąć, gdy nagle drzwi się otworzyły.

— A co, nie zgadłem? zawołał podróżowany węgrynką pan Bonawentura, otwierając drzwi coraz dalej — czy nie zgadłem?... Mówię, tuzinami będą przychodzić... cha, cha, cha! I pocóż tu się smucić!

Przywitany w ten sposób Floryan; zatrzymał się na progu. Rzucił okiem w głąb pokoju, aby to dziwne przywitanie sobie wytłumaczyć.

Główny stół przed kanapą był nakryty, a na nim leżał tort olbrzymi, prawdopodobnie na wieczór przeznaczony, otoczony butelkami omszałymi i kieliszkami. Pan Izajasz nalewał właśnie próżny kieliszek. Pani Izajaszowa siedziała na kanapie z twarzą dziwnie zmienioną. Oczy miała czerwone od płaczu, a grube usta podniosły się tak rozkosznym uczuciem, jak u niej nigdy jeszcze Floryan nie widział. Była z tego względu w niemałym kłopotcie. Nie wiedziała czy płakać, czy cieszyć się. Płakać nakazywał zwyczaj, cieszyć się chciało serce. Chciała więc jedno z drugim pogodzić. W duszy

radowała się widocznie, a do oczu przykładając chustkę, ci ociąż tam w tej chwili ani jednej łzy nie było.

Elżusia siedziała między oknami na krześle i odtrącała łagodnie drobną rączką żywe, wesołe gesta Bronisławy, której twarz wyrażała gryzącą ironią.

Taki obraz przedstawiał się teraz oczom Floryana. A obok niego stał człowiek którego nie znał, a który w tak zagadkowy sposób go przywitał.

— Dałbym sobie ząb trzonowy wyrwać, żeś pan kawalerem! Krzyknął podchocony pan Bonawentura.

— Zapytania pańskiego nie rozumiem, z chmurką na czole odpowiedział Floryan.

— Jestem Bonawentura ***.

— Floryan ***.

— Obiecałem właśnie strapionemu panu Izajaszowi, że po nabytym z Gdańska spadku dobijać się będą kawalerowie o rączkę jedynaczki.

— Bo to, widzi pan, wyjaśniała pani Izajaszowa, mój mąż odebrał smutną wiadomość, że Sebastian brat jego stryjeczny umiera w Gdańsku i nas robi uniwersalnymi sukcesorami...

— Milion! milion uciął pan Sebastian pracę i oszczędnością. Daj mu Panie... wtrącił pan Izajasz.

— A co panie, czy nie miałem słuszności zapytać czyś pan kawaler, czy nie? mówił pan Bonawentura, biorąc kieliszek ze stołu. — Wypijmy na to konto węgryzka. Zdrowie tych wszystkich kawalerów, którzy teraz dopiero zaczynają kochać i wielbić piękne oczka panny Elżbiety...

Floryan stał wśród pokoju jakby grom w niego uderzył. Nie mógł jeszcze dobrze wszystkiego zro-

zumieć, sytuacja była jeszcze dla niego ciemna i zagmatwana, ale tyle tylko wiedział, że rola jego w takim położeniu będzie bardzo trudna.

Spojrzał na pana Izajasza. Pan Izajasz miał jedno oko zapłakane, a drugie śmiało się z rozkoszą. Zdawało się Floryanowi, że to oko patrzy na niego szyderczo.

— Już to pan naczelnik ma zawsze dobre koncepta, ozwał się do Floryana pan Izajasz, przymrużywszy zapłakane oko — zawsze coś dowcipnego znajdzie. Powiada że konkurenci wysypią się teraz na mój dom, jak proso z dziurawego worka. Ha, ha, ha... Może kieliszeczek...

— Dziękuję... Cóż jest za powód do tych dowcipnych konceptów pana naczelnika?

— Widzisz pan... smutna, bardzo smutna rzecz. Mój brat, stryjeczny mój brat Sebastian umiera w Gdańsku. Uzbierał sobie cały milionik.

Pan Izajasz otworzył tutaj zapłakane oko, a drugie przymrużył. Miał on serce zacne, poczciwe, ale nadzieja otrzymania w spadku miliona była nad jego siły i popsuła mu równowagę zmysłów.

— Milionik albo milion jest zawsze milionem, ozwał się pan Bonawentura — a pan Izajasz myśli, że przez skromność zmniejszy go. Ha, ha, ha. Mówię państwu, że od dzisiaj zaczną się kawalerowie oświadczać na różne tony i mutacje. Milion... to warto oświadczyć się pannie, choćby była jak noc brzydka...

— Panie naczelniku! napomniała mówiącego pani Izajaszowa.

— Broń Boże, mójścia dobrodziejko, szybko poderwał naczelnik, o pannie Elżbiecie wcale w tej chwili nie myślałem... A nawet myśleć nie mogłem,

bo panna... panna Elżbieta... jakkolwiek... jakkolwiek nie ma rysów greckich, ale ma dźwięk... wdzięk chciałem powiedzieć... tam do kata język się płacze. Przeklęty Fukier, z kąd on wziął takiego węgrzynka?... Ogień i płomień, mówię państwu.

Floryan zaczął widzieć coraz jaśniej, ale to co widział było dla niego smutne, bardzo smutne.

Zwrócił się do Elżusi. Koło Elżusi stała tam Bronisława i w koło szyi zawiązywała jej chustkę koronkową.

— Co robisz? mówiła Elżusia, broniąc się od Bronisławy.

— Co robie? odpowiedziała z ironicznym uśmiechem Bronisława, czy nie widzisz co robie? Zawiązuje worek pieniędzy—przestajesz być kobietą, jesteś workiem pieniędzy! Przed tym workiem będą teraz kłękać mężczyźni, będą czule słówka gadać, prosić o rękę i serce... ale właściwem nazwiskiem nikt się nie nazwie! Nikt nie powie: worka pieniędzy!...

Floryan zgryzł usta i spojrział na Elżusie.

— Czy i pan we mnie nic innego nie widzi? wyszepnęła Elżusia i zarumieniła się lekko.

— Dla mnie pani jesteś tem, czem dotąd byłaś, odpowiedział Floryan i nieznacznie zarumienił się także.

— To zawsze mało! odparła z lekkim westchnieniem.

— Nie lękaj się, zauważyła Bronisława, kurs twój wkrótce podwyższy się! Nawet u pana Floryana będziesz od dzisiaj czemś więcej.

— Gdyby pan Floryan to mi okazał, tobym w oczach własnych spadła nisko, bardzo nisko!

— Masz pani słuszość, odpowiedział z głębokim oddechem Floryan. Jeśli kto chce zarobić na pod-

wyższenie kursu, to musi pierwej nabyć papier po kursie niskim.

Masz pan szlachetne instynkta, dorzuciła Bronisława, a te instynkta chronią pana przed rozczarowaniem.

— Czy i pani tak sądzisz? zapytał Elżusi Floryan.

— Bronisława ma więcej rozumu odemnie, odpowiedziała w roztargnieniu Elżusia, skubiąc koniec wstażki.

W tej chwili weszła senatorowa do pokoju.

Służąca, którą wysłała pani Izajaszowa przed trzema godzinami, aby znajomych odprosić, zdążyła dopiero teraz na ulicę Mostową. Zapytana o właściwy powód tego odproszenia przez senatorową, tyle zagadkowych rzeczy jej odpowiedziała, że senatorowa, obawiając się jakiego smutnego wypadku, postanowiła udać się do państwa Izajaszów. Osobliwie płacz pani Izajaszowej i wyrzekanie na męża, że ją uczynił najnieszczęśliwszą z kobiet na świecie, dodało bodźca senatorowej, aby osobiście przekonać się, a w razie potrzeby dać pomoc nieszczęśliwej.

Wszedłszy do pokoju, niemniej od Floryana była zdziwioną tem, co tam ujrzała i usłyszała.

Zaraz w pierwszej chwili dowiedziała się o wszystkim. Pan Bonawentura nie trzymał długo języka za zębami i wyjechał przy pierwszej sposobności z jakimś conceptem, podobnym do tego, który był Floryan usłyszał.

Senatorowa przejrzała natychmiast sytuacją i spostrzegła, że dla Floryana nader trudne jest z niej wyjście. Postanowiła rozjaśnić ją czem prędzej, aby wiedzieć czego się nadal trzymać trzeba. Mia-

ła bowiem wielkie uprzedzenie o ludziach czysto materyalnych, którzy bez żadnej szlachetniejszej myśli grosz swój nagromadzili.

— Jeśli dobrze słyszę i pojmuję, ozwała się po niejkiej chwili, to państwo macie najprzód smutną wiadomość że krewny wasz w Gdańsku niebezpiecznie chory, a powtóre jest speranda po nim spadku.

— Milion! wtrąciła pani Izajaszowa.

— Milion nie milion, poprawił pan Izajasz, ale tak mały... mały milionik!

— Jeżeli tak jest w istocie, mówiła dalej senatorowa, to co do pierwszego wynurzam państwu szczerą kondolencją, a co do drugiego, to winszuję tak niespodziewanego szczęścia!

— To nic, mościa dobrodziejko, ozwał się pan Bonawentura, to nic jeszcze, ale jak się wiadomość o tym milionie po mieście, po kraju rozpryśnie, to będzie istna procesya konkurentów i epuzerów, począwszy od aplikanta sądowego, aż do senatora!... Nie jeden smolidrag, który dotąd chodził do pana Izajasz na kawał pieczeni, a przytem niby w oczęta panny Elżbiety wglądał, przyjdzie teraz jako czuły, oddawna kochający kochanek i przed panną i rodzicami ukłęknie, prosząc o posagi!...

— Co też pan naczelnik mówi, przerwała pani Izajaszowa ze znaczącem spojrzeniem na Floryana, jak można tak głośno myśli swoje wypowiadać, gdy jest niebezpieczeństwo, że ktoś usłyszeć może.

Senatorowa zrozumiała aluzję i zachmurzyła czoło.

— Zdaje mi się że tego niebezpieczeństwa nie ma, odpowiedziała z widocznem wzruszeniem, niech pan naczelnik dalej głośno myśli.

— Jakto? Przecież państwo wicie najlepiej, kto często bywał tutaj i pod pozorem panny spijał herbatki? Ten niezawodnie będzie teraz najpierwszą ofiarą! Ha ha ha, ofiarą! Dobrze mi się powiedziało! Tak, ofiarą, bo panna Elżbieta powinna teraz być nielitościwą.

Tu zrobił pan Bonawentura gest ręką, jakby Floryanowi chciał coś powiedzieć. Floryan usunął się, senatorowa zacięła usta.

— Nie wiem. zaczęła po chwili, jakie bohaterstwo widzisz pan w tem, jeśli na kogo spadnie niespodziewana fortuna. Jest to rzecz, której się nie odpycha, ale ztąd jeszcze bynajmniej nie wypływa, aby brać szcudła i po drugich ludziach chodzić! Bogactwo nie jest jeszcze bohaterstwem.

— Największem bohaterstwem dziewiętnastego wieku, mości dobrodziejko! replikował pan Bonawentura. Ja sam nawet, gdybym był tak sromotnie bogatym... (tu zrobił znowu jakiś gest do Floryana, jak się senatorowej wydawało)... gdybym był tak sromotnie bogaty, tobym tych wszystkich, którzy dawniej uważali mnie za hetkę pętelkę, wziął przed siebie i zgniółł na miazgę.

— My tam dlatego z ludzi nie chcemy się natrząsać! wtrąciła pani Izajaszowa. Już jest karą dla nich, że nas widzą u góry i do nas głowę podnosić muszą.

Podejrziwa i dumna senatorowa widziała w tem aluzją do siebie i Floryana. Podejrziwość podobną u ludzi, którzy przez zbieg okoliczności do poziomu ubóstwa zeszedli, chociaż z moralnej wartości swojej nic nie uronili, jest bardzo naturalną.

— Nie spodziewałam się, rzekła, podnosząc głowę do góry, że przychodząc do dobrych znajomych w odwiedziny, przyszedłam na rozprawy o pewnych dok-

trynach, o których już dawno wydano wyrok. „Złoty cielec“ był tylko na chwilę bożyszczem Izraelitów, jak nas pismo naucza—wnet musiał ustąpić miejsca „Przykazaniom Boga,“ które Mojżesz z góry przyniósł.

Pan Izajasz był już dobrze winkiem podochocony. Cześć! smutek, cześć! potrzeba rozmowy z panem Bonawenturą, który z mieszczaninem nigdy na sucho nie rozmawiał, były tego powodem. Słowa senatorowej o „złotym cielcu“ wziął wprost do siebie. Już zdawna podejrzliwy o lekceważenie siebie przez senatorową, trawiony w obec niej nieprzyjemnym wspomnieniem, że był kiedyś prawie sługą u niej, wspomnieniem, które dla ludzi jego rodzaju, jest istną znową śród życia dostatniego, wybuchnął teraz całą tłumioną dotąd namietnością, właściwą dorobkiewiczom.

— Wielmożna pani senatorowa, mówił z przyciskiem, nie raz raczy mówić do nas w sposób podobny. My ludzie prości lecz uczciwi zostawiamy każdemu, co się jemu należy. Przed dygnitarzem zdejmujemy czapkę, choć go nie znamy, hrabiemu mówimy: jaśnie panie hrabio—ale nie chętnie słuchamy słów, jakimi nas kto lekceważy. Zaszczytów w rodzinie naszym niema, antenatów nie znamy, bo nie byli żadnymi dygnitarzami, ale posiadamy grosz uczciwie zapracowany. Że zaś do tego naszego grosza dołącza się tytułem spadku milionik, to przecież tem bynajmniej nie zgrzeszyliśmy!... Widziałem ja hrabiów i dygnitarzy, którzy bardzo nisko kłaniali się milionom, chociaż nie w uczciwy sposób zebranych.

— Tacy to też hrabiowie i dygnitarze! wtrąciła z przekąsem senatorowa.

— Człowiek jest zawsze człowiekiem i lgnie do złotka! Wiem o tem, że i nas niejeden zaszczyt spotka.

— Takich zaszczytów nikomu się nie zazdrości!
— Powiadają:

Gdy kieszeń pusta
Wygodne usta
Choć głód tam łechce
Mówią: Jeść nie chcę.

Senatorowa poczerwieniała na twarzy. Powstrzymując jednak wybuch, rzekła z udanym pokojem:
— Jak widzę, państwo zaczynacie się pozbywać dawnych znajomych.

Pan Izajasz był już w ferworze mówienia. Dla dobrego konceptu mógł teraz wszystko poświęcić.

— Pozbywać jak pozbywać, odpowiedział z dumniejszym uśmiechem, ale czasem mętną wodę odlać trzeba z miski, jeśli rybki ziewać zaczynają.

— Ale z wodą można i rybkę wyrzucić.

— Nic nie szkodzi! Nałapie się świeżych! Same przyjdą do matni, bo czują kawał makucha.

— Cha, cha, cha! Milion to makuch nieszpety! wtrącił pan Bonawentura.

— Przecież w ten sposób wszystkich ludzi mierzyć nie trzeba, zauważyła smutno senatorowa. Są jeszcze inne kapitały w życiu człowieka i społeczeństwa, a takie kapitały w ostatecznym rachunku więcej zaważą, niżeli prosty kruszec, który może być środkiem, ale nigdy celem.

— Tak proboszcz na kazalnicy mówi co niedziela, a przecież ugania się za intratnem probostwem, wtrąciła pani Izajaszowa i mały nosek podniosła do góry.

Walka dwóch odrębnych światów, jakie w tej chwili reprezentowały senatorowa i pani Izajaszowa, była daremna. Nikt tam zwyciężyć, nikt przegrać nie mógł.

Spostrzegł to Floryan i chciał urwać niepotrzebną szermierkę, która walczących tylko rozjątrzała.

Wysłuchawszy tego wszystkiego co się tutaj powie-
działo, był przekonany, że wszelkie jego marzenia
ustać muszą. Występując z nimi, naraziłby się na
śmieszność i ściągnąłby na siebie niezасłużony zar-
zut, że dowiedziawszy się o milionie, zdecydował się
prosić o rękę Elżusii.

Być może że obawa tego zarzutu była niepotrzeb-
ną. Być może, że po niejakich wyjaśnieniach da-
łoby się to wszystko z jego marzeniami pogodzić.
Ale na przeszkodzie do tego stanął on sam.

Floryan był synem senatorowej, pracował z wyż-
szą myślą.

Przekonanie to wpoilo weni dumę człowieka szla-
chetnego, który wie że na swojej drodze nie spotka
się ze złotem.

Duma taka sprawia nadzwyczajną drażliwość
w stosunkach ze światem zwyczajnym.

Dziwna sytuacja dzisiejsza zaatakowała przede-
wszystkiem tę drażliwość. Floryan był w stanie
poświęcić teraz wiele, wszystko, aby tylko ani pył-
kiem podejrzenia nie splamić swego przekonania
o sobie.

Wszystko zprzysięgło się w tej chwili przeciw
niemu. Opinia publiczna tonem pana Bonawentury
potępiała go bez apelacji. Nawet najbliżsi jego
znajomi nie mogliby inaczej sądzić. Prócz tego
Elżusia w oczach zwykłego świata uchodziła za nie-
ładną. Któżby tam uwierzył, że ta napozór wcale

nieładna twarz miała dla niego kilka chwil wspo-
mnienia, w których ją widział prawie idealną, i że
do tej chwili odnosił swoje uczucia? O tem prawie
nikt nie wiedział, ale wiedział o milionie — milion
stanął teraz na pierwszym planie, a kobieta znikła.

Takie myśli przesuwają się przez głowę Floryana.
Nie widział żadnego wyjścia dla siebie. Jedynym
jeszcze ratunkiem była sama Elżusia.

Zbliżył się do niej.

Elżusia była już sama zmianą sytuacji podrażnio-
na. Do tego przyczyniła się jeszcze Bronisława,
która z gorzką ironią, po za którą wrzało serce na-
miętne, dogadywała jej ustawicznie. Mówiła o nie-
szczęściu, które ją teraz spotkało, mówiła o powa-
bach miliona, przed którym czołem bić będą, a co
ona przez nieporozumienie może wziąć za hołd dla
siebie.

Takie i tym podobne rzeczy wyskakiwały jak szu-
miące perełki z głębi wody, z pięknych zaciśniętych
ust Bronisławy i godziły w samo serce nieszczęśli-
wej milionerki.

Dołączyły się jeszcze do tego wspomnienia z ubie-
głych dni, w których tyle marzyła i cierpiała. Przy-
pomniła sobie jak próżne były jej wyczekiwania od
Floryana owego słowa jasno wypowiedzianego, któ-
re przed ślubem wiąże w sposób nierozzerwany
dwa serca, dwie dusze. Tem słowem nie udarował
jej dotąd Floryan, a czemu byłoby ono dla niej
w tej chwili? Cóż mogło wpłynąć na wypowiedze-
nie tego słowa? Może to, o czem Bronisława i pan
Bonawentura w sposób tak dosadny mówili?...

Elżusia była w labiryncie uczuć, domysłów i po-
dejrzeń. Zbudziły się nagle wszystkie skrupuły
młodego serca.

— Nie, pomyślała sobie w końcu, teraz trzeba się podrożyć. Trzeba odwetować sobie coś z ukrytych cierpień. Trzeba się dobrze przekonać, co ludzi pociąg^o do mnie.

W tej chwili zbliżył się do niej Floryan.

— Nie spodziewałem się, zagadnął, że w tak odmiennej sytuacji obaczę dzisiaj panią!

— Czy i panu wydają się dzisiaj inaczej? zapytała z pożyczanym od Bronisławy uśmieżkiem ironicznym.

— Już w tem zapytaniu jesteś pani—niestety—inną.

— Nie poradzę temu—są rzeczy, które odmieniają nas.

— Przed godziną tym słowom nie dałbym wiary.

— A teraz przystępujesz pan do wiary powszechnej, która jedynie zbawić może! Wygodna to wiara!

— Coż robić, jeśli między ludźmi tak trudno o wyjątki.

— Kto sam nie chce być wyjątkiem, oskarża zazwyczaj wszystkich o brak takiej woli.

— Czy dałem kiedy tego dowody?

— Zdaje mi się że pan dałeś! Piękne teorie nie są jeszcze czynem.

— Pani oskarżasz mnie o coś, o czem nie mam nawet wyobrażenia.

— Nie oskarżam pana, jeżeli i w tej chwili nie jesteś innym jak dawniej. Oskarżyłabym jednak, gdybyś stosownie do zmienionego położenia chciał i siebie odmienić.

— A gdyby to nie było żadną odmianą, ale prostą konsekwencją tego, czem dotąd dla pani byłem?

— Cha, cha, cha! To wychodzi na to, co Bronisława i naczelnik przed chwilą powiedzieli.

Śmiech Elzusi był czysty, serdeczny. Nie było w nim żadnego fałszu, jakto zazwyczaj bywa w śmiechu udanym.

Śmiech ten dosięgnął najgłębszych tajni duszy Floryana. Zadrzał cały, poczerwieniał nieznacznie i odparł:

— Na samym śmiechu mogłaś pani skończyć, nie dodając do niego żadnych słów. Był on wystarczającą odpowiedzią.

— Widzę, że pan jesteś sentymentalnym!

— A ja widzę, że tutaj cała atmosfera jest dzisiaj zarażona—milionem! Czy milion odbierze wszystko ludziom, po czem dawniej ich znaliśmy?

— Milion nic nie odbiera! Przeciwnie, daje on nam urodę, rozum, szacunek, a czasem nawet i antenatów.

— Czy pani i mnie masz za służalca milionów?

— Przynajmniej ostrzegam, abyś pan pozorów nie brał na siebie.

Floryan był cały czerwony. Usta drżały mu jakby miał febrę. Nie czuł nawet w tej chwili na sobie dużych, szeroko otworzonych oczu Bronisławy, których nie czuć było niepodobna. Były one gorące i błyszczwały niezrównanym blaskiem. Z pod ciemnych brwi wybiegały naprzód jak baterya obserwującego nieprzyjaciela.

Bronisława siedziała obok Elzusi. Oparła głowę o jej ramię i tak patrzyła na Floryana. Usta jej piękne, poruszały się za każdym słówkiem Elzusi jakimś krokiem wewnętrznym, pod powiekami zbierały się łzy i groziły z każdą chwilą ztamtąd wytrysnąć. Jej twarz była blada, jak twarz z białego marmuru.

Przy ostatniem słowie Elżusi odetchnęła głęboko. Uśmiech na pół słodki okolił jej usta.

Floryan spostrzegł teraz, że Bronisława jest świadkiem tej dziwacznej jego rozmowy z Elżusią. Zacerwienił się jeszcze bardziej i odpowiedział:

— Ostrzeżenia pani zdadzą się dla innych. Ja ich nie potrzebuję.

— W takim razie będę dla pana miała, jeśli nie co innego, to przynajmniej szacunek.

Floryan zagryzł usta. W rozdrażnieniu swoim ważył to za ostatnie słowo świeżej milionerki. Ukłonił się w milczeniu i postąpił ku matce, która właśnie w tej chwili wstała z krzesła.

Pożegnanie było zimne i sztwyne. Widocznie żegnał się milion z zasługą i pracą w ubóstwie.

XVI.

Gdy pan Izajasz z naczelnikiem w ciemnym kącie u Fukiera pięciorublową butelkę wypróżnił, wszedł do gościnnej izby zwykły żyd, z pejsami i w łapserdaku, potrząsł jarmułką i zaczął się na wszystkie strony oglądać. Służący sklepowy wziął go za kołnierz i dosyć dosadnie za drzwi wysunął. Twarz żyda ani się nie skrzywiła. Przeciwnie, łagodny uśmiech rozlał się po jego bladej, czarnej brodzie ocienionej twarzy.

— Ny, rzekł z sieni do służącego, wam zawsze żarty w głowie, a człowiek ma tyle interesów na głowie!

Rzekłszy to, wcisnął się znowu do izby.

— Wynoś się, bo cię wypędzę! krzyknął gniewnie służący.

Żyd uśmiechnął się słodko, położył rękę na brudnem ramieniu służącego i odrzekł:

— Wy *szajn-purec*, ile razy gębę otworzycie, to zawsze powiecie coś dowcipnego! Ja już znam to. Bywało jak tu chodził pan Godziemba — a *groiser purec*!...

— Nie szwargocz, tylko się wynoś! przerwał służący — i żyd wdzięcznie uśmiechnięty był znowu za progiem.

W tej chwili wchodził regent Bartosz do winiarni, jak to zawsze zwykł czynić przed spisaniem jakiego aktu.

— Ah! Goldberg! zawołał do żydka, dłaczegóż to wychodzisz z izby w sposób tak niefortunny!

— Przepraszam wielmożnego pana — odparł Goldberg, poprawiając kołnierz, kto jest nieprzyzwoity, czy ten co wypycha, czy ten, którego wypychają. Gdybym ja na przykład wielmożnemu panu regentowi nad ulicy na grzbiet kij dał, kto byłby nieprzyzwoity, czy regent Bartosz, czy Goldberg?...

Regent rozśmiał się.

— Niech wielmożny pan regent jemu co powie! mówił dalej Goldberg, ja tam szukam kogoś, mam interesa.

— Cóż mu powiem?

— Przecież panowie, jak tego trzeba, to mówicie, że my bracia mojżeszowego wyznania! A gdy nie trzeba, to brata mojżeszowego wyznania i za psa nie mają!

— Skarga twoja jest słuszną, panie Goldberg, ale cóż ci pomogę? Nazywasz się Goldberg, to jest złota góra! I na cóż ci tej złotej góry, jeśli stróż kamienicy może cię za kołnierz wziąć?

— Ny, o tem potem! Teraz niech tylko ja tam wejdę! Mam ważne interesa!

— Widzisz, panie Goldberg, aby wejść między ludzi i o swój kołnierz być spokojnym, trzeba mieć pewne prawa do tego. Tego prawa trzeba się dorobić.... Tymczasem stworzę ci legalny tytuł do wejścia do winiarni. Będiesz tam gościem, kupię ci lampkę wina.

Gruby regent zaśmiał się ze swego konceptu, aż piwnica Fukiera zawtórzyła, i wprowadził Goldberga, jako równouprawnionego gościa do winiarni.

Za kilka chwil siedział Goldberg przy małym stoliku, a przed nim stała faszka wina. Głaskał brodę i co chwila wołał na służącego, aby mu to i owo podał. Służący, który przed chwilą za kołnierz go brał, był teraz jako dla gościa bardzo grzeczny, przyniósł mu ognia i papierosów, zapalił i grzecznie uśmiechnął się.

Goldberg cmokał głośno językiem i dziwił się jak dwa złote mogą ludzi odmienić. Postanowił sobie w skrytości serca, że gdy będzie bogatym, wydawać będzie wiele pieniędzy, a wtedy będą mu panowie tak nadskakiwać, jak dzisiaj ten służący.

Tak rozmyślając, kręcił się Goldberg na wszystkie strony, szukając, jak się wyraził, swoich interesów.

I ujrzał tam kilku swoich „interesów.“ Jeden siedział niedaleko za nim, z nosem czerwonym i grubemi obrzękłemi wargami. Niegdyś był to ładny młodzieniec. Miał mająteczek po rodzicach nieszpety. Goldberg przeniósł ten mająteczek do kieszeni jednego z bogatych lichwiarzy, i sam przytem mały procencik zarobił. Drugi „interes“ był chudy i szpakowaty. Dobrze znali się z Goldbergiem. Teraz jednak nie przyznawali się do siebie. Było między

nimi pewne napięcie, o czem kołnierz i broda Goldberga mogłaby wiele opowiadać. Trzeci „interes“ był najokazalszy. Miał twarz okrągłą, rozjaśnioną i oczy błyszczące. Interes ten nazywał Goldberg „*curantes Geschäft*“, z którego obecnie miał dochód. Była to zielona, kwitnąca brzoza, z której wywierconego otworu lał się dla niego sok obfity. Kiedy ona uschnie, i stanie się prostem drzewem sągowem, o tem nikt w tej chwili nie myślał.

Goldberg popijał winko, cmokał językiem i kręcił się na stołku. Zdawało się, że jest sybarytą w tej chwili, wyłącznie winkiem swoim zajęty. Tymczasem nie wiele zważał on na winko, ale zato wiele patrzył na pijących, i pilnie łowił uchem różne słówka i półsłówka.

Osobliwie pilną uwagę zwracał na pana Izajasza, który zrazu coś potajemnie panu Bonawenturze do ucha szeptał, a po każdym kieliszku głos *crescendo* podnosił, i doszedł był teraz do *fortissimo*.

Po godzinie, gdy pan Izajasz z panem Bonawenturą powstali, powstał i Goldberg, a podziękowawszy regentowi za podstawę legalnej egzystencji w winiarni, wyszedł na rynek Starego-Miasta i tam chwilę zatrzymał się, jakby się namyślał. Potem, podśpiewując, puścił się dalej.

Poszedł ulicą Ś-to Jańską, minął Zygmunta, zawrócił na Krakowskie-Przedmieście i tam wszedł do sieni jednego z narożnych domów.

— Czy jest jasny pan hrabia? zapytał służącego w przedpokoju

Służący był zaspany i wybladły. Ziewnął i otarł oczy.

— A gdzieżby pan hrabia był, jeżeli nie w domu o tym czasie! odpowiedział z pewną indygnacją.

— Ny, mógł wyjść z domu, a wtdyby go nie było.

— Przecież dopiero południe, a któż widział, żeby przed południem hrabia wstawał i wychodził?

— To prawda! Hrabia *feiner purec*, a u panów południe, czem u innych rano! Czy można słówko z hrabią pomówić?

— Czy przychodzisz z pieniędzmi, czy po pieniądże?

— Ani z jednym, ani drugim; mam interes.

Służący myślał chwilę. Potem na znak przyjaźni i sojuszu wziął Goldberga za brodę, potrząsł łagodnie, to samo zrobił z nosem.

— Ja wiem, zawołał wzruszonym głosem Goldberg, że my z sobą w przyjaźni — dosyć tego — idźcie do pana!

Służący ziewnął, przetarł oczy i wszedł do pokoju. Za chwilę stał Goldberg przy progu w salonie.

Salonik, po którym Goldberg teraz pilnie się rozglądał, przedstawiał widok niezwykle. Urządzenie jego było wykwintne a nawet luksusowe. Obrazy wiszące na ścianach kazały wnosić, że tak zwany „hrabia“ był kawalerem. Już sam zmysł estetyczny kobiety nie byłby zniósł takich widoków.

Całe to jednak zbyt tkowne urządzenie przedstawiało w tej chwili widok pobożowiska.

Na dużym palisandrowym stole leżały szczątki cygar i munsztuki wypalonych papierosów. Pomiędzy niemi były porzucane kupki popiołu, którego tu i owdzie użyto do rysunku różnych figur i arabesków. Dla urozmaicenia widoku, świeciły małe kałuże i jeziorka z rozlanego wina. Nad tem wszystkiem górowały trzy bukiety kwiatów wyszukanych, które przed kilkoma godzinami trzymały piękne rączki, a teraz zmoczone winem, powalane popiołem

leżały pogniecione bezładnie i przypominały losy niejednej piękności, która zawrze sojusz z winem i cygarami!...

Kwiaty te mogłyby wiele, bardzo wiele opowiedzieć, ale Goldberg nie był zbyt ciekawy szczegółów, kontentował się tem co widział, i co z tego uważał.

Przed stołem leżały dwa krzesła na ziemi przewrócone. Jedno z nich straciło nawet kawał poręczy — widać że do przewrócenia użyto większej siły.

Butelek próżnych widać było po różnych kątach kilka tuzinów, a korkami była ziemia literalnie zasiana.

Dwa stoliki z zielonem suknem stały w rogach saloniku. Na nich leżały karty pogięte, podarte, a niektóre jakby na umyślnie gwoździem przedziurawione.

Atmosfera była duszna i dziwnej woni. Był w niej kwas winny, dym tytoniu i zapachy pachnidłał toaletowych, które tutaj po gościach wieczornych czy raczej nocnych pozostały i obrzydliwie z sobą walczyły.

Goldberg chlipnął kilka razy powietrza, zanim mógł przyjść do słowa, i dojrzeć gospodarza domu.

Zaiste, trudno go było dojrzeć. Leżał on na szeszlongu a nogi wystawił na stół. Przy nim był towarzysz. Bosy, w tej samej pozycji co i gospodarz leżał, z tą tylko różnicą, że plecy opierał o fotel.

Na stoliku między czterema parami kamaszków, stały dwie filiżanki z herbatą. Obaj towarzysze palili cygara.

— Przyznasz, mówił jeden z nich, że wieczorek

był niezrównany! W kołach „naszych“ kilka tygodni będą o tem mówić.... Jak ci się Klimcia podobala?

— Klimcia już podszarzała! odpowiedział towarzysz fotelowy, ale.... Frycek zgrał się wczoraj niemiłosiernie.

— Ej co tam Frycek! Żeni się bogato, będzie miał co przegrywać!.... Czy uważałeś że wczoraj „błyskotka“ do Jerzego zęby suszyła? Czy Flambery już ją opuścił?....

— Hm.... Bouquerel widocznie się psuje.

— Czy masz niestrawność?... Może absyntu.

— Pozwoli jaśnie pan, ozwał się w tej chwili Goldberg od progu, i chlupnął znowu powietrza.

— A któż tam? Czy ty Goldberg? zawołał gospodarz, podnosząc głowę z za stołu.

Był to człowiek młody. Mógł zaledwie sięgać lat trzydziestu. Twarz jednak oznaczała zupełną starość. Była blada, pomarszczona i pożółkła. Oczy wygasłe świeciły jak próchno w nocy. Usta sine, zakąszone, okazywały przebyte namiętności, po których tylko wspomnienie zostało.

— I czegoś chcesz, panie Goldberg? zapytał, kładąc się znowu na szezłagu.

— Miałbym do jaśnie pana słówko... jedno słówko.

— Mów ile chcesz.

— Ale ja chciałbym tak.... tak na osobności.... w cztery oczy....

— Możesz mówić bez ogródki wszystko.

— Dobrze.... ale gdy interes jest delikatny....

— Mów, nic nie szkodzi.

— To przecież być nie może.

— Powiadam ci jeszcze raz, że o wszystkim możesz mówić, co tylko chcesz.

— Względem interesu, cośmy przed tygodniem....

— O posażnej pannie?...

— Tak.... widzi pan—to tylko sam na sam można mówić, bo to zawsze rzecz delikatna.

— Czy ci obiecał wyszukać pannę z posagiem za żonę? zapytał towarzysz, zaciągając się dymem z cygara.

— Mówiłem mu by gdzie wyszukał, odparł gospodarz spokojnie i poprawił się na szezłagu.

— Czy mam czekać, jaśnie panie? ozwał się żydek od progu i musnął po brodzie.

— Mów o wszystkim. Nie mam żadnych sekretów.

— Jeśli jaśnie pan koniecznie każe, to ja będę mówił. Ale zawsze zdaje mi się, że to interes zbyt delikatny.

— Nie nudź mnie.

— Jaśnie pan, mówił, żeby miała ze trzy lub cztery kroć. Nu, jaki ja procent dostanę, jeśli taką znajdę?

— Obiecałem ci—dziesięć.

— Dziesięć to zamało. To wiele trudu i wydatku. Trzeba chodzić, myszkować, pytać się regentów, wyciągać z hypoteki, rachować w książkach kucpieckich.... a to wszystko kosztuje.

— Na koszta mogę jeszcze coś dorzucić.

— A jeśli więcej będzie, niżeli trzy lub cztery kroć?

— Co nadto—to dwadzieścia procent.

— To jakoś to będzie — muszę tylko wziąć do spółki regenta i dobrze go opłacić.

— Regent to gdzieś przecież wymyszkuje. Jakaś małoletnia pod dozorem opiekuna, niby wychowanka bogatych ludzi, osoba którą się opiekują wysokie sfery—jeżeli nie tu, to gdzieindziej....

— Rozumiem wielmożnego pana.... Czy nie mógłby wielmożny pan dać mi to na piśmie?

— Każdego czasu kiedy chcesz.

— Mogę przyjść jutro o tym czasie?

— Będę w domu.

Na tem skończyła się wizyta Goldberga, który wyszedł z niskim ukłonem z pokoju, a na schodach pogwizdywał już sobie wesoło i językiem cmokał, jakby zrobił dobry interes.

Po wyjściu Goldberga, panowało w saloniku czas niejaki długi milczenie. Tylko dwa strumienie siniego dymu wytryskiwały do góry, jeden od szesłaga, drugi z fotelu.

— Więc „Lubu,“ chcesz cię naprawdę ożenić? zapytał gospodarza gość fotelowy.

— Potrzeba mi pieniędzy! odpowiedział tenże.

— A Kajcio?

— Kajcio ograny już do ostatniego szeląga. Zrobiliśmy składkę i wysłaliśmy go na prowincyą, do wuja.

— A „kuzynka?“

— Z „kuzynki“ nie wiele pociechy. A Karolka przytem kosztuje mnie niemało. Ona właśnie zmusza mnie do ożenienia się, bo bez posagu żony będę musiał ją porzucić.

— Nieoceniona dziewczyna!.... I ona sama namawia cię do żeniaczki?

— Codziennie o tem mi mówi. To praktyczna i bardzo poczciwa dziewczyna. Ona wie, że wtedy byłoby i jej lepiej.... Mówię ci, żylibyśmy po królewsku.

— Że to ludzie szczęście mają na świecie.

— Byle być rozsądnym i poczciwym.

— Mówią, że Bolka utrzymuje teraz magazynierka, z którą dawniej jako szwaczkę był w przyjaźni.

— Pieniądz zawsze wraca do swego źródła.... Leczy o tem nigdy nie myślałeś? To rzecz bardzo logiczna.

— Jakto? Nerozumiem.

— Pieniądz, jak każda rzecz na świecie, ma swój „*circulus vitiosus*.“ Znałeś Henryka Zarębę? Szlachcic chciał zostać przemysłowcem. Założył ogromną szwalnię i mordował biedne szwaczki dwunastogodzinną robotą, odciągając im za różne przewinienia po dziesięć groszy od dziennej płacy. W przeciągu lat dwudziestu zrobił wielką fortunę, kupił dwa domy i kolonią pod miastem. I cóż powiesz? Syn jego Baltazar puścił to wszystko znowu — między szwaczki. Czyż pieniądz nie wrócił do swego źródła?

— Masz czasem genialne koncepta.

— Co mi z tego, jeśli nikt za nie nie płaci.

— Opowiedz to „kuzynce...“ i zapytaj przytem, czy jej fortuna przypadkiem nie wyszła z baletu, bo tam teraz widocznie dąży.

— Indemnacyą płacą często piąte, dziesiąte pokolenia.

— Więc jest *circulus* mniejszy i większy!... Ciekaw jestem zkąd i kiedy wrócą do ciebie owe tyśiączki, które tak często migwały nam przed oczami.

— Jeśli wrócą.... to nie wrócą drobną monetą — ale zmienione np.... na pół milionik.

— Doskonały byłby to interes wekslowy.

— Do tego przecież dążyć trzeba. Wydaje się pomału, aby kiedyś na raz odebrać.

— Przypomina mi to rybak, który ze stawu swego wybierał małe rybki i do rzeki je puszczał, aby tam urosły.

— Niech cię nie znam. I ty zacznasz mieć koncepty.

I obaj przyjaciele roześmieli się serdecznie.

XVII.

Tak zwany „hrabia Lulu,“ dla którego żyd faktor miał wynaleźć pannę posażną na żonę, należał do rzędu tych, o których współcześni bardzo mało mówią, ale o których zupełnie zamiecha historia.

Nie od rzeczy będzie skreślić bliżej jego wizerunek, chociaż w gruncie będzie to wizerunek bardzo pospolity.

Najprzód trzeba sprostować fałszywe mniemanie Goldberga, jakoby Lulu rzeczywiście był hrabią. Nie należy to wcale do rzeczy, ale gotajski Almanach mógłby przez żydka być w błęd wprowadzony i listę hrabiów powiększyć o jednego samozwańca więcej.

Pan Alfons Ludwik urodził się zwykłym szlachcicem, a byli nawet i tacy, którzy i tego mu odmawiali. Ojciec Ludwika Alfonsa zebrał znaczny majątek, jako człowiek oszczędny i zapobiegliwy. Głównem źródłem jego dochodów były — buty i to jeszcze proste, chłopskie buty.

Nie robił on wprawdzie sam butów, ani nie miał warsztatów szewckich, skupywał je tylko na przednówku w całej okolicy u wszystkich szewców, a w jesieni sprzedawał, biorąc często od chłopów ekwiwalent w naturze.

Jakkolwiek sąsiedzi, którzy nie zapomnieli zakazu zarabiania wagą i łokciem, sarkali na nowego przemysłowca, mimoto śp. Dyonizy-Ostroga nie uląkł się tego sarkania, i dalej prowadził handel zyskowny.

W handlu tym nie było przecież nic niemoralnego. Przeciwnie, nie potrzebując za obrotowy kapitał płacić lichwy, mógł Dyonizy-Ostroga daleko taniej zbywać swój towar sąsiednim chłopkom, niżeli kiedy inny przemysłowiec.

Szewcy w okręgu dziesięciu mil przychodzili do niego, osobiwie na przednówku, gdy chłop butów nie potrzebował, lub nie miał jeszcze zaco kupić, i brali znaczne sumy do odrobienia. Dyonizy-Ostroga poszedł jeszcze dalej w spekulacji. Z fabryk sprowadzał hurtownie skóry i dawał je szewcom za dostawione buty, odcigając pewien procent.

Słowem było to przedsiębiorstwo bardzo pożyteczne, rugowało z rubryki producentów wielu przekupniów, którzy towar podrażali, i dostarczał ludności wiejskiej artykułu dobrego po cenach umiarkowanych.

Gdyby pan Dyonizy-Ostroga z wyższego stanowiska na pracę i produkcją się zapatrywał, gdyby w takich samych zasadach i w tym samym kierunku syna swego wychował, byłby zostawił po sobie pracowitego człowieka, który byłby pożytkiem dla kraju.

Pan Dyonizy-Ostroga miał jedną z urodzenia chorobę w sobie, która powoli i nieznacznie, ale z tym większym skutkiem nas zabija.

Wziął się do pracy i przemysłu, ale nie z zasady, że każdy człowiek w społeczeństwie pracować musi, tylko z tą myślą ukrytą, że dorobiwszy się znacznego majątku, utworuje tym majątkiem synowi swemu drogę do sfery arystokratycznej.

To było alfa i omega całego jego życia — a w ten nie odrodził się wcale od tak zwanych obywateli ziemskich.

Dążąc do tego, czuł ciężar opinii sąsiedzkiej, która handel butami uważała za splamienie sumienia i klejnotu. Na ten wyrok poświęcił już siebie, będąc pewnym, że synowi przysporzy środków nie tylko oczyszczenia napowrót klejnotu, ale ukoronowania go koroną, a może nawet i mitrą książęcą.

W tym celu chował syna swego po pańsku. Skąpy i oszczędny dla siebie, był rozrzutnym, jeżeli chodziło o nadanie poloru jedynekowi.

Alfons Ludwik, od wszystkich „Lulu“ nazwany, był owym szczęśliwym spadkobiercą majątku i idei śp. Dyonizego Ostrogi i wypełnił misję swoją w sposób nader skrupulatny.

Otoczony od dziecka Szwajcarką, Francuzem i Anglikiem, uczył się od nich poglądów na świat i życie. Mówił dobrym akcentem po francuzku, przeczytał umyślnie wypracowaną dla siebie „historią powszechną“ w trzech arkuszach i miał odróżniać potomków od słynnych ogierów „Lord Palmestron“ i D'I-sraeli.“

Z takim fundamentem nauki wyjechał do Paryża. Paryż jest rzeczywiście miastem nauk i umiejętności. Ale takiego Paryża żaden prawie z naszych wojażerów nie zna. Paryż dla nich, to bulwary włoskie, opera, Eldorado, Alkazar, gabinet zepsucia u Vachette'a, Casino i caffè chantant na polach eliżejskich.

Lulu pilnie uczył się na ten uniwersytet i po kilku latach doszedł do tego stopnia doskonałości, że umiał reprodukcować śpiewki Teresy, stroić miny Gilberta, przedrzeźniać sentymentalność pani Kaiser i kopiować dwuznaczne ruchy panny Sznajder.

Gdy z tym zapasem nauki wrócił do kraju, był prawdziwym bohaterem na niektórych salonach, któ-

re stoją w pośrodku zwykłych grup społeczeńskich.

Ponieważ Lulu do tej pośredniej sfery teraz należał, wypada i o niej coś powiedzieć.

Taktycznie istniejące grupy społeczeństwa, czasami stanami nazwane, mają pewne krańce, którymi stykają się z sobą. Krańce te są niejako przejściem z jednej sfery do drugiej.

Gromadzą się zazwyczaj tutaj żywioty najmętsze.

Ulubionem ich zbiorowiskiem są przestrzenie, gdzie chłop przechodzi na mieszczanina, mieszczanin na obywatela ziemskiego, czyli szlachcica, a szlachcic zwykły na członka arystokracji.

Podług ostatniej woli śp. Dyonizego-Ostrogi miał Lulu stać się członkiem arystokracji. Z tego powodu zajął on to miejsce przejściowe, które z czasem miało go złączyć z arystokracją.

Miejsce to przejściowe, czy raczej przedpokój arystokracji miał w sobie, jak wszystkie inne przejścia, wiele trudów i lichoty.

Jeżeli hipotezy Darwina miałyby być istną prawdą, to najsmutniejszym dziwotworem byłaby istota, która już wyparła się małpy, a nie została jeszcze człowiekiem.

Takie mniej więcej stanowisko zajmował Lulu w stolicy kraju, gdy na karnawał z Paryża zjechał. Rozpatrzywszy się na tem stanowisku, spostrzegł że jeszcze tam nie jest, gdzie mu być potrzeba.

Znajomość z członkami arystokracji była wprawdzie łatwa. Po jednym ogniwie doszła do całego łańcucha.

Znajomość ta jednak ograniczała się na miejsca publiczne i prywatne, kawalerskie schadzki. Jadt

w hotelach z nimi drogie obiady, grywał na prywatnych wieczorkach w karty, ale do domów rodzinnych trudno było o codzienny przystęp. Raucik jeden i drugi i następująca po nim wizyta, która najczęściej kończyła się na rzuceniu karty, nie prowadziły jeszcze do celu.

Potrzeba może było czemś uwagę arystokratycznych salonów zwrócić na siebie, czyli, mówiąc stylem właściwym, potrzeba było czemś się tam wkupić.

Gdzie jest mowa o kupnie, tam zaraz na myśl przychodzi pieniądze, bez których żadne kupno jest niemożliwe.

Lulu postanowił więc wkupić się do tego wybranego orszaku, wkupić się życiem kosztownem i na efekt obrachowanem, do czego śp. Dyonizy-Ostroga zostawił mu sporo funduszów.

I zaraz dowiedziała się stolica kraju o egzystencji człowieka, który się „Lulu“ nazywa, jest dosyć majątny, przystojny i salonowo oglądzony, a przede wszystkim wybornie śpiewa piosenki Teresy z jej akcentem i gestami i robi miny komiczne, jak sławny pantomimik z pól Elizejskich.

Niestety, z niesmiałością wyznać trzeba, że były salony, w których taki „Lulu“ był pierwszym bohaterem.

Zachwycano się jego piosakami, a osobliwie śpiewka Teresy, przy której co zwrotka kichać trzeba, z różnemi grymasami na twarzy, wywoływała entuzjazm tak wielki, jaki mógł tylko być przy wejściu Prusaków do Berlina po zwycięztwach nad Francją!...

— Ach, cóż to za miły człowiek ce monsieur Lulu! wołały damy kanapowe i z pewną ostentacją zatykały uszy przy śpiewkach zbyt wesołych.

— Jaki on dowcipny! szeptały panienki i rumieniły się pod wachlarzami.

— Co to za talent artystowski! wołali mężczyźni ze złotemi brylokami.

— Gdyby tak potrzebował... mógłby zostać europejskiej sławy artystą, mówili ludzie stateczni.

Tym sposobem coraz większe uznanie zjednywał sobie w stolicy „Lulu“ i coraz szybciej zmierzał w kierunku arystokratycznego Edenu.

Cóż z tego, kiedy ta praca kosztowała wiele pieniędzy.

Trzeba było iść dalej owym zaczętym torem i coraz więcej zwiększać wydatki.

A wydatki były nieraz bajeczne! Jeden wieczorek w wesołym towarzystwie kosztował czasem kilkanaście tysięcy. Czasem, tak dla wybryku fantazyi, która zawsze musi charakteryzować prawdziwą arystokrację, potrzeba było wyrzucić sumkę nielada.

Mozolnie za produkcją butów zebrane pieniądze ojcowskie rozchodziły się z szybkością błyskawicy, a zato pozostawała po nich pewna świetna aureola arystokratyczna, jaką zazwyczaj mieli pierwsi wyznawcy wiary po utopieniu lub zabiciu.

Otóż po długiej pracy obkoliła wreszcie Lulu ta świetlana aureola arystokratycznej atmosfery, ale pod względem majątkowym był on już wtedy w żargonie żydków „toffer mann“—nieboszczykiem.

Wprawdzie nie dopłynął on do wyżyn arystokracji, ale coś się zawsze zrobiło. Pobratał się tylko z mniej szlachetnym konarem tej wysokiej drzewiny, który stanowisko swoje nieco odmiennie od arystokracji europejskiej pojmował. Członkowie tego konaru nie mieli żadnych szlachetniejszych na-

miętności. Nie bawili się w protektorów sztuki i literatury, nie stawiali na czele żadnych przedsięwzięć przemysłowych, nie uganiali się za pierwszymi w kraju urzędami. Nawet ani biskupem, ani prałatem nikt z nich być nie poczynał. Zato zjadali najwyszukańsze, zagraniczne kąski i przysmaki, spijali kosztowne wina i likiery, grali w karty dla podrażnienia i wydawali bardzo wesołe wieczorki.

Z tej linii arystokracją pobratał się Lulu najzupełniej; hrabiego Jerzego nazywał Jurciem, Kazimierza Kaziem, Tadeusza Tadmkiem. Słowem był między nimi równouprawnionym, chociaż mimo to był zawsze na ich usługach i pełnił służbę lokaja.

Był to jednak zawsze już pewien grunt, po którym mógł dalej iść piechotą. Cóż z tego, kiedy właśnie dostał się do tego gruntu gdy już majątek ojcowski z dymem poszedł i w kieszeni zamieszkały okropne, złowrogie pustki.

Wprawdzie uzyskana aureola pańska dawała możliwość robienia długów. Korzystał z tej możliwości Lulu sownie i przyszedł nawet w końcu do tej doskonałości, że wierzyciele przestali się naprzykrzać, ale przestali i dawać.

Niejaki czas były karty jedynym jego dochodem. Ale gdy i te zużywać się zaczynały, potrzeba było pomyśleć o jakim kroku stanowczym, któryby choć najbliższą przyszłość mógł jako tako zabezpieczyć.

Atmosfera pańska już była, potrzeba było ją teraz sprzedać. Potrzeba było wyszukać jakiejś tłuszcuchnej gąski i za jej posag udarować ją przywłaszczonym tytułem hrabiny i przenieść na nią swoje pańskie stosunki.

Nabycie takiej gąski nie jest bardzo trudne. Można ją znaleźć w starym dworku dorobkiewicza, gdzie pod brudną strzechą słomianą stoi skrzynia żelazna, a w niej pieniądze na kupno zięcia, któryby do nowego domu wniósł jakie takie pańskie koligacje. Można ją znaleźć w wytwornych salonach przemysłowców miejskich, którym do pieniędzy brak stosunków z arystokracją, do czego mocno wzdychają... Można je również znaleźć w domu garbarza lub mydlarza, któremu się zdaje że poczciwe brudy swojej fabryki tylko klejnotem arystokracji wykadzić może.

Z takich to najwięcej miejsc poławiają się biedne ofiary, które, przebywszy mnogie rozczarowania, w końcu żyć muszą, chociaż warunków do życia nie mają....

Otóż w takim właśnie okresie życia był Lulu, gdy Goldberg z dobrą nowiną do niego zawitał.

XVIII.

Tymczasem wiadomość o milionie, mimo sekretnego wyjazdu pana Izajasza do Gdańska, zaczęła się coraz więcej rozchodzić po mieście i różne na znajomych i nieznanym sprawiała wrażenie.

Nawet pan naczelnik Bonawentura nie pozostał obcym temu wrażeniu, chociaż wrażenie to objawiało się na nim w sposób nieco dziwaczny, zrozumiały tylko dla starego służącego Józefa.

Aby to wszystko także choć w części zrozumieć, potrzeba nam nieco cofnąć się do młodości tego doradcy mieszczan staro-miejskich.

Pan Bonawentura był kiedyś ładnym młodzień-

cem i ładnie śpiewał barytonem. Prócz tego grał na bassetli i czekanie.

Te talenta wrzuciły go wcześniej w wir życia wielkomiastowego. Nie było dnia, aby na wieczór nie był proszony.

Były to czasy, w których Warszawa była sromotnie rozmuzykalniona, zaczawszy od stróża w piwnicy, aż do kominiarza na dachu, jak to wtedy dowcipnie wszkicu swoim uwidocznił niezrównany Kostrzewski.

Było więc pole dla pana Bonawentury bardzo wygodne i w plon obfite. Śpiewał i grał codziennie to w duecie, to w kwartecie. Miejskie salony przepadały za nim. Poszło wreszcie w przysłowie: herbaty z panem Bonawenturą.

I któż był szczęśliwszy od pana Bonawentury?

Wszystkie piękne panie przepadały za nim, panny rumieniły się gdy tylko o nim pomyślały, a bawiące się matki widziały w nim ideał — zięcia.

Pan Bonawentura był aplikantem wtedy i przez wysokie protekcyje mógł dojść wysoko.

Ale zbytek szczęścia gorszy jest często od niedostatku.

Gdyby pan Bonawentura był człowiekiem nieznanym i w towarzystwach nieposzukiwanym, byłby uśmiech pierwszej panny wziął za zadatek miłości i przyzwolicie, jak obyczaj każę, połączył się z nią na stopniach ołtarza.

Ale pan Bonawentura był mniej niżeli szczęśliwym.

Na wieczorku u państwa Maciejów śpiewał duet z panną Eufrozyną. Podczas duetu patrzyła Eufrozyna czule na niego i on na nią. Przy pożegnaniu

ścisnęli się za ręce, pan Bonawentura wyraźnie czuł uśmiech Eufrozyny.

Przemarzył noc całą i postanowił kochać Eufrozyne, a nawet może z nią się ożenić, jeśli pensyjka się powiększy. Trwało to przez cały dzień, aż do wieczora. Wieczorem potrzeba było coś śpiewać u państwa Wojciechów. Państwo Wojciechowie mieli jedynaczkę blondynkę, która w całej Warszawie uchodziła za pięknosć.

I stało się znowu u państwa Wojciechów to, co wczoraj u państwa Maciejów. Irena śpiewała sentymentalnie, a pan Bonawentura z takim czuciem jej wtórował, że wszyscy oklaskami go obsypali.

Kobiety zazwyczaj lgną do bohaterów, czy to na polu walki, czy w salonie.

Pan Bonawentura był bohaterem, cóż więc dziwnego że panna Irena dziwnie oczka spuszczała, gdy w nie chciał zaglądać?..

W domu powiedział do siebie pan Bonawentura: — Frania jest ładna i miła, ale Irena jest blondynka, a ja powinienem w blondynkach się kochać. Zresztą rodzice Ireny mają.....

Pan Bonawentura już marzył o Irenie.

I tak przed oczyma pana Bonawentury przechodziły koleją blondynki, szatynki i brunetki. Było pięć o ryżych włosach, a kilka takich, których włosy nie miały koloru zdecydowanego.

Nie można jednak powiedzieć, aby z wszystkiemi pan Bonawentura rozmawiał. Były to najczęściej tylko marzenia, nic więcej.

Pan Bonawentura marzył po całych dniach i nocach, marzył w biurze i restauracyi, marzył gdy się golił, lub czuprynę pomadą smarował. Zmieniał tylko przedmioty marzenia. W marzeniach kochał

się w Irenie, Andzi i Teklusi, a gdy z marzeń chciał wejść do rzeczywistości i samej pannie lub rodzicom coś o swoich marzeniach powiedzieć, już nadpłynął mu wraz z nowym wieczorkiem nowy ideał, sopran lub mezzo-alto, z którym ostatnią arją odśpiewał.

Wszyscy zazdrościli panu Bonawenturze, a on tymczasem był najszczęśliwszym człowiekiem.

Przypominał mimowoli onego nieszczęśliwego z mitologii, który uprosił sobie u bogów, że wszystko, czego się dotknie, złotem się stanie. Z początku był zachwycony tym darem bogów. Odłamał gałąź z drzewa, a ta w jego rękę przemieniła się w złoto. Wziął bryłę skały, a skała stała się złotem.... Ale gdy spragniony chciał się wody napić i owoców skosztować — woda i owoce na jego wargach stały się — złotem!...

Szczęście pana Bonawentury miało jednak pewne rozkosze, a temi był postęp jego w marzeniach.

Zrazu zajmowały go wielce córki kolegi urzędnika, po córce małego urzędnika, postąpił do córki bogatego aptekarza, po aptekarzu nadszedł mecenas i t. d.

Słowem stosownie do rozgłosu sławy swojej barytonowej i basetlowej, szedł coraz wyżej po szczeblach hierarchii społecznej i z ostatniego szczebla wybierał sobie królowe marzeń swoich.

Po kilkunastu latach takiego życia doszedł wreszcie do zenitu swego szczęścia, z którego to czasu datuje się najsmutniejsza dla niego katastrofa. Od tej bowiem katastrofy zaczyna pan Bonawentura gwałtownie na dół spadać.

Przy ulicy Marszałkowskiej w nowym domu na pierwszym piętrze mieszkała pewna rodzina arystokratyczna.

Na wieczorku u jednego z byłych plenipotentów urzędników ordynackich zaznajomił się pan Bonawentura z tą rodziną i w krótkim czasie stał się u niej gościem bardzo częstym.

W domu była panna osiemnastoletnia, hrabianka Idalia, istota poetyczna i muzykalna.

Pan Bonawentura miewał częste egzercycye z panną Idalią, wybierał dla niej nuty, a dla ojca był chodzącym kursem giełdowym.

Uprzejmość rodziców Idalii wziął za prawdziwą przyjaźń, a powłóczyście spojrzenia córki za oznakę uczucia, które jej sercem poruszało.

Zresztą być może, że panna Idalia miała rzeczywistą przyjemność w towarzystwie pana Bonawentury, że piękny głos jego barytonowy zadrasnął trochę poetyczne serduszko, które tak nadarmo przecież bić nie chciało — dosyć że pan Bonawentura miał wyborny materyał do marzeń kilkomiesięcznych i do tego jeszcze do marzeń o hrabiance.

Hrabianka! to jedno słowo było poezją, sztuką, szczęściem i wszystkim na świecie.

Wierzył że kochał prawdziwie — i wierzył, że był równie rzetelnie kochany.

Otóż stało się pewnego wieczoru, że grając na czekanie ulubioną przez hrabiankę arją z Tancreda „di tanti palpiti“, z taką namiętnością w czekaniu dmuchał, a przy tem na Idalią tak oczy zawracał, że rodzice spostrzedz musieli, co się w ich domu święci.

Nazajutrz, zamiast zwykłego zaproszenia na wieczór, otrzymał pan Bonawentura list bardzo grzeczny i wyperfumowany, w którym jednak śród różanego olejku sterczały dla niego straszliwe kolce.

W liście tym pisała matka Idalii, że z bólem ser-

ca zauważyła pewną słabość ze strony jego, z której go wcześniej wykurować postanowiła. Zwróciła jego uwagę na różnicę towarzyskiego pochodzenia, jaka zachodzi między nim, a jej domem. Między innymi stało w tym liście:

..... „Talent i wykształcenie mogą człowiekowi pańskiej sytuacji otworzyć drzwi niejednego salonu, ale niedorzecznością byłoby i brakiem rzeczywistego wykształcenia, gdyby taki człowiek chciał w sercu swoim rozbudzić pewne uczucie, które dla niego bolesnem, a w oczach innych śmiesznem być może. I to tem śmieszniejsze, gdy jest tylko jednostronne!...“

Gdy ten długi, pełen głogów i cierni list pan Bonawentura przeczytał, padł jak nieżywy na krzesło i długo, bardzo długo tak siedział.

Siedział całą noc, siedział dzień cały, aż stary Józef wziął go jak kłoc drzewa i do łóżka położył.

W łóżku leżał pan Bonawentura kilka miesięcy, a gdy pierwszy raz po pokoju mógł się przejść, poszedł do szafki i ulubiony swój czekan hebanowy w stalowej oprawie na wieczne czasy w futerał zamknął i opieczętował. To samo zrobił z basetką.

Pozostał mu jeszcze baryton, ale tego ani zamknąć, ani opieczętować nie mógł.

Nie potrzebował jednak o to się martwić. Gdy bowiem za chwil kilka, więcej z przyzwyczajenia niżeli z umysłu, jakąś arją zaintonował, okazało się, że już — barytonu nie było.... Był jakiś fałszywy bas, były falsety, ale piękny i pełny głos jego już zapadł....

Pan Bonawentura machnął ręką i zamilkł.

— Stało się! wyszepnął z cicha i spuścił głowę. Za barytonem w ślad poszły włosy. Zaczęły one

teraz tłumnie opuszczać czaszkę, pod którą niegdyś świeciły się tak rozkoszne marzenia....

Dziwna rzecz. Gdy pan Bonawentura przestał marzyć i roić sobie, stał się odrazu — starym kawalerem.

Wyłysiał, zgarbił się, poczerniał na twarzy i przytył nieco. Po jakimś czasie zaczął znowu chodzić po wieczorkach, ale nie śpiewał, nie grał, nie marzył, tylko grał w preferansa a potem w bezika. Jedynem szczęściem dla niego było winko, stare winko z piwnicy Fukiera.

I czegoż to nie robi miłość zawiedziona.

Wtajemniczeni w sekretne marzenia pana Bonawentury przyjaciele, widząc go teraz starym i łysym, zwykli byli mawiać do siebie na ucho:

„Nosił wilk owce, a za dni kilka

Ponieśli i wilka....“

Takim był pan Bonawentura, gdy mu pan Izajasz odczytał list z Gdańska, napisany ręką stryjecznego swego brata pana Sebastyaną.

XIX.

Pierwszy dzień po tym liście gdańskim przeminął dosyć normalnie. Pan Bonawentura miał wprawdzie trochę szmeru w głowie, ale nie było w tem nic nadzwyczajnego. Powtarzało się to często, gdy z winiarni Fukiera wychodził. Jedyną anormalnością było, że zamiast z winiarni do biura, poszedł do pana Izajasza, w domu którego nigdy nie bywał.

Pan Bonawentura lubił ludzi przy butelce lub przy stoliku zielonym, osobliwie od ostatniej gry na czekanie — ale nie lubił wchodzić w grono rodziny, gdzie potrzeba było o tem i owem mówić. Do tego

jeszcze dom mianowicie Starego-Miasta był dla niego zbyt maluczką areną życia towarzyskiego. Jakim jednak sposobem to się stało, że do pana Izajasz zaszedł, tego sam sobie wytłumaczyć nie mógł. Zdaje się, że zbyt stare wino mimo jego woli i chęci tam go zawiodło.

Ztamtąd poszedł prosto i przyzwoicie do biura, a dwaj podwładni jego pisarze nie spotrzegli w nim, prócz więcej zarumienionego nosa, nic nadzwyczajnego. Urzędowanie jego poszło trybem zwyczajnym.

Nawet stary Józef nic nie spostrzegł, gdy pan Bonawentura do domu wrócił i wcześniej spać się położył.

W nocy jednak słyszał stary Józef, że naczelnik miał sen bardzo niespokojny. Najprzód mówił coś niewyraźnie, gniewał się i rzucał, a potem usiłował coś śpiewać.

Śpiew jednak, jak zwykle we śnie, nie szedł mu gładko. Męczył się i żalił widocznie, zgrzytał zębami i bił nogą w przyczółek łóżka.

Stary Józef zaśwycił świece i poszedł do pokoju naczelnika.

Naczelnik był cały czerwony, miał oczy na wierzchu i zaciśniętą pięścią machał w powietrzu, jakby takt dawał. Przytem ruszał ustami i stękał, jakby chciał śpiewać, a twarz jego marszczyła się, jakby go co bolało.

— Panie naczelniku! wrzasnął mu Józef nad uchem w tej wierze, że przestrach jest jedynem lekarstwem na grożącą apopleksyą.

Pan Bonawentura przestraszył się rzeczywiście. Duże jak groch krople potu oblały mu czoło. Podskoczył do góry, chwycił za łep starego Józefa i za-

wołał głosem, od którego trzydzieści szyb zabręczało:

— Zabij... ale odrazu... zabij na śmierć, bo kaleką żyć okropnie.

Józef uwolnił głowę ze szponów naczelnika, odskoczył kilka kroków od łóżka i z trwogą spojrział na swego pana.

— Czy to ty, Józefie zawołał spokojnie naczelnik, przecierając ręką oczy i czoło—czy to ty?

— A któż mógłby być inny? odpowiedział Józef.

— Ah!... Prawda. Nie może być nikt inny! z westchnieniem odrzekł stary kawaler i spuścił głowę na piersi.... Więc nikt tu nie był? zapytał po chwili smutnym głosem.

— A któżby mógł być?

— Zdawało mi się że ona była! cicho, jakby do własnych myśli wyszepnął pan Bonawentura.

— Co za ona? zapytał dwudziestoletni pomocnik starego kawalera.

— Wiesz, ta panna hrabianka, gdzieś to dawniej basetle i czekan nosił... panna Idalia.

— Panna Idalia! Przecież lat kilkanaście jak zamąż poszła! Cóż pan znowu plecie?

— Wiem o tem, wiem!

— A dzisiaj może nawet już umarła.

— Umarła?.. Co mówisz! Czyś zwaryował?

— Wczoraj mówił mi lokaj, że już się spowiadała.

— Kłamiesz stary, śniło ci się!

— Śniło nie śniło! Przecież lokaj Franciszek opowiadał mi całą historią. Biedna kobieta.

— Jaka historią?

— A jakże, czyż nie jest to historia, że mąż jej wszystko stracił, w karty przegrał i z innymi frajer-

kami hulał, podczas gdy biedna kobieta w domu siedziała i płakała!.. Płakała, płakała i zagryzła się.

Pan Bonawentura zwiesił głowę i długo tak zamyślony siedział. Potem nagle powstał; wziął szlafrok na siebie.

— Józefie! Wyjmij z futerała basetlę, zawołał głosem pełnym i czystym.

— O święty Antoni! Co też panu do głowy przychodzi! Czy chcesz pan, aby tak było jak przed laty piętnastu....

— Idalia umarła!

— Umarła, albo nie umarła! Ludzie po spowiedzi zazwyczaj do zdrowia przychodzą.

— Mówię ci że nie umarła! Przed chwilą była tu... tu u mnie, miała białą ze srebra utkaną szatę, na głowie wieniec z białych róż, a w ręku czarny krzyż z hebanu.....

— W imię Ojca i Syna i Ducha!...

— Tak, tak... widziałem ją... tak patrzyłem na nią, jak teraz na ciebie patrzę.

— Co też pan mów! Strach mnie bierze.

— Czego się bać?.. Tylko diabła ludzie się boją, a ona... ona przyszła do mnie aniołem! Wiesz, takim samym aniołem, jak tam masz na obrazie. Patrz!

Józef spojrział na obraz. I w samej rzeczy ujrzał tam anioła, prowadzącego małe dziecko w takiej samej białej szacie, jak przed chwilą opisywał pan Bonawentura.

— Wyjmij basetlę z futerała! zawołał po chwili.

— Zlituj się pan!.. Będzie nieszczęście!

— Wyjmij prędzej!

— Wolałbym pierwej umrzeć!

— Nie lękaj się, jam nie dzisiejszy.

— Nieszczęście nie chodzi po lasach.

— Dla mnie już niema żadnego nieszczęścia!

— Jak Bóg dopuści!..

— Prędzej... śpiesz się!

Z westchnieniem, jakby przeczuwał wielkie nieszczęście, poszedł stary Józef do drugiego pokoju i z poza szafy wydobył futerał, w którym od lat kilkunastu spokojnie spoczywała basetla.

Pył i pajęczyna pokryły obficie całą powierzchnię futerała. Nie widać nawet było gdzie zamek, a gdzie zawiasy. Cały futerał wyglądał jak jednolita bryła czarnego kamienia.

— Patrz pan, ozwał się Józef, pokazując naczelnikowi futerał—patrz pan! Tak, jakby zarosło, lub w kamień przeszło! Czyżby nie było lepiej nie tykać tego?

— Otwieraj!

— Gdybym nawet chciał — nie mogę, dalibóg nie mogę.

— Śpiesz się!.. Idalia umarła!

Wreszcie namacał Józef sprężynę, otworzył zamek.

Był pewny że z basetli obaczy tylko kupkę prochu.

Tak przynajmniej życzyłby sobie w tej chwili. Ale ku wielkiemu jego zmartwieniu nie tylko była basetla cała, ale nawet wszystkie struny błyszczwały szychem, jak za młodszych czasów.

— Tam do kata! mruknął Józef, i to jeszcze kupy się trzyma.

— Widzisz, Józefie, zawołał pan Bonawentura, otóż to samo dzieje się czasem z człowiekiem!.. byle tylko strun duszy nie poniewierać, a potem przyj-

dzie czas, że i w późnym wieku te struny odezwać się mogą.

Józef pokręcił głową, a pan Bonawentura, podstrowszy struny, wziął smyk i zaczął grać coś wzniósłego i rzewnego.

Była to Elegia Ernsta.

Noc głucha zaległa cięń Warszawy. Po niebie przesuwały się małe białe chmurki, a jedna z nich dziwaczniejszego kształtu zatrzymała się nad horyzontem Nowego-Swiatu i wpatrzyła się w okna, z których właśnie wychodził rzewny, skarżący się głos basetli....

Cóż to była za chmurka? Miała jasne, roztrzepione włosy, białą szatę i lśniącą gwiazdę na czole.. Czy pan Bonawentura widział tę chmurę? Czy spojrział choć raz na jej srebrne szaty? Czy widział tę jasną gwiazdkę u jej czoła?..

Właśnie w tej chwili wiatr z północy rzucił na nią ciemny obłok, który wyglądał jak poszarpana bryła skały. Srebrna chmurka napróżno walczyła z twardym granitem... gubiła coraz więcej włosów, bladła i bladła... a za chwil kilka pozostała tylko na miejscu gdzie była jasna, przezroczysta smuga....

Pan Bonawentura grał coraz rzewniej, coraz zrozumialsze były słowa Elegii, coraz wyraźniejszy majestat śmierci, jakim boleść swoją oblekł znakomity kompozytor...

Wreszcie poblądło niebo szafirowe, stolica zaczęła się budzić, najrozmaitsze tony zaczęły powoli splatać się w dzienny, wielkomiastrawy akord — a pan Bonawentura siedział oparty o stół jedną ręką, a drugą ujął łabędzią szyję basetli.

— A co? zapytał Józefa, który właśnie z miasta wracał.

— Umarła!.. O godzinie drugiej z północy! odpowiedział Józef.

Pan Bonawentura kiwnął głową, jakby o tem już wiedział.

Dwa dni siedział pan Bonawentura w domu. Trzeciego dnia ubrał się starannie, podczesał czuprynę i wyszedł na ulicę. Tam, w głębi ulicy, stał liczny orszak pogrzebowy przed kościołem świętego Krzyża...

Wkrótce ruszył orszak — mała, cienka trumienka zabłysła na karawanie, a w oczach pana Bonawentury zabłysły dwie łyzy jasne jak kryształ...

I cały obrzęd pogrzebowy odbył się wspaniale. Sto karet z herbami jechało za nieboszczką, mąż i dwoje dzieci szli w grubej żałobie za karawanem, muzyka grała marsza żałobnego, baby i dziady płakały jak zwyczaj każe — a w tym całym tłumie żałobnym nikt nawet nie spojrział na idącego ze spuszczoną głową, mocno szpakowatego mężczyznę, który od czasu do czasu ramiona do góry podnosił, jakby skrycie wewnątrz piersi płakał...

XIX.

Na drugi dzień po pogrzebie spostrzegł Józef znaczną zmianę na swoim panu. Wyglądał jak człowiek po przebytej katastrofie.

Pan Bonawentura był widocznie w lepszym humorze, niżeli zazwyczaj. Uśmiechał się do siebie, jakby coś rozkosznego roił sobie w głowie. Często stawał przed zwierciadłem i długo w siebie się wpatrywał. Podnosił wąsy do góry, wystawiał zęby, mróżył jedno oko i drugie. Obracał się do

zwierciadła profilem i frontem, z wszelkimi pośrednimi przejściami.

Po takiej operacji często był zły i coś mruzczał do siebie. Marszczył czoło i szerokimi krokami chodził po pokoju. Czasami nawet mówił do siebie i machał rękami.

Stary Józef patrzył z boku na to wszystko i głową kiwał. Przeczuwał jakieś nieszczęście, które tej nieszczęsnej basetli przypisywał. Byłby chętnie nią w piecu zapalił, gdyby tylko nie obawiał się apopleksyi, która w takim razie mogłaby tknąć pana Bonawenturę, a tem samem byłyby już największym nieszczęściem.

Dał więc pokój basetli, zato tembaczniej patrzył na naczelnika, który widocznie zmieniał się w jego oczach. Pan miał wąsy czarniejsze niżeli zwykle, tu znowu czupryny coś przybyło, bo powoli i łysina zaczęła porastać, a za trzy dni widział naczelnika, jak stał przed zwierciadłem z włosami kruczemi, czarnym wąsem i świecącymi jak perły zębami.

Zasmucił się Józef i westchnął do bolesnych myśli swoich.

Pan Bonawentura jednak tego smutku nie widział. Stał przed zwierciadłem i z upodobaniem wpatrywał się w swoje oblicze.

Rzeczywiście zmienił się nie dopoznania. Czarną peruką nakrył łysinę, wąsy wyczernił i do góry zakręcił. Wyprostował się nawet, czego od lat piętnastu nigdy nie czynił.

— Dotrzymałem słowa, mówił półgłosem do siebie, kręcąc wąsy przed zwierciadłem — dotrzymałem słowa, a teraz mam ręce rozwiązane!... Sprzedaż i śmierć rozwiązują wszelkie kontrakty!...

— Czy to nie będzie już zapóźno... ozwał się Józef z drugiego pokoju.

— Co zapóźno, dlaczego zapóźno! Kto ci o tem mówił że zapóźno, stary głuptasiu!.. odpowiedział z marssem pan Bonawentura podkręcając wąsy.

— Jakto nie? To niech pan spojrzy na zegarek.

— A o czem myślałeś?

— O obiedzie.

Pan Bonawentura dalej kręcił wąsy.

— Słowa dotrzymałem, mruzczał dalej, tak jak sobie powiedziałem. Lat piętnaście!.. Ale to nic, nic... czemże jest ta odrobina lat piętnastu względnie do wieczności?... Piętnaście pyłków i nic więcej.

— Niech pan tylko dobrze rachuje, ozwał się znowu Józef z drugiego pokoju.

— Cóż to! Będiesz mnie uczył rachować? od-fuknął pan Bonawentura — myślisz, że nie umiem rachować? Rachować!... Dla jednych jest dziesięć tyle co dla drugich sto! Jeden ma lat dwadzieścia, a drugi w pięćdziesiątym...

— Niech pan tylko spojrzy przed siebie!

— Głupi jesteś! Widzę i wiem co widzę... jesz-czebym dziesięciu zakasował.

— Przecież już kwadrans na piątą!

— A o czemże myślisz?

— O czembym myślał?... O obiedzie! Masz pan przecież zegar przed sobą i można godziny porachować!...

Pan Bonawentura umilkł i zaczął dalej kręcić wąsy i końce do góry zaginać.

Po chwili rozpoczął znowu monolog.

— A gdyby ludziom to się śmiesznem wydało?... Cóż mi do ludzi? Niech sobie mówią co chcą!...

Jedni jedzą obiad o dwunastej, inni o trzeciej, a są tacy, którzy o szóstej dopiero do stołu siadają.

Teraz Józef już nie nie powiedział. Przyniósł tylko panu Bonawenturze łaskę i kapelusz.

— Niech pan już na obiad idzie, rzekł do niego, bo później będziesz pan całą noc krzyczał i płakał, jak onegdaj.

Pan Bonawentura nie odpowiedział, tylko wziął kapelusz i łaskę i wyszedł.

Na obiad jednak nie poszedł.

— Trzeba się dowiedzieć, co pan Izajasz z Gdańska pisze. Czy wraca przedko i kiedy, mruknął do siebie, obaczywszy przed sobą Zygmunta.

Pani Izajaszowa zdziwiła się, gdy wyświeżony i odmłodzony wszedł pan Bonawentura do pokoju.

Pan Bonawentura nigdy pierwej u nich nie był. Znali go w domu z opowiadania pana Izajasz, któremu w interesach pieniężnych często doradzał. Dzisiejsza jego wizyta uderzyła panią Izajaszową, ale wnet wytłumaczyła sobie tę szczególną łaskę pana naczelnika, który przy ich milionie zapewne coś zarobić myśli.

Przyjęto go bardzo grzecznie, posadzono na kanapie, bo zawsze był to gość na Podwalu znakomity.

Listu od pana Izajasz nie było, ale była zato Elżusia, trochę blada i rozmarzona.

— Czegóż to panna Elżbieta tak przybladła? zapytał naczelnik i skubnął chusteczkę Elżusi.

— Nerwy, nerwy! odpowiedziała pani Izajaszowa w tem przekonaniu, że każdy milion przynosi ze sobą arystokratyczne cierpienia nerwowe. — Na drugi rok, da Bóg doczekać, trzeba jechać do Os... Was... Bos...

— Ostendy, przedko dokończyła Elżusia i zarumieniła się.

Pan Bonawentura ujrzał rumieniec i z zadowoleniem obgłaskał lepkie włosy peruki.

Od tej wizyty minęło jeszcze dni kilka. Pan Bonawentura co drugi dzień chodził na Podwał i dowiadywał się o listy z Gdańska.

Koledzy biurowi nie mogli pojąć, co się z naczelnikiem stało. Jakoś młodniał widocznie w ich oczach. Nietylko głowa nakrywała się coraz czarniejszemi włosami, ale nawet i dawne zmarszczki z czoła i twarzy gdzieś znikły. Pytali jedni drugich, jaka może być tego przyczyna, ale nikt nie umiał odpowiedzieć.

A odpowiedź była łatwa: Pan Bonawentura zaczął znowu marzyć.

Zdawało się, że te piętnaście lat, które od ostatniej jego katastrofy ubiegły, zdjął z siebie jak zeschniętą skórę i odrzucił.

Za dwa tygodnie wrócił wreszcie pan Izajasz i zaraz zjawił się w biurze u pana Bonawentury.

Pan Bonawentura zamknął na klucz swój pokój, posadził gościa na safianowej sofie i dał mu dwuzłotowe cygaro, które naumyślnie w tym celu kupił.

Pan Izajasz wyglądał smutno. Twarz miał zniekaną, kilka zmarszczków przybyło mu na czole.

— Więc wola Najwyższego spełniła się, ozwał się, jak mógł najsmętniej, pan Bonawentura.

— Tak jest, odparł w westchnieniem pan Izajasz — pochowaliśmy Sebastjana przyzwójcie jak należy. Nastąpiła długa pauza,

— No... a cóż... cóż zresztą nowego? zapytał pan Bonawentura, spuszczać oczy w ziemię.

— A cóżby było nowego? Nic nowego! Jeszcze

w uszach brzmi mi paradna muzyka, którą na porzecz najełem.

— Tak, tak!.. Ale interesa.

Pan Izajasz machnął ręką. Na jego twarzy wiadać było silną walkę. Usta jego zaruszały się, ale do słowa jakoś przyjść nie mógł.

— Sądzę że interesa w porządku, powtórzył pan Bonawentura, zapalając cygaro.

— Tak... o tyle o ile...

— Cóż zrobimy z pieniędzmi? Moja rada byłaby...

— Widzisz pan... pieniądze są... ale te pieniądze—

— Jeżeli są, to już dobrze.

Pan Izajasz zacisnął usta i milczał chwilę.

— Te pieniądze... widzisz pan... to tak... niby nie moje!

Pan Bonawentura spojrział z uwagą na ojca Elżusi.

— Jeżeli te pieniądze nie są własnością pana, mówił po chwili — to w takim razie żadnej rady dać nie mogę.

— Nie, widzi pan... ja tak mówię, bo to ludzie...

— Ach! rozumiem! O, ludzie, to zarazby z tego korzystać chcieli. Zaraz pełno byłoby przyjaciół, krewnych i sąsiadów. Panie Izajaszu, pożycz mi na to, na owo. O znam ja, znam to dobrze.

— Cóż ja w takim razie odpowiem?... Nie mogę i basta.

— Tak, tak! Będzie to nawet bardzo dobrze. Nie będziesz pan miał kłopotów z tałałajstwem, któreby zwabione milionem na dom napadło...

— A teraz przystąpmy do interesu... pieniądze mam w takich papierach...

Tu rozpoczęła się specyfikacja papierów. Pan

Bonawentura liczył i liczył, twarz jego rumieniła się co raz więcej i stanął już niedaleko miliona.

Długo, bardzo długo siedział zamknięty w swoim pokoiku z panem Izajaszem.

Wreszcie wyszedł pan Izajasz. Wyszedł zgarbiony i znekany jak człowiek, którego ogromny ciężar ugniata. Twarz miał gorączką spaloną, na policzkach sine plamy.

— Co to za szczwany lis, mruknął do siebie pan Bonawentura, patrząc za nim przez okno. Gdyby go kto widział niosącego milion w zanadrzu, myślałby, że go ten milion diabelnie przygniata do ziemi!

I długo, bardzo długo chodził pan Bonawentura po pokoiku. Uśmiechał się — wasy podkrecał i perukę poprawiał. Wreszcie wziął kapelusze i wyszedł.

Na ulicy Święto-Krzyżkiej spotkał katarynkarza, który właśnie kończył grać „*di tanti palpiti*”.

Pan Bonawentura pędem poskoczył ku niemu.

— Graj!... graj jeszcze raz z góry, krzyknął do wystraszonego Włocha i rzucił mu złotówkę.

Włoch schował złotówkę i zaczął grać...

Pan Bonawentura słuchał z pochyloną głową.

— Graj! Jeszcze raz graj! zawołał przy końcu ary i drugą złotówkę rzucił na katarynkę.

Ludzie zaczęli gromadzić się koło pana Bonawentury, który nikogo w tej chwili nie widział.

— Jeszcze raz z góry! krzyknął po raz trzeci i w braku złotówki rzucił rubla.

Przy trzecim powtórzeniu tej ary spostrzegł, że tłum ludzi patrzy na niego. Zawinał się w płaszcz i poszedł dalej ku domowi.

W domu zatrzasnął drzwi za sobą, ku wielkiemu zdziwieniu starego Józefa.

Za kilka chwil mocno strapiiony Józef zeszedł na dół do kucharza, swego przyjaciela i zaraz na progu kuchni zawołał:

— Czy słyszycie Walenty?... Naczelnik gra na czekaniu!.. Oj, będzie nieszczęście, wielkie nieszczęście! Pamiętam... będzie temu lat piętnaście, grał tak samo i zaraz potem...

Westchnął i nie dokończył.

Pan Bonawentura grał rzeczywiście na czekaniu, a grał arya: „*di tanti palpiti*”.

Rzewny, donośny głos czekana rozchodził się szeroko po Nowym-świecie.

XX.

Po Nowym-świecie snuł się właśnie tłum nieprzejrzany. Była to godzina poobiednia. Dzień późnej jesieni był jeszcze ciepły i pogodny. Tysiące mieszkańców stolicy wyległo na to *corso* warszawskie, aby użyć przechadzki i świeżego powietrza.

Tłum różno-barwny sunął się nieustannie. Turkot dorożek mieszał się z gwarem rozmawiających i tworzył dziwny, wielko-miastowy akord, przygłuszany czasami donośnym dźwiękiem szlifierza, który okolicznym domom ogłaszał egzystencją swoją na ulicy.

Nad całą tą wrzawą panował głos czekana, który w tym chórze wielko-miastowym górował jak sopran nad wszystkie inne głosy.

Niektórzy z tłumu usłyszawszy czekana, przystawali na chwilę. Jedni z ciekawości, drudzy z zamiłowania muzyki. Głos czekana był rzewny i czysty.

Pomiędzy tymi którzy się zatrzymali, był znany nam Goldberg, za którym krok w krok postępował i również zatrzymywał się młody elegant wielkomiejski, z czarną laseczką z fiszbini.

— Niech wielmożny pan hrabia tutaj idzie, rzekł Goldberg do eleganta — drugie piętro, pierwsze drzwi na prawo, mijając kuchnię.

Rzekłszy to, cofnął się w tłum i znikł z horyzontu.

Młody elegant stał chwilę przed domem, jakby słuchał gry na czekaniu. Nawet półgłosem pogwizdywał sobie arya, jakby chciał czekanowi wtórować.

Po jakimś czasie, machnąwszy laseczką kilka razy w powietrzu, uśmiechnął się do siebie i wszedł do ciemnej sieni domu, z którego właśnie słychać było grę na czekaniu.

— Czy jest pan naczelnik w domu? zapytał się zaturbowanego Józefa w przedpokoju.

— Czy pan nie słyszysz? odfuknął stary sługa i wskazał na drzwi, z których wychodził głos czekana.

— To pan naczelnik gra tak ładnie? Józef kiwnął głową.

— Może mu przeszkodzę?

— Tem lepiej pan zrobi.

— Dlaczego lepiej?

— Bo to, widzi pan, czasami, gdy człowiek długo gra, to zajęczki przychodzą do głowy!... Znałem jedną pannę, która po całych dniach i nocach grała i śpiewała — aż jednej wiosennej nocy z kochankiem uciekła.

— Więc sądzisz, przyjacielu, że muzyka jest niebezpieczną?

Józef kiwnął głową i machnął ręką.

— Możnaż iść? zapytał po chwili elegant.

— Idź pan — może grać przestanie.

Elegant spuścił szkiełko z oka i ostrożnie drzwi otworzył do drugiego pokoju.

Zatrzymał się jednak na progu. Zdawało mu się że niebezpiecznie jest postąpić dalej. Pan Bonawentura był twarzą do niego obrócony. Dmuchał w czekan całą siłą, aż oczy mu na wierzch powylały i szyja zgrubiła.

— Przepraszam... ozwał się nieśmiało elegant.

Pan Bonawentura przestał dmuchać.

— Jestem Ludwik Ostroga, mówił dalej elegant.

— Ludwik Ostroga... czego pan sobie życzy?

Tak zwany hrabia Lulu zakosztował się, przełknął i z wolna wycedził przez zęby:

— Jestem tak wielkim amatorem muzyki, a mianowicie Rossiniego, że słysząc pana grającego tak po mistrzowsku „*di tanti palpiti*“, nie mogę nawet zaraz na wstępie zacząć od interesu, jaki mnie do pana dobrodzieja sprowadza.

— Pan jesteś amatorem Rossiniego? zawołał pan Bonawentura, ach ten geniusz robi z wszystkich ludzi swoich niewolników!.. Mówię panu, że grając od godziny, widzę przez okno, jakie to wrażenie sprawia na przechodzących. Osobliwie chłopcy od szewców, którzy z ulicznej publiki najwrażliwsi są na efekta muzyki, chwytają natychmiast melodyą i roznoszą ją potem w swoje nie bardzo muzykalne zaułki. Tak to panie, człowiek panie sam nie wie, kiedy jest apostołem sztuki i cywilizacji.

— W samej rzeczy, odpowiedział z ukrytym uśmiechem Lulu, ja sam byłbym stał się adeptem pana, gdyby nawet żaden interes tutaj mnie nie zaprowadził.

— Czy grasz pan na basetli?

— Nie, ale coś trochę na melodikonie.

— Więc dobrze! Siadaj pan — ot jest melodikon.

Lulu odłożył kapelusz i laseczkę.

— Zagramy coś z Tancreda. Tu są nuty.

— Dobrze. Niech pan naczelnik zaczyna.

Gra poszła dosyć dobrze. Lulu grał wprawnie. Pan Bonawentura był w siódmym niebie.

— Wiesz pan, że zrobiłeś mi prawdziwą przyjemność. Cieszę się bardzo, że pana poznałem, możemy częściej grywać z sobą. Muzyka, panie dobrodzieju, muzyka, to tak jako owa woda rozmarynowa, którą odmładzała się sześćdziesiąt-letnia Jagiellonka, żona króla Batorego.

— Muzyka, to życie w nadziemskich sferach.

— Mówię panu, panie dobrodzieju, gdybym mógł w grobie w mój czekan zadmuchać, to takbym ożył, jak ożyła Julia do pocałunku Romea.

— Jabyśmy odżył także i do pocałunku Julii.

— Ba! odparł rozjaśniony pan Bonawentura i szeroką dłonią obtarł wyczernione wąsy, jakby kawał miodu połknął.

— Muzyka to harmonia... a człowiekowi często tak trudno być w harmonii z światem, mówił Lulu.

— Prawda, święta prawda, odparł pan Bonawentura, w świecie są szkopyły, są Scylle i Charybdy, są kanty i rogi, bruu!

— Niewymownie cieszę się z tego, że pana poznałem.

— Dwie dusze, dwa serca znajdują się, znajdują.

— A dzisiaj tak trudno o serce, o dusze.

— Prawda że trudno, ale mówię panu, że są, są, tylko je znaleźć, umieć znaleźć!..

— Żałuję bardzo, że tak przyjemną rozmowę muszę przerwać światowym interesem.

— I to czasem dobre... to *intermezzo*.

— Mam polecenie od mojego krewnego... aby mu wystarać się na znaczną, bardzo znaczną kwotę papierów zagranicznych. Pan naczelnik jako biegły w tej rzeczy...

— Papierów zagranicznych?

— Naprzykład: pruskich, frankfurtskich i t. p.

— Pruskich, frankfurtskich!... tam do kata! mam właśnie poleconą sprzedaż takich papierów.

— Wybornie, jak to się dobrze ułożyło.

— Muzyka, widzi pan, muzyka była przewodniczką.

— Tak, muzyka!.. Najprzód chciałbym wiedzieć, na jaką sumę mógłbym liczyć, aby krewnemu napisać.

— O na znaczną, dosyć znaczną... na milion nawet.

— Milion! powtórzył Lulu, a oczy zabłyśły mu.

— Tak panie, u nas to są interesa znaczne.

— Czy niemożna by wiedzieć na jakich warunkach?

— Widzisz pan, trzebaby mi jeszcze znieść się z właścicielem tych papierów.

— Czyby to dużo czasu zabrało?

— Trzeba iść aż na Podwał.

— Podwał! powtórzył Lulu z rozjaśnioną twarzą.

— Tak, Podwał, odparł pan Bonawentura, a twarz jego rozjaśniła się także jakąś myślą tajemną.

Zdaje się, że pan Lulu był już u mety swoich życzeń na dzisiaj. Dalej iść prawdopodobnie nie chciał i myślał już o odwrocie.

— Ale to niema nic tak pilnego, zauważył.
— Nie, nie, wołał pan Bonawentura, dla dobrych znajomych robią się interesa duszkiem. Natychmiast biorę kapelusz i idę.

— Ale, widzisz pan... tu jeszcze niema nic tak pewnego.

— Nic nie szkodzi. Idę natychmiast, idę... Gdzie i kiedy mogę pana dobrodzieja zastać?

— Tak... ale na seryo mówię, że to nie pewnego. Ot staruszek, mój krewny, chciał tylko wiedzieć... nic więcej jak wiedzieć... gdyby więc przy sposobności —

— A czemużby była przyjaźń na świecie? A mówię, za odegranie Rossiniego wart jesteś pan tego żebym się przeszedł na Podwał.

Lulu nie mógł już dalej dać rady panu Bonawenturze i wypuścił go na ulicę.

Pan Bonawentura tak lekko biegł na Podwał, jakby u nog miał skrzydła.

XXI.

Powolniejszym krokiem, z głową do ziemi spuszczoną, szedł Lulu w przeciwną od Podwala stronę. Czoło miał zmarszczone, jakby tam w głowie pracowały jakieś myśli ważne.

Przeszedł Chmielną i Zgodę i wyszedł na Marszałkowską ulicę, gdzie przy pierwszej kamienicy się zatrzymał.

Spojrzał w okna pierwszo-piętrowe, pomyślał trochę i wszedł do sieni.

— Czy jest pani hrabina? zapytał w przedpokoju.

— Proszę, odpowiedział lokaj i otworzył drzwi salonu. Lulu wszedł do salonu.

W salonie panowała jakaś stęchła atmosfera. Również i światło było przyćmione, bo przez zapyłone szyby nie mogły się dobrze przebić promienie słoneczne.

Całe urządzenie salonowe odnosiło się do zeszłego wieku. Wysokie, złoconą skórą obijane kanapy stały przy ścianach, koło nich grupy krzesel i niskich foteli. Na ścianach wisiały stare obrazy, zapyłone i zadymione. Portiery były z adamaszku, który jednak już dawno rozstał się ze swoją barwą. Zegarek z kukułką misternej roboty stał nad kominem naśladowującym marmur.

Salon ten i całe urządzenie sprawiało wrażenie bardzo starożytnego domu.

Widać że ten dom miał w końcu zeszłego wieku świetne powodzenie, bo wszystkie kosztowniejsze graty i graciki pochodziły z tego czasu.

Dzisiejszy wiek prawie nic tu nie dodał. Przeciwnie, z kilku medalionów, na słoniowej kości malowanych, zdjęto jak widać złotą oprawę. Zapewnie zapotrzebował syn czy wnuk tego szlachetnego kruszcu i konterfekt dziada lub ojca zawiesił bez ram na ścianie.

Zato na posadzce, wypłowiałym dywanem nakrytej, roiła się gromada kotów. Było ich pół tuzina, różnej maści i różnych gatunków. Były szare i bure, białe i nakrapiane, z płatkami i bez płatków.

Przed okrągłym stołem siedziała poważna matrona, z twarzą niegdyś ładną, a dzisiaj żółtą i pomarszczoną.

Na jej wyniosłym czole był spokój, była pewna duma i powaga, jaką starszej kobiecie nadaje przeświadczenie znacznie spędzonego żywota.

Koło jej nóg przykucnęła służąca i na małych talerzykach karmiła właśnie koty śmietanką.

Przed nią stała piękna, młoda kobieta, z teką nut pod pachą i z nią rozmawiała.

Była to nasza znajoma, Bronisława.

— Anetko! mówiła dama do służącej — zdaje mi się że Filuś nic nie chlipnął śmietanki... Pomocaj go za mordkę, czy ma nos gorący.

— Zadrapał mnie! szepnęła służąca.

— Powinnaś cieszyć się z tego! On taki miły!...

— Jakże hrabina sądzi? zapytała Bronisława.

— Już ciż nie inaczej jak powiedziałam! Patrz pani, jaki on śliczny! Tu dwie łapki a tam jedna.

— Ale ja myślę o tej wdowie z córeczką.

— A o wdowie! Prawda! Jakaż to sprawa?...

W tej chwili spostrzegła szanowna matrona, że Lulu stoi tuż za Bronisławą i pilnie w jej piękny profil się wpatruje.

— Ah! cher cousin! zawołała dama, dobrze że przyszedłeś! Chciałam pośtać po ciebie. Prenez place.

Lulu usiadł tak, że mógł Bronisławie w oczy patrzeć, ale jej wcale nie przywitał.

Bronisława zarumieniła się lekko i zacisnęła zęby.

— Annetko Trezorek coś smutny. Umaczaj biszkopcik w śmietance i daj mu do pyszczka, ozwała się dama.

— Cóż ta wdowa z córeczką... mówiła Bronisława.

— Aha! Prawda, o wdowie mówią głosy...

— Maż tej wdowy był razem z moim ojcem i obaj razem prawie umarli. Dotąd pracowała ona za kawałek chleba dla siebie i dziecka. Od kilku tygo-

dni jednak leży obłożnie chora. Czy wiatr ją zawiął, czy skutkiem zmartwień wielkich — odjęło jej prawą rękę i nogę.

— Ach! jakież to smutne! Mój Boże! Czemż człowiek jest na świecie! Listkiem, którym wiat^e jesienny pomiata na wszystkie strony, który lada^r chwila może spocząć na kwiatku, albo wpaść do wody... Czy słyszałaś pani wczorajsze kazanie ojca Eliasza? Mówił o zmienności losów ludzkich... Płakałam... rzewnemi łzami płakałam... Anetko, czy Sultana pił śmietankę?

— Nie chciał. Zdaje się że nie głodny.

— Ach! gdyby Sultana coś spotkało, jabym była nieutulona! Jestem nerwowa.

— Wracając do tej biednej wdowy z małą sierotą, zaczęła znowu Bronisława.

— A do! wdowy! Dobrze, dobrze, ma chère, mów dalej, może się znajdzie jaka myśl dobra....

— Otóż ta wdowa jest teraz bez najmniejszego sposobu do życia. A przecież zasłużyła przynajmniej na litość. Straciła męża, straciła majątek, który wydarli wdowie nieprawi nabywcy....

— Smutno, bardzo smutno! O. Eliaz bardzo pięknie przedstawił to w obrazie. Powiedział, że czasem człowiek wśród nieszczęścia podobny jest do zablakanej owcy, którą wilki otoczyły. Gdziekolwiek spojrzysz, kłapie wilk zębami i biedna owca, aby nie wpaść w paszczę tyrana, zwija się w kłębek i skacze w przepaść... Okropnie! Okropnie.

— Gdyby można coś dla biednej wdowy wynaleźć?

— Annetko! Trezor chce Sultana kąsać... Tak, trzeba pomyśleć nad tem! Ale teraz trudno, bardzo trudno! Tyle jest biednych.

— Przecież dla jednej matki z dzieckiem może znalazłoby się jakie miejsce....

— Trudno, bardzo trudno! Moje wpływy są już wyczerpane i zużyte — a sama.... sama, jak pani widzisz, żyję jaknajskromniej i najoszczędniej.

— Ale Neptuś, proszę pani od wczoraj nic nie chce jeść! ozwała się służąca.

— Każ mu zrobić bifszytk — tylko uważaj, aby świeże masło było... On leguminy nie znosi.

— Możeby się dało wziąć z funduszów „opieki dla kalek,” ozwała się znowu Bronisława.

— O! Broń Boże! Właśnie wczoraj byłam na sesyi. Uradzono z tych funduszów ku chwale Bożej wybudować kościółek przy tym zakładzie.

— Kościółek? Wszak w parafii tej jest kilka kościołów, a fundusz byłby stosowniejszy dla biednych kalek.

— Widać że pani tego nie pojmujesz! Ludzie są ludźmi, a Bóg Bogiem. Chwała Boga idzie zawsze przed ludźmi. Cegielka jałmużny w domu Bożym, to więcej niżeli garnuszek zupy rumfordzkiej w ręku biedaka.

— Ja bym sądziła inaczej.

— Wierzę, bardzo wierzę. Jesteś pani zbyt światową. A świat dzisiejszy to świat pychy, fałszu i obłudy. Myśli że ma rozum, a czemże jest rozum wobec Boga?... O Boga, o Boga starać się trzeba, aby mieszkał w duszach naszych, a jutro ludzkie samo o sobie starać się będzie...

Bronisława zamilkła i spuściła oczy w ziemię. Lulu bawił się czarną laseczką i przez szkielek wpatrywał się w piękną twarz biednej sieroty.

— Ale, dziecie moje, ozwała się po jakimś czasie

sie dama, jak jest, tak jest, ale trzeba przecież coś wymyślić.

— Ja już nie mam żadnej myśli, odpowiedziała smutno Bronisława i zacisnęła usta, aby łez nie puścić.

Lulu poprawił szkiełko w oku.

— Przychodzi mi właśnie dobra myśl do głowy, mówiła dalej miłosierna dama.

— Słucham pani.

— Tę wdowę z dzieckiem możesz pani wziąć do siebie i ją utrzymywać.

— Wziąć do siebie i ją utrzymywać?...

— A ja zato wystaram się pani o dwie godziny lekcyj codziennie.

— Dwie godziny lekcyj codziennie?... powtórzyła Bronisława i szkliste oczy zawiesiła gdzieś w powietrzu.

Po chwili twarz jej zapłonęła, oczy zabłyśły pięknym blaskiem, a cała postać wyprostowała się.

— Dobrze. Przyjmuję te warunki, zawołała głosem, w którym drżało wielkie wzruszenie.

Lulu wyrzucił szkiełko z oka, wstał z fotelu i zaczął niespokojnie przechadzać się po salonie.

Widząc to, gospodyni wyciągnęła rękę do Bronisławy i rzekła:

— Więc przecież coś się uradziło. Jak Bóg łaskaw, to wszystko się znajdzie... Więc rzecz skończona. Czy pójdziesz pani po nią?

— Muszę jeszcze wstąpić do pani senatorowej, mojej znajomej z Krakowa, aby już ją uwolnić od wszelkich kłopotów, gdyż mocno była tą biedną zajęta.

— Idź, idź z Bogiem, moje dziecko, Bóg za to błogosławić ci będzie.

Bronisława ukloniła się i wyszła.

— Zdziwiłem się przez pół godziny, ozwał się Lulu do kuzynki, bo coś wcale ładnego... aż w końcu dowiaduje się że nauczycielka.

— Nie wszyscy ludzie mogą być równi sobie.

— To prawda, bo ta równość byłaby istnem głupstwem.

— Czy masz, *cher cousin*, jakie bliższe informacje?

— Mam doskonałe... To o czym wczoraj mówiliśmy, jest prawdą rzeczywiście. Jest milion!

— Zlituj się!... Milion na ulicy Podwała!...

A panna?

— Panna?... Któż pyta o pannę, gdy jest milion. Może być sobie koczkonon jaki chce!... Chodzi mi więcej o papę i mamę.

— Mówią, że to rybak czy prosty szyper, który ani czytać, ani pisać nie umie!... Ale panna Bronisława przeczyła temu...

— Ha, to mamę i papę schowamy do sutereny. Panna ma być nawet très bien!

Szanowna kuzyna pana Lulu milczała chwilę. Potem westchnęła i rzekła:

— Nasze majątki zabierają nam lichwiarze i dobrokiewicze. Cóż robić? Trzeba je kosztem honoru naszego napowrót odbierać. Nie jeden z naszej sfery ożenił się z rzeźniczką lub mydlarką, która wniosła mu milionik.

— Ba! Będzie to zawsze mesalians.

— Mesalians będzie, ale tylko dla jednej generacji. W drugiej generacji już ten błąd zapomną. A mówią nawet, że dzieci z takiego mesaliansu mają nadzwyczajne talenta i wychodzą wysoko. Między ministrami...

— Mnie chodzi przede wszystkim o moje własne jutro!

— Wszystko będzie, tylko zrećnie trzeba się wziąć do rzeczy. Najprzód potrzeba parę tysięcy rubli, aby je w tym celu wyrzucić.

— Ba, ale skąd ich wziąć?

— Mam na to radę. Pojedziesz do pana Wita-Ostrogi. Stary to skąpiec i daleki krewny, ale coś może wydusić!

Lulu uznał tę myśl za dobrą i przyrzekł natychmiast je uskutečnić.

XXII.

Kiedy Lulu nad wyprawą do pana Wita-Ostrogi przemyślał, biegła Bronisława szybkim krokiem ku ulicy Mostowej. Twarz jej była zarumieniona, ruchy gorączkowe. Oczy miała długą rzęsą nakryte i ku ziemi spuszczone. Nic przed sobą prawie nie widziała, zdawało się że jakaś myśl piękna i szlachetna zajmowała ją całą.

Na Mostowej ulicy panowała dzisiaj szczególna atmosfera. Senatorowa siedziała w dużym krześle i przez drzwi napół otwarte patrzyła z pewną troską na syna, który w drugim pokoiku siedział nad książkami.

Floryan siedział wprawdzie nad książkami, ale wzrok jego sięgał gdzieś po nad książki. Podparł ręką głowę i zamysłony patrzył przed siebie. Twarz jego przybladła znacznie, usta pobieleły.

Dwa tygodnie minęło od tego czasu, jak pierwsza wiadomość nadeszła z Gdańska do pana Izajasza o spodziewanym znacznym spadku. Dwa tygodnie

upłynęło od ostatniej w domu państwa Izajaszów wizyty, która się tak niefortunnie zakończyła

Po tej wizycie uznała senatorowa, i syna swego przekonała, że dalsze stosunki z Podwałem są niemożliwe. Ich dawne stanowisko i cała przeszłość nie pozwalały, aby bić czołem przed złotym cielcem, jak się senatorowa wyrażała. Duma ich przez pychę ludzi małuczkich, choć bogatych, była srodze urażona i nie pozwalała im zbliżyć się do ludzi, którzy ich szlachetniejszego kapitału nie widzieli i nie uznawali.

Tak rozumowała senatorowa.

Floryan zgadzał się z matką na pozór. W głębi jednak duszy był tego zdania, że nici, przez tak długi czas nawiązywanych, nie można odrazu przeciąć. Wprawdzie i on sam był srodze zraniony. Jego duma szlachetna poniosła znaczną klęskę. Ludzie do których on chciał się zbliżyć, dali mu poznać swoją wyższość czysto materyalną i w szale tej wyższości nawet mu ubliżyli.

O zbliżeniu się teraz do Elzusi i mowy być nie mogło. Cóżby cały świat na to powiedział, gdyby dopiero na wieść o milionie zaczął pałać dla niej miłością i to jej wypowiedział?...

Zresztą sama Elzusia ostatniem postępowaniem zamknęła mu drogę. Podrażniła jego dumę kolącemi jak szpilki słówkami, jakich pierwej przed milionem nigdy nie używała...

Tyle tylko wyprosił od matki swojej, że tej sprawy nie uważano jeszcze za zamkniętą i że drugiej stronie zostawiono inicjatywę do nowych związków.

Senatorowa i Floryan cofnęli się na swoje stanowisko szlachetnego ubóstwa, a milionowym ludziom

pozostawili drogę otwartą zbliżeniu się do nich na powrót.

Floryan miał nawet nadzieję tego zbliżenia się. Spodziewał się tego po panu Izajaszu, gdy go gorączka nagłego spadku opuści, a najmniej spodziewał się po Elzusi, która zanadto wiele miała rozsądku, aby sytuacji jego dzisiejszej należycie nie ocenić.

Olśniona milionem, jeżeli Floryana prawdziwie kochała, powinna pierwszą rękę do niego wyciągnąć i dać mu poznać, że milion serca i duszy wcale nie zmienia.

Tak myślał Floryan i senatorowa pod tym względem z nim się zgadzała.

Aby jednak ten czas wyczekiwania czemś sobie skrócić i potrzebnego hartu na wypadek nowych rozczarowań nabyć, postanowił zająć się pracą literacką, odpowiadającą jego zawodowi.

Praca umysłowa to najdzielniejszy środek do utrzymania zmysłów w równowadze, gdy ciosy nieszczęścia z całą siłą uderzają w człowieka.

Floryan wybrał sobie przedmiot do opracowania z prawodawstwa angielskiego.

Jest to obok najwyższej sytuacji sprawiedliwości, tak zwana najwyższa instytucja słuszości, np. w sprawach sierot i małoletnich, gdzie niezmiennie słowo ustawy staje się częstokroć najwyższą niesprawiedliwością.

Nowy ten w naszym ustawodawstwie przedmiot chciał on należycie rozwinąć, wyswiecić i stosownie do miejscowych potrzeb zalecić.

Tą pracą zajął się teraz, a zajął się tem bardziej, im więcej dokuczały mu niektóre myśli i marzenia z wczorajszej jego przeszłości.

Praca ta zabierała mu wprawdzie wiele czasu, ale nie zabierała mu wszystkich sił, z jakich składa się życie człowieka. W głębi duszy odzywały się ciągle jakieś wspomnienia jasne i piękne, teraz przysmione i miejscami podarte. Po całych dniach i nocach pracował i pomimo to w każdej chwili wypochnięty nachodziły go obrazy, które mu część duszy zabierały....

Senatorowa spostrzegła to i posmutniała.

Patrząc w tej chwili na syna, który od godziny w jedno miejsce patrzył, wstała z krzesła i weszła do jego pokoiku.

— Floryanie, rzekła do niego, kładąc mu rękę na ramieniu—ty niepotrzebnie sprawiasz sobie umartwienia.

Floryan ocknął się z zamyślenia.

— Umartwienia? odpowiedział — myślałem w tej chwili nad moją pracą!

— Nie mówisz prawdy.

Floryan zarumienił się.

— Wiem dobrze, mówiła senatorowa z powagą, czem każde uczucie jest dla serca szlachetnego i wiem, że ty takie serce posiadasz. Ale właśnie dlatego powinieneś tem mężniej znieść ten cios, który cię spotkał.

Floryan nic nie odpowiedział, tylko wziął rękę matki i ucałował.

— Szlachetne serce, mówiła dalej matka, ma pełną dumę, która je chroni od każdego małoduszego cierpienia. Czyż nie mówiłam ci, że ludzie prości, ludzie bez wyższych pobudek życia, ubrani w złoto, nic innego u drugich nie cenią? A jeżeli za czem się uganiają, to pewnie za tem, co my mamy. My nie mamy ani herbów dzisiejszych, ani złotych

kluczy, ani żadnych walor dzisiaj mających zaszczytów! A u nich to tylko może mieć wartość jaką, jeżeli za swoje pieniądze coś chcą kupić.

— Nigdy przed czasem nie chcę wyrokować o ludziach, odpowiedział Floryan, chociaż być może, że kiedyś podobny wyrok o nich wydam. Dzisiaj wolę myśleć o nich lepiej.

— Dwa tygodnie minęło od owej nieszczęsnej rozmowy naszej na Podwału. Naszym obowiązkiem było czekać zbliżenia od nich. Takie zbliżenie dotąd nie nastąpiło. Czyż to już nie mówi jasno, czem oni są, a czem my jesteśmy dla nich? Wszak to leży jak na dłoni.

— Prawda, nie przeczę temu, ale mogą być powody do tego, których my nie znamy.

— Ha! to czekajmy na wyjaśnienie tych powodów. Tymczasem radzę ci przyzwyczajać się do tej myśli, że to wszystko już dziś do historii może należeć.

— Mam przecucie lepsze. Być może, że więcej świat i ludzi kocham, niżeli na to zasłużyli.

— Inaczej nie byłbyś synem twego ojca! odrzekła z dumą senatorowa i chciała właśnie odejść do swego pokoiku, gdy w kuchence usłyszała dzwonek.

Weszła Bronisława.

Bronisława miała twarz już z drogi zarumienioną, zobaczywszy jednak Floryana, zarumieniała się jeszcze więcej. Błyszczące oczy nakryła prędko dłońmi rękami.

Po zwykłych przywitaniach, które ze strony senatorowej były rzewne i serdeczne, ozwała się:

— Przychodzę uwolnić panią senatorową od wszelkich trosk względem tej biednej, chorej wdowy.

— Od obowiązku nikt nie ma prawa nas uwal-

niać, przerwała z małą chmurką na czole senatorowa.

Bronisława zarumieniała się jeszcze więcej. Pochyliła głowę do ziemi, aby jej oczu nie widziano.

— Ah! przepraszam za niestosowne wyrażenie, odpowiedziała z niepokojem, jestem tak roztrągniona!...

— Cóż się przyczyniło dzisiaj do twego roztrągnięcia, moje dziecko?

— Dzisiaj... dzisiaj jest dla mnie, czy raczej zaczyna być dzień szczęśliwszy od innych!

— Cóżes w tych dniach dobrego zrobiła?

— Znalazłam sposób do życia dla biednej wdowy.

— Czy ją bierzesz w opiekę pani Nałęcz-Ostroga?

— Pani Nałęcz-Ostroga?... Nie... Nie bezpośrednio.

— Jakże się rzecz załatwiła?

— Wdowę z córeczką biorę do siebie na mieszkanie.

Rzekłszy te słowa, zarumieniała się jeszcze mocniej Bronisława i oczu od ziemi oderwać nie mogła.

Floryan spojrział na nią. Była w tej chwili tak piękna, tak urocza.

— Zkądże masz fundusz na jej utrzymanie? pytała dalej senatorowa.

— Fundusz... fundusz... jakąś Bronisława — fundusz obmyśliła już pani Nałęcz-Ostroga.

— To zacna i świętobliwa pani!

— Ja przy tem zyskam najwięcej.

— Zyskasz najwięcej?... Cóż możesz przy biednej wdowie zyskać, która żyje z jałmużny?

— Mogę zyskać bardzo wiele.... zyskam bowiem czyjeś przywiązanie i miłość.

— Przywiązanie i miłość znaczą bardzo wiele!
 — Osobliwie dla kobiety, która jest sama jedna na świecie, sama wśród ludzi.

Tu nie mogła już powstrzymać łez. Wytrysły one obficie z jej pięknych, ciemnych oczu.

Senatorowa rozczuliła się. Pocałowała biedną sierotę w czoło i rzekła:

— Pozwolisz, moje dziecko, że i my oto z naszej strony choć w części zarobimy sobie na przywiązanie tej biednej wdowy, która jest tak nieszczęśliwa!...

Floryan patrzył w milczeniu na tę scenę.

Po wyjściu Bronisławy panowało w izdebkach czas niejaki głucho milczenie.

— Biedne to jest stworzenie ta Bronisława! ozwała się pierwsza senatorowa. Wychowana w zbytkach i pieczętatach, musi teraz u obcych żebrac przywiązania i na nie gorzko zarabiać.

— Jest to bardzo zacna i szlachetna dziewczyna! odpowiedział Floryan i wrócił do rozłożonych na stole książek.

Dawna, posępna cisza wróciła do biednych izdebek. Senatorowa wzięła robótkę do ręki, a Floryan niby przewracał kartki, ale nic nie czytał i żadnych liter przed sobą nie widział.

Prawdopodobnie był myślą na Podwału.

XXIII.

Zdaje się że z taką samą myślą, zaczepioną o kominę Podwału, jechał Lulu koleją żelazną do rezydencji swego krewnego jw. pana Wita-Ostrogi.

Rezydencya pana Wita była niedaleko Warszawy, w bardzo ładnym położeniu. Na wschód wybiegało z równiny kilka falistych pagórków, na południu

i zachodzie wiała się srebrna, spokojna rzeka, a horyzont północy był niczem nie przecięty, żadnym wzgórzem, żadnym lasem, ani drzewkiem. Powoli i nieznacznie mieszały się tam prochy ziemi z farbami nieba w ten sposób, że nie można było wiedzieć gdzie się ziemia kończy a niebo zaczyna, lub odwrotnie.

Pan Wit Ostroga wiedział dobrze gdzie się jego ziemia kończy, a o resztę nie turbował pana Boga. Chociaż i tutaj zarzucano mu mylną wiedzę, a nawet były wypadki, w których prześwietny trybunał musiał wyrzec, gdzie właściwie kończą się zagony p. Wita Ostrogi, a zaczynają się sąsiada.

A były to zagony piękne i bujne, jakby gdzieś nad brzegiem Nilu leżały. Złota pszeniczka i białe żytko mieniały się rok rocznie na tych zagonach i były zawsze tak obfite, że nawet sam pan Witold Ostroga lepszych sobie nie życzył.

Majątek pana Wita należał do najpiękniejszych i największych w całej okolicy. Prócz tego miał jeszcze „coś“ na Ukrainie.

Mimo tak korzystnej opinii, jaką pana Wit Ostroga miał w całym powiecie, rezydencya jego nie przedstawiała się tak korzystnie.

Była to stara buda, pod omszonym dachem, wlaźła już do ziemi prawie po same okna. Tu i owdzie na dachu były dziury, które tymczasem zatkało snopkami. Ściany tej budy były obdarte, jak ciało żebraka, i w ten sam sposób połatane. Okna pokrzywiły się, a wytłuczone szyby zaklejono jakąś starą gazetą.

Dwór Złotej-Woli miał także stosowne otoczenie. Dwie oficynki pochylały się ze starości, jedna na prawo, druga na lewo. Były i one w ten sposób obdar-

te i połatane, jak dwór. Prócz tego miały jeszcze podpórki z drzewa sosnowego.

W jednej z tych oficyn mieszkał ekonom, drugą przeznaczono na kuchnię i piekarnię.

Przed jedną i przed drugą leżało mnóstwo suchych gałęzi. Pan Wit bowiem zamknął lasy swoje i pozwolił tylko zbierać suche odpadki.

Na środku była studnia z długim, przelamanym żórawiem. Aby złamany żóraw miał większą wagę na dół, uwiązano mu na końcu brudną, czarną płachtę, napełnioną wypalonymi ceglami ze starego pieca.

Tak zewnątrz wyglądała rezydencya pana Wita Ostrogi. Wewnątrz nie było także lepiej. Cały dwór miał cztery izdebki. Dwie izdebki brudne z dołami w podłodze zamieszkał sam pan dziedzic, a w drugich dwóch mieściły się różne sprzęty gospodarskie, a między innymi młynek ręczny do mielenia zbiorów, który dla kontroli wtedy znajdował się tuż obok sypialni p. Wita.

Otóż i p. Wit.

Wychodzi z lamusu, do którego po kwaterek wódki się spuszczał, i macha przed sobą grubemi kłucami.

Pan Wit Ostroga jest dzisiaj czegoś zły, bo twarz całą ma pokrytą trądami, które w takim razie zawsze z kryjówek zaskórnych na wierzch wylażą.

I rzeczywiście pan Wit Ostroga miał dzisiaj zmartwienie.

Pan Wit jest starym kawalerem, i liczy sobie pięćdziesiąt lat i coś. Zamłodu był to hulaka co się zowie.

Mieszkał w Paryżu, Londynie i Petersburgu, zład sprowadził sobie za kontraktem w obec regenta tak

zwaną „czarną perełkę“, której po upływie pewnych lat obiecał dać kilkakroć sto tysięcy.

Tymczasem piękna „perełka“ nie spostrzegła, że w kontrakcie była klauzula mała „jeśli mu wierną będzie.“

Otóż mała ta klauzula, jako też i treść, była dla „perełki“ czemś tak obojętnem, że nawet na to uwagi nie zwracała.

Pan Wit jednak myślał o tem jak mówią, namówił sam pewnego Donzuana powiatowego, który postarał mu się o dowód, że „perełka“ kontraktu nie dotrzymała.

Zacni jednak sąsiedzi pana Wita uważali w jego postępowaniu brak honoru i zerwali z nim dla nie-szczęśliwej „perełki“ sąsiedzkie stosunki.

Pan Wit przyjął wyrok sąsiadów i odosobnił się od całego świata. I nie wiedzieć, czy to było naturalnym wypływem wczesnego pozbycia się lepszych namiętności, czy wyrok sąsiadów tak działał na niego, pan Wit osiadł w starym dworku swoim, i lat dwadzieścia nikomu z sąsiedztwa się nie pokazał.

Sąsiedzi opowiadali o nim różne rzeczy. Mówili że z jakąś służącą potajemnie się ożenił, i przy niej tak, jak się wyrażali, schłopiał, że dawni znajomi nie byliby go nigdy poznali.

I było prawdą, że pan Wit tak upadł nizko z wysokości paryzkiej dawnej cywilizacji.

Jak dawniej był rozrzutnym i marnotrawnym, tak dzisiaj stał się skąpym.

Skąpstwo jego dochodziło granic bajecznych.

Już sama twarz jego dzisiejsza była najpyszniejszym kontrefektem Molierowskiego skąpca. Zapadła po obu policzkach, przegrodzona ostrym, cien-

kim nosem, opatrzona małemi, przymrużonemi oczami, odgraniczona od rzadkich włosów nizkiem czołem, z dużemi, odstającemi uszami—wyglądała jak istne straszdyło.

Rzecz dziwna. Pan Wit był kiedyś dosyć przystojnym człowiekiem. Wreszcie jednak wyzycie się, brak wszelkich szlachetniejszych namiętności zrobiły z niego dzisiejszego starca. Do tego jeszcze opanowało go skąpstwo i dziwna nienawiść dla ludzi, jak rak złowrogi, poraziła twarz jego i wykoszła wita członki.

Zólc ta jaką miał dla ludzi, pochodziła w większej części z niemocy używania rozkoszy życia, jak się dawniej używało. Przy niezmiernych dostatkach jakie posiadał, opanowała go niesłychana obawa śmierci i smutna perspektywa, że te dostatki trzeba będzie dać komuś innemu, na które krwawo pracował, dla których skąpił sobie strawy i napojów.

Takim był dzisiaj p. Wit-Ostroga.

Zgarbiony, brudny, z podartym kołnierzem, w załuszczonej kubraczku, w butach połatanych i z głową szpakowatą i rozczochraną, tłukł się po całym obejściu gospodarskiem od rana do nocy, krzyczał i wymyślał na sługi.

Mieszkanie jego składało się z dwóch brudnych izdebek, z pogniętymi od wilgoci meblami.

Zywił się tylko kwaśnem mlekiem i ziemniakami, lub słodkiem i kaszą. Czasami dla urozmaicenia jadł polewkę z mąki tatarczanej, lub kluski z serem, co najczęściej miało miejsce w święta.

Ustawicznie dopiekała mu myśl spadkobierstwa po sobie i z tej przyczyny nie tylko nienawidził z całym sercem prawnych swoich spadkobierców, których

było wielu, ale nawet przemyślał nad tem, jakby im urządzić w takim razie bolesną niespodziankę.

Czasami wchodził z nimi w kompromis i za małą sumkę kupował sobie od nich dokumenta zrzeczenia się spadku—nie myślał o tem, że jeż li nie jeden, to drugi po nim spadek weźmie...

Otóż dzisiaj p. Wit-Ostroga był wielce zmartwiony. Zaraz bowiem po śniadaniu przyjechali dwaj jego krewni, aby go odwiedzić.

Krewni, jak utrzymywali, nie mieli prócz afektu żadnego innego zamiaru. Pan Wit jednak podejrzewał ich, że przyjechali mu się przypatrzeć, czy długo jeszcze żyć będzie.

— Czy myślicie że stary już dochodzi? krzyknął zaraz na wstępie; czy chcecie skórę zanieść do garbarza, podczas gdy niedźwiedź jeszcze w lesie?

— Uchowaj Boże, kochany stryju! odrzekł jeden.

— Wiem, wiem że wytrzeszczyliście oczy na moją pracę i przyjeżdżacie macać czym jeszcze ciepły!

— Ani nam w głowie to nie powstało! mówił drugi.

— Myślicie że wam uwierzę, żeście z miłości dla mnie tu przyjechali! Dzisiaj żaden człowiek drugiego nie kocha! Jeden dybie na drugiego i radby go w łyżce wody utopić. Arendarz spiskuje przeciw mnie, ekonom czeka, kiedy trumnę mi przyniosą, rzadca patrzy czy jeszcze chodzić potrafię, a lokaj Szymek co rano dziwi się, że się jeszcze przebudził! Taki świat dzisiaj i tacy ludzie, a wy chcecie mnie oszukać i powiadacie że z miłości przyjechaliście tutaj.

— Uspokój się, kochany stryjaszku!

— Czy myślicie że m chory, że m słaby? Patrzenie,

jak zdrów jeszcze jestem! Jakie mam ciepłe ręce, nogi i piersi!... Piersi jak dzwon! Słuchajcie!...
Mógłbym się jeszcze nawet ożenić!

Przy słowie „ożenić się“ zatrzymał się chwilę i zamyślił.

— Cha cha cha! wybuchnął potem śmiechem serdecznym, co za myśl genialna! Wiedziecie że to zrobicie!...

— Gdzież w tym wieku chciałbyś się stryjaszek żenić! zauważyli obaj krewni z pewnym niepokojem.

— Dlaczegoż nie? Ożenię się — z Małanką!

Małanka była dziewczka, która parobkom jeść gotowała.

Panu Witowi tak się ta myśl podobała, że obu krewnych swoich obcałował.

— Wiedziecie, to myśl genialna! mówił z radością, wszystkie wasze nadzieje spadkobierstwa pójdą do kłosa! Cha cha cha! Chciałbym w grobie słyszeć wasz płacz i zgrzytanie zębów. Byłaby to najmiłsza dla mnie muzyka.

— Stryjaszek zdrów sobie żartuje.

— Jak Boga kocham nie żartuję! Alboż to ja jeden ze służącą się ożenię? Czyż to się nie praktykuje? Żenią się jeszcze z gorszemi!... Cha cha cha! to myśl genialna! Zaraz oznajmie to ekonomowi, aby Małankę przygotował do tego szczęścia, które ją ma spotkać.

W tej chwili konie pocztowe przywiozły Lulę.

— Wybornie trafiłeś! zawołał z serdecznym śmiechem p. Wit-Ostroga, przyjeżdżasz na moje wesele! Cha cha cha! na moje wesele!

Pan Witold mniemał, że tą wiadomością zabije jednego ze spadkobierców.

Lulu jednak był dobrym aktorem i znał dobrze pana Wita.

— I owszem, odpowiedział z uśmiechem, będziemy mieli w familii dwa wesela.

— Dwa wesela?... Jakie dwa wesela?

— Chcę się ożenić!

— Ożenić?... Ożenić... a z czemże się ożenisz?

— Dzisiaj wystarcza być mężczyzną.

— A, a któraż bierze gołca?

— Wezmę w posagu milion.

— Milion? krzyknął p. Wit i skurczył wyciągnięty palec jakby chciał się modlić do miliona.

— Tak jest, milion! Chodzi tylko o to, aby mi stryjaszek pomógł do tego miliona.

— Jak to pomógł?

— Trzeba ten milion czemś złapać. Nazwisko jest, ale trzeba modnego ekwipaża, libery i... nervus rerum choćby na okaz tylko.

— Czyż to wystarczy, aby ułoić taką pannę?

— Najpewniej w świecie. Kobiety są jak dzieci, które się łapie cackami.

— Więc sądzisz, że i ja.... gdybym sprawił czwórkę tarantów, ubrał czterech drabów w kamazę....

— Nie jedna, ale dziesięć stanie do wyboru.

— Ba... a łysina, szpakowacizna i inne jeszcze defekta?

— Wszystko nic nie znaczy! Dobijać się będą o stryja.

Lulu śmiał się wewnątrz ze starego dziwaka. Pan Wit jednak mocno nad tem się zamyślił. Nagle odezwał się do Lulu:

— A gdybyś ten milion rzeczywiście posiadał, czy przy nim zrzekłbyś się prawa do spadkobierstwa na wypadek, gdybym się nie ożenił, lub...

— Któżby w takim razie o tem myślał, z uśmiechem odpowiedział Lulu i mrugnął do innych krewnych.

Pan Wit wypogodził nagle czoło i nad wszelkie spodziewanie zaprosił krewnych na obiadek, który dzisiaj wyjątkowo miał się składać z jednej pieczony kaczki i polewki ze śliwek.

XXIV.

Na Podwału zaszły tymczasem znaczne zmiany pod każdym względem. Przyczyną tych zmian był najprzód milion (jak powszechnie spadek po ś. p. Sebastyanie nazywano) a potem ostatnie rozmowy w owym dniu pamiętnym, w którym wiadomość o tym spadku uderzyła w spokojnych mieszkańców Podwału.

Elżusia po tej rozmowie z Floryanem na pozór nie zmieniła się wcale. Baczniejsze jednak oko dostrzegło w niej coś, czego dawniej nie było.

Najprzód podzielała w zupełności podejrzliwość rodziców, że senatorowa wraz z Floryanem nie uważali ich za równych sobie i dosyć boleśnie dali im do poznania, że ożłocony wół pozostanie zawsze wołem. Widocznie zapisali się do mieszczan Starego-Miasta i wyraźnie dali im to uczuć.

Ta niczem w ich mniemaniu nieugruntowana wyższość, ta dziwna pycha jakiegoś tam in partibus infidelium dygnitarstwa, dotknęła boleśnie pychę dorobkiewiczów, którym się zdawało, że pieniądz jest wszystkim na świecie.

Jakkolwiek Elżusia w tej mierze zdania matki swojej w zupełności nie podzielała, słysząc jednak codzienne jej wyrzekania na pychę gołej arysto-

kracyi miejskiej, musiała w końcu coś z tych wyrzekań uznać za słuszne.

Ostatnia rozmowa z Floryanem utwierdziła ją nieco w tym względzie. Przypominała sobie każde słowo jego, rozbierała je z jednostronnego swego stanowiska, zapominając o tem, że sama dała powód do niektórych ostrzejszych słów jego i przysłała w końcu do tego przekonania, że Floryan uważa ją za coś niższego od siebie, a w nieugruntowanej pysze swojej głowę wyżej podnosi.

Przypomniła sobie wprawdzie chwile, w których wyraźnie odbijała się skłonność Floryana dla niej, ale pamięć tych chwil zatarł sam Floryan następnym swoim postępowaniem.

Nie pojęła wcale stanowiska swego, jako panny posażnej w obec biednego konkurenta. O zbliżeniu się do niego w sposób godziwy, jakich tysiące posiada kobieta, nie myślała wcale. Uważała bowiem siebie za upokorzoną i zajęła stanowisko wyczekujące.

Przyczynił się do tego niemało milion.

Pieniądze są podobne do wagi powietrza, o którym mówią, że kilkoma centnarami ciąży na człowieku, chociaż się tego wcale nie czuje.

Zdaje się że i ten milion, mimo wiedzy Elżusi, zaciążył także na jej przekonaniach dzisiejszych chociaż do tego nigdyby się nie przyznała.

W najlepszym razie podrażnił on jej dumę kobietą, i kazał jej spokojnie wyczekiwać pierwszych zbliżeń do jej serca czyli posagu.

Przy milionie ogarnęła ją również obawa, że mężczyźni tylko dla tego miliona do niej zbliżać się będą. Obawa ta była jeszcze na tem ugruntowaną, że nie miała siebie za piękną.

W obec tej obawy wyrobiła w sobie przekonanie że mężczyzna, któryby się do niej zbliżył, musiałby swoje prawdziwe uczucie czemś udowodnić, musiałby dla niej coś poświęcić, coś jej za milion dać wzamian, coby ten milion zrównażyło.

Floryan mógł jej dać, tylko miłość gorącą. Być może, że taki dar przyjęłaby od niego, a może tego daru od niego niecierpliwie wyczekiwała, ale zapominała o tem, że ludzie szlachetni mają pewną granicę godności własnej, po za którą wyjść im nie wolno.

Floryan mniemał, że zbliżając się po ostatniej rozmowie do Elzusi, wychodziłby po za tę granicę. Wolał raczej wszystko poświęcić, niżeli ściągnąć na siebie pozór, że stara się tylko — o milion.

Elzusia zaś ze swojej strony o żadnem zbliżeniu nie myślała, wychodząc z tego nieprawdziwego ogólnika, że prawdziwa miłość ze strony mężczyzny wszystko zrobić może i powinna bez oglądania się na sąd ludzi i własnego sumienia.

Gdyby w dawnych warunkach tak wyczekiwać chciała, możeby to wyczekiwanie było dla niej wielkiem cierpieniem, jak każda niepewność. Ale Elzusia żyła teraz w zmienionej atmosferze. Wyczekiwać więc nie było tak trudno.

Żona architekta z Mostowej ulicy, kobieta światowa, młoda i bawiąca się, wzięła teraz dom państwa Izajaszów w rzeczywiste, moralne i fizyczne posiadanie. Antagonistki kilkunastoletnie stały się teraz nierozzerwanemi przyjaciółkami. Pani Izajaszowa dziwiła się nawet, jakim sposobem dotąd bez pani Sydonii exystować mogła.

Pani Sydonia urządziła dom państwa Izajaszów na sposób odpowiedni milionowi. Mąż jej architekt

według własnego planu, nad którym trzy dni pracował, kazał przebić podłogę drugiego piętra i połączyć je z pierwszym kretami schodami. Meble sprowadzono z Wrocławia a zwierciadła z Czech. Mąż pani Sydonii chciał nawet gazowe rury i wodociągi wprowadzić do salonów, ale pan Izajasz gwałtownie oparł się temu, i dzięki rozwiniętej energii na swoim postawił. Skończyło się tylko na przyklepieniu do starej kamieniczki nowego balkoniku z markizą.

Pani Sydonia poszła jeszcze w swojej przyjaźni dalej. Stworzywszy za pomocą męża salony pyszne państwu Izajaszom, odstąpiła im część najznakomitszych gości swoich, których dotąd w czwartek przy Mostowej ulicy gościnnie podejmowała, czyli, jak się sama wyraziła, przeniósła swe czwartki z Mostowej na Podwał.

Przy takich nowacyach, wśród nieustannego rozgardyaszu niezbyt uciążliwe było wyczekiwanie Elzusi.

Każdy dzień przynosił jej tyle nowości. Urządzenie domu, nowe meble, świeże pokoje, pokoiiki, buduary, gotownia, portyery, wszystko to zajmowało jej wiele czasu i było dla niej niejaką rozrywką.

Patrząc na to wszystko, co ją tam otaczało, zdawało się jej, że się zmieniała, że na tle tego zbytku wygląda jakoś inaczej, a nawet jest ładniejszą!...

W buduarze fantastycznie ubranym roiła sobie Bóg wie jakie rzeczy...

I tak dzień za dniem schodził, jakoś dosyć znośnie.

Przy tem wszystkim jednak w głębi jej duszy

była zawsze myśl, że Floryan się zbliży, że się ukorzy i wyrządzoną jej krzywdę wynagrodzi.

To zbliżenie czy raczej ukorzenie się Floryana uważała dotąd za jedyne szczęście swoje. Wszystko inne było tylko chwilową rozrywką, jak to sobie tłumaczyła.

A rozrywek tych było wiele, bardzo wiele.

Wiadomość o milionie rozeszła się po całym mieście. Pani Sydonia była dzisiaj bardzo w modzie, jako kobieta rozporządzająca tym milionem.

Cisnęli się więc do niej dawni i nowi znajomi, aby ich wprowadziła do szczęśliwego domu na Podwale.

Pani Sydonia nie była przywykła do odmowy. Za małą grzeczność, za pobieżne pochwalenie jej oczu błękitnych lub małej rączki, za dłuższy uścisk tej rączki wprowadzała wszystkich rycerzy wielkomiejskich, którzy na arenie Podwala o śmierć lub milion walczyć chcieli bojem wstępnym.

Pierwszopiętrowe salony p. Izajasza napełniły się pstrokatą zbieraniną publiki wielkomiejskiej. Pan Izajasz stracił głowę i pływał po spokojnych niegdyś swoich pokojach, jak między bałwanami Scyli i Charybdy i nigdy na wierzch wypłynąć nie mógł, aby choć jeden toast świeżego powietrza zaczerpnąć.....

Elzusia wystrojona własną ręką pani Sydonii, w sukni jedwabnej mocno wyciętej, z długim ogonem przesuwająca po tych bogatych salonach jak słońce ruchome, w koło którego krążyły liczne planety.

Pierwszym planetą był tak zwany „literat“, którego sława zamykała się, jak się sam wyraził, niefortunnym zbiegiem politycznych konstelacji, w obrębie rogatek warszawskich. Aby jednak mieszkań-

cy tego ciasnego terytorium o jego nazwisku nie zapomnieli, pisywał co kilka dni do dzienników codziennych krótkie artykułiki o rzeczach gdzieindziej już dawno zapomnianych, ale dla niego jeszcze nowych, i roboty swoje podpisywał całym nazwiskiem, do tego dołączał jeszcze dwa imiona chrzestne i jedno z bierzmowania.

Literat ten brukowy był dla towarzystwa straszną plagą. Wtrącił się wszędzie, a gdzie widział dla siebie jakąś nieprzychylność, tam groził „wydrukowaniem“, każdy więc tolerował go, a byli nawet i tacy, którzy częścią zawsze, a częścią z udaną przyjemnością za rękę go ściskali i o jego przyjaźń się dobijali.

Literat miał włosy długie, w sztucznych puklach spadające na ramiona. Miał pod temi włosami mnóstwo arcydzieł: dramata, powieści, epepeje i historią filozofii, ale nie miał nigdy czasu usiąść i napisać.

Mimo to jednak miał się literat za pewną znakomitość. Od ludzi żądał pewnego uznania, żądał aby mu się kłaniano i na herbatki zapraszano.

Na wieczorkach prywatnych starał się znowu objąć jakąś komendę, aby w tłumie nie zginąć. Przy tańcach komenderował, przy grach towarzyskich wybierał przysłowia i dwuznaczniki, przy koncertach przewracał kartki. A jeśli jaka dama z gorąca zasłała, on pierwszy wołał o wodę i ocet.

Tym sposobem był zawsze na piewszym planie.

Otóż w domu na Podwale zajął tymczasem pierwsze miejsce i starał się na niem dłużej utrzymać.

Z Elzusią wszedł odrazu w tak blizki stosunek, jakby Bóg wie od kiedy ją znał i z nią rozmawiał.

Elżusia sama nie wiedziała, jakim sposobem to się stało. Z każdym krokiem, za każdym obejrzeniem spotkała się z przyszłym geniuszem. Czy to potrzeba jej było wody, czy krzesła, literat już był na usługach i z taką poufałością oddawał jej te usługi, jakby już między nimi coś było. Pan Dyzma-Symeon robił to nawet z pewną ostentacją.

Zdaje się, że „literat“ poczuł także woń miliona i za nim ciągnął. Był on tego przekonania, że Elżusia powinna się w nim zakochać, jeżeli jest dziewczyną prawą i szlachetną. Dlaczego zaś tego nie myślał o córce swego najbliższego sąsiada urzędniczka z izby obrachunkowej, która była ładna i dla niego nieobojętna, o tem trudno coś stanowczego powiedzieć...

Zaraz za nim zajął miejsce poeta liryczny.

Był to młodzieniec o wielkich nadziejach, który dla tej przyczyny szkół nie skończył i zupełnie się rozpróżniaczył. Nic nie robił, nic nie czytał, tylko kontemplacją na górze u Lursa się zabawiał.

Otóż z tej górki wyniósł bajroński pogląd na świat, narzekał na ludzi że pokarleli, na kobiety że serca swoje za lada cacko sprzedają.

Gardził przy tem wszelką zasługą, gardził pracą i złotem, które nazwał cuchnącą atmosferą bankierów w jednym ze swoich wierszy.

Mimo tej woni nieprzyjemnej zbliżył się do istoty wyobrażającej milion, i magnetyzował ją swoim wzrokiem, o którym miał wyobrażenie że żadna kobieta mu się nie oprze.

Elżusia stała się nawet powodem, nie wiedząc sama o tem, jednej elegii, trzech sonetów i pięciu satyr na nikczemność serc kobiecych, które poezyi nie pojmują i w kale złota się tarzają.

Poeta był jednak pewny że Elżusia z czasem zrozumie go, że się w nim zakocha, a on potem wykradnie ją wśród nocy ciemnej i wietrznej. Podejrzywał bowiem pana Izajasza, że inaczej nie dałby mu swojej milionerki.

Dlaczego zaś mniemany poeta Ludwisi nie chciał wykradać, chociaż ta mu się lepiej od Elżusi podobala? Ludwisia nie miała miliona.

Do uzupełnienia owej „trójki“ na salonach pani Izajaszowej należał jeszcze długowłosego artysta.

Geniusz ten muzykalny krytykował po kawiarniach i cukierniach wszystkich artystów i kompozytorów i bez ogródki zapowiedział, że on dopiero okaże co jest i czem być powinna muzyka.

Tymczasem chodził po herbatkach, zjadał obiadki, i tak sobie cały boży dzień tem zapełniał, że rzeczywiście nie miał czasu pokazać swego olbrzymiego talentu.

On jednak sam wierzył w siebie że jest wielkim i znakomitym i żądał od wszystkich, aby go za takiego miano.

Na wieść o milionie pośpieszył do pani Sydonii a ta wprowadziła go na Podwał.

Elżusi obiecywał że skomponuje sonatę, która Beethovena zakasuje, że ma już kilka mazurków, przy których Chopin w kąć pójdzie—i że właśnie siedzi teraz nad wielką historyczną operą.

Mówiąc o tem zwracał oczy do Elżusi i różnemi sposobami dawał jej do poznania, że ją kochać może, kochać uczuciem artysty, jeśli tylko ona na to przystanie i swój milionik do jego kieszeni poniesie.

— Artysta, mówił długowłose, artysta proszę pani, to coś innego od człowieka. Wszystkie objawy

powszedniego życia łamią się u niego przez przyzmaty i tworzą tęczowe, siedmiobarwne wstęgi... W takich kolorach widzi kobietę, widzi świat cały!.. Ach, pani, czyż to nie rozkosz być tak widzianą....

Dlaczego zaś długowłosa nie mówił tego do Rózi, córki dobrego swego przyjaciela, a urzędnika średniego z Towarzystwa Kredytowego?..

Po za tą „trójką“, która z salonów pani Sydonii przeniosła się na Podwał, były dalsze szeregi najrozmaitszych próżniaków wielkomiastowych, którzy piękne, szlachetne zawody wyzyskują zazwyczaj w celach wielkich i egoistycznych.

Do domu mieszczkańskiego pchało się teraz to wszystko, co gdzieindziej przystępu nie miało.

Dla pana Izajasza było takie życie zupełną nowością. On nie wiedział, że tak samo można drzwi zamknąć przed człowiekiem ubranym we frak i białe rękawiczki, jak się zamyka przed znanym oszustem i złodziejem.

Pani Izajaszowa nie była w swoim żywiole. Wielu ludzi — znaczyło u niej wiele zaszczytu. Im większa była na wieczorku konsumpcya ciast, wina, herbaty i indyków, tem bardziej była zadowolona, tem więcej nos podnosiła do góry.

— Wczoraj zjedzono piętnaście indyków, za pięćdziesiąt rubli ciast i cukrów, a o winie to już Izasz wie tylko, mówiła do swojej sąsiadki, która miała kolonią za Warszawą.

Zdawało się jej, że konsumpcya taka rozszerza sławę jej domu na całe miasto. I nie omyliła się. Sława rzeczywiście rozeszła się — między głodnych. I z wszystkich stron rzucano się na salon Pani Izaszowej, jakby na bezpłatną restauracyą.

Elzusia, która zamiast Bronisławy, miała teraz

przyjaciółkę panią Sydonią, wdrożyła się powoli w to życie gwarne i tłumne. Pochlebiało jej, że tyle ludzi w domu rodziców bywa. Wiedziała, że to ona jest właściwym magnesem dla tych gości. Niektórzy nawet wyraźnie jej to oświadczyli. Elzusia przyjmowała z uśmiechem te oświadczenia, bo nierozstała się jeszcze ze swoją myślą, która przy tak gwarne życiu wsiąkała w coraz głębszą kryjówkę serca.

Bawiło ją to jednak, że tylu ludzi koło niej się uwija. Była pewną, że pomiędzy nimi pojawi się także i Floryan, a wtedy będzie miała sposobność podrożyć się, jak na to zasłużył, upokarzając go. Serce jej wprawdzie nie zgadzało się z takim planem, ale milion i powszechna adoracya podszeptwały jej to do ucha.

Najszcześliwszą w domu była pani Izajaszowa. Twarz jej promieniła się ustawicznie. Ubierała się w same jedwabie, dostała nawet pańskich grymasów i czasem skarżyła się na neuralgią.

Ludzie, którzy ją teraz otaczali, śmieli się w duchu z prostej kobiety, która chciała udawać damę wielkiego świata, a nie miała do tego potrzebnych talentów. Mimo to jednak kadhono jej zawsze obficie, i za jej tłuste indyki podtrzymywano ją w wierze, że dom jej nadaje ton w stolicy. „Literat“ postarał się zawsze o to, że każde okazalsze przyjęcie gości ogłoszone było drukiem w Kuryerze, co pani Izaszowej sprawiało rozkoszne spazmy.

„Znany z gościnności dom państwa I*** przy ulicy Podwał podejmował wczoraj znaczne grono przyjaciół i znajomych z staropolską serdecznością, a zabawa przedłużyła się aż do rana. Córka państwa

I. panna El... odgrała sonatę jako skończona artystka.“

Taki mniej więcej był cały artykuł w Kuryerze, a „literat“ za to, zjadał każdym razem smaczny objadek po wydrukowaniu.

Czasami okazywały się w części inseratowej trzynastozłotkowe wiersze wychwalające wdzięki panny El****. Poeta był tak skromny, że się nie podpisywał, ale na Podwalu wiedziano dobrze jego nazwisko i karmiono go.

Słowem przy nagle zmienionych warunkach życia było się czem oszołomieć, osobiwie przy prostocie i ubóstwie umysłowych zasobów.

Pan Izajasz jednak nie tylko, że tem się nie oszołomił, ale nawet widocznie nachylił się, jakby wielki ciężar dźwigał na barkach.

Od czasu jak powrócił z Gdańska, widocznie się postarzał. Twarz jego dostała zmarszczków jakich pierwszej nie miała. Często był zamyślony i jakby nieprzytomny. Na zapytania dawał inne odpowiedzi.

Czyż ten milion ciążył tak na prostym człowieku?

Kilka razy próbował pan Izajasz przywrócić sobie dawną ciszę domową, z którą mu niegdyś było tak dobrze! Pani Izajaszowa jednak w sojuszu z panią Sydonią tak energicznie temu się oparły, że biedny dorobkiewicz musiał uleźć, aby jeszcze większej burzy w domu nie wywołać.

— Pocóż mamy w zaciszu kryć się z majątkiem naszym, wołała pani Izajaszowa, podparłszy się pod boki, albośmy to skradli gdzie pieniądze, czy kogo zrabowali?...

Pan Izajasz wtedy prędko uciekał z pokoju, a nawet razu jednego bez czapki uciekł do sąsiada To-

masza, aby tylko podobnych słów od żony nie sły-
szyć.

Jedynym jego sprzymierzeńcem w takim razie był p. naczelnik Bonawentura.

Pan Bonawentura bywał teraz bardzo często w domu pana Izajasza, ale każdym razem był niepospolicie alterowany to przez „literata“, to przez artystę lub poetę.

Wprawdzie basetłę i czekan przeniósł na Podwal i tym antidotem starał się pobić swoich przeciwników, ale nie zawsze to mu się udawało.

Literat komponował na starego kawalera różne dowcipy, a artysta rysował jego karykatury.

Z tego powodu namawiał pan Bonawentura pana Izajasza, aby odpędził tę niepotrzebną hałastrę ze swego domu i otoczył się ludźmi przyzwoitymi i poważnymi. Za takie rady ścisnął i całował pan Izajasz poczciwego naczelnika, ale wyznawał z płaczem, że do tak upragnionej reformy brak mu sił i energii.

Niemogąc tu nic wskórać, zwrócił pan Bonawentura cały swój afekt do pani Izajaszowej, chcąc tym sposobem zaskarbić sobie jej łaskę dla swoich celów dotąd ukrytych.

Afekt jego został jednak nieszczęśliwie wytłumaczony. Pani Sydonia, kobieta światowa i doświadczona, szepnęła pani Izajaszowej do ucha, że pan Bonawentura w niej się kocha! Śmiała się zrazu z tego pani Izajaszowa, lecz po niejakiem czasie zauważono, że dla naczelnika była nadzwyczaj wylana i z indyka najlepsze kąski mu na talerz kładła.

Pan Bonawentura cieszył się, że tym razem niebo mu sprzyja.

XXV.

Tak stały rzeczy, gdy pewnego południa wszedł do pokoju pani Izajaszowej galonowany lokaj z herbami na guzikach i nadzwyczaj grzecznie zapytał, czy pani marszałkowa hrabina Oliwia może złożyć swoje uszanowanie.

Pani Izajaszowa przestraszyła się takiego splendoru. Zarzuciła na ramiona aksamitny kaftan, krzyknęła na Elżusie, aby czempredzej na pomoc przyszła, a męża wypchnęła do czwartego pokoju pod zagrożeniem rozwodu, jeśli się hrabinie w takim kubraku pokaże.

Za chwilę weszła kuzynka Lula do salonu.

Pani marszałkowa była cała czarno ubrana, z czarnym krzyżem na piersiach. Rzuciwszy okiem na zbyt kowne urządzenie salonu, uśmiechnęła się i rzekła:

— Przychodzę do pani imieniem ubogich. Ale nie sądź pani, aby tylko ten jedyny był powód dzisiejszej mojej wizyty. Słyszałam tyle dobrego i szlachetnego o pani, tak piękne pochwały czytałam w Kuryerze o córce i jej grze artystowskiej, że obok charakteru oficjalnego jako opiekunka ubogich, poczytuję to sobie za prawdziwą przyjemność zrobienia tak miłej i zaszczytnej znajomości.

Tu podała pani Izajaszowej drobną rączkę i z tą samą rączką zwróciła się potem do Elżusi.

— A to zapewne tyle razy wychwalana panna Elżbieta... Jakże mi miło uścisnąć tę prawdziwie artystowską rączkę...

Pani Izajaszowej zabrakło tchu z wielkiej radości, a Elżusi uderzyła krew do głowy całą siłą.

— Stosownie do oficjalnego charakteru pani hrabiny, rzekła po chwili pani Izajaszowa, wyjmując z biurka pugilares — przyjmij to pani na rzecz ubogich.

I złożyła do ręki pani marszałkowej banknot stu-rublowy, licząc na efekt.

Marszałkowa podziękowała uśmiechem ubogich.

— A teraz jako prywatna kobieta, mówiła dalej, pozwolisz pani, że ją poproszę o bliższą znajomość, która tem się rozpocznie, że jutro zechcesz pani uprzyjemnić wraz z córką wieczorek familijny u mnie.

Pani Izajaszowej znowu zabrakło tchu z wielkiej radości, a Elżusia znowu poczerwieniła na twarzy.

I było to wcale naturalnie.

Ludzie ze sfery pani Izajaszowej uganiają się za takimi stosunkami towarzyskimi, jakie właśnie zaproponowała im pani marszałkowa. Gotowi są nawet przy największym skapstwie swoim, wiele, bardzo wiele dla takich stosunków poświęcić.

Elżusia zaś miała w tem inne wyrachowanie.

Tak zwany „wielki świat“, dotąd gazą przed nią zasłoniiony, miał dla niej, jak zwykle dla każdej kobiety, urok niemały. Uwijające się za tą na pół przezroczystą gazą postacie, wyglądały z oddalenia tak jakoś uroczo, jak żywe obrazy przy oświetleniu bengalskiem. Chciała więc je zbliżka obaczyć i ich się dotknąć. Nie miała jednak dla nich tej bezwzględnej adoracyi, która matkę wolnego oddechu nagle pozbawiła.

Powstała w jej duszy myśl ukryta, że zbliżenie się jej do wielkiego świata byłoby już samo przez się upokorzeniem Floryana.

On na nią tak zgóry patrzył!... Jakażby rozkosz

była dla niej, gdyby ją ujrzał na parkietach wielkiego świata, pomiędzy ludźmi, którzy w hierarchii towarzyskiej tak wysoko stoją...

Taka myśl przebiegła jej przez głowę. Serce uderzyło żywiej, bo na dnie tego serca była jeszcze zawsze ta mile brzmiąca struna szlachetna, której tak żal pozbywać się...

Ta struna drżała dotąd cichą, rozkoszną melodyą, poczętą w owej chwili, gdy nie było jeszcze miliona, tylko skromny pokój, sąsiad Floryan i przyjaciółka Bronisława...

Propozycja hrabiny Oliwii ucieszyła ją. Cały dzień i całą noc marzyła o tem. Marzyła o sukni, jaką weźmie na ten wieczór wielko-światowy, marzyła o ludziach, których tam zastanie, marzyła nawet o tem, o czem z nimi rozmawiać będzie.

Nazajutrz cały dzień czynną była na Podwalu pani Sydonia. Ubierała matkę i córkę i dawała im potrzebne rady.

Wieczorem zajechała najęta w tym celu wspaniała angielska karetka, a pani Izajaszowa siadła do pudła, szeroka jak samo pudło i czerwona jak burak ze wzruszenia, za co Elżusia mocno na nią się gniewała.

— Cóż ja temu poradzę, jeżeli mi serce z radości pęka, mówiła do córki — hej, któżby to kiedy o tem był pomyślał. Moja nieboszczka matka (tu rozplakała się pani Izajaszowa) moja nieboszczka matka ożyłaby, gdyby mogła wiedzieć, gdzie ja dzisiaj będę!...

Wieczorek u pani marszałkowej był wyłącznie familijny. Tem więcej zaszczytu spadało na panią Izajaszową.

Była przyjaciółka i daleka krewna marszałkowej

stara księżna, był pan Wit-Ostroga wyświeżony i odmłodzony, który, jak twierdził, przyjechał do Warszawy, aby Lulowi do żeniaczki dopomódz. Był Lulu wyelegantowany i świecący i o. Elias, który częstym gościem był wdowy marszałkowej.

Pani Izajaszowa była oszołomiona. Tytuły: księżna, hrabina, hrabia, padały jak grad gęściej niżeli słowa. Było to coś tak rozkosznie drażniącego, że napadała ją ochota zamknąć oczy i zdrzemnąć, aby to wszystko w krainę snów przenieść.

Czy marszałkowa tę ochotę spostrzegła, czy też dłużej z panią Izajaszową rozmawiać nie była w stanie, trudno odgadnąć. Powstała z fotelu i poprosiła Elżusię, aby co zagrała.

— Graj, graj, Elżusiu! wołała uszczęśliwiona matka, zagraj dla pań i hrabiny, bo hrabina sobie przecież na to zasłużyła.

Elżusia usiadła dosyć śmiało do fortepianu i zagrała Liszta. Lulu pośpieszył, aby kartki przewracać.

— Pani grasz cudownie! szepnął z za krzesła i pochylił się nad jej biustem — szczęśliwy, trzykroć szczęśliwy, kto tę drobną rączkę posiedzie.

Był to komplement zbyt prosty wymierzony, bo Lulowi zdawało się, że z córką mieszczanina długich ceregieli robić nie trzeba. Elżusia nie chciała słyszyć tego.

— Gra pani jest tak zachwycająca, mówił dalej z za pleców, że można przy niej stracić równowagę zmysłów. Dobrze pani robisz, że słów moich nie słuchasz.

— Wątpię, abyś pan mógł być niegrzecznym, rzekła Elżusia z takim wyrazem, z którego nie można było wnosić, czy się gniewa, czy ją to bawi.

— Są sytuacje, w których granicę zwykłej, towarzyskiej grzeczności znikają, a rozpoczyna się namiętność...

— Namiętność?... Zdaje mi się że to słowo tutaj jest kwiatkiem egzotycznym.

— Tak zazwyczaj mówią. Nie wierz jednak pani temu. W naszym świecie jest wiele form i formułek. Zawinięci w te formułki wydajemy się patrzącym zdala jak mumie kilkowieczne. Tymczasem w tych ciasnych formach tem żywiej bije serce, tem większe wrą namiętności...

Elżusia umilkła, bo dalej takiej rozmowy prowadzić nie chciała. Spojrzała tylko z ukosa na Lulę, który wyświeżony i wyfrakowany wyglądał w tej chwili na wcale przystojnego mężczyznę.

Skorzystał z tej pauzy pan Wit-Ostroga.

Pan Wit-Ostroga, dzięki zdolnemu fryzyerowi, ujął sobie dzisiaj z jakie dziesięć lat. Sztynny, biały kołnierz sterczał mu pod same ucho, chustka opadała z węzła w sposób markizowski, a wyzółkła twarz skąpca przybrała teraz wyraz skończonego dyplomaty.

— Dajże aśko ucałować te drobne, ładne paluszki, rzekł do Elżusi z manierami kawalera z czasów Ludwika XIV, te paluszki, któremi budzisz w strunach żelaznych tak porywające tony, że nawet ja... ja... już człowiek nie młody... człowiek można powiedzieć... stary...

— Stary ale jary! podsunęła mu w prostocie mieszczańskiej pani Izajaszowa.

— *Voilà le mot...* Stary ale jary, odrzekł uradowany pan Wit-Ostroga, jak to pięknie asyńdzka dobrodziejka powiedziała! Niema to jak przysłowia

ludowe. Tam wszystko prawda, choć ta prawda idzie tam na obie strony...

I zaśmiał się serdecznie pan Wit z swego konceptu. Śmiała się marszałkowa wraz z księżną i śmiało się także o. Elias, stosownie do reguły: płakać z płaczącymi, a śmiać się z śmiejącymi.

Wszyscy się śmieli i byli radzi sobie, bo pani marszałkowa naprzód to ułożyła, aby dzisiaj dla pani Izajaszowej mieć twarz uśmiechniętą i po francuzku nie mówić.

Pan Wit iskrzącym wzrokiem wpatrywał się w Elżusie, która nie tylko tak jak Małanka żoną być może, ale do tego przyniesie mężowi w posagu — milion!

Zdaje się, że ta myśl cieszyła go, bo wyżeniony przez Lulę milion, zostawiał mu przynajmniej miły pokój na czas niejaki. W tym celu, jak utrzymywał, przybył do miasta i równie w tym celu dom znaczny w stolicy otworzył.

Czy takie tylko były zamiary pana Wita, czy też miał co innego przy tem w zanadru, o tem nikt nie wiedział.

Wieczorek wielko-światowy skończył się, a pani Izajaszowa wróciła na Podwał uszczęśliwiona i spłakana z radości, że takie szczęście ją spotkało, które dla Elżusi jeżeli nie księcia, to niezawodnie hrabiego na męża przyniesie.

Gdy jednak pana Izajasza ujrzała w szarym kubraku, który ze świecą na wschody wyszedł, tak się tem zmartwiła, że spazmów dostała, utrzymując, że nie tylko jej świat zawiązał, ale nawet i rodzone-mu dziecku drogę do szczęścia zagraadza.

Elżusia na lament matki nie zważała, tylko z za-

dowoleniem uśmiechała się do siebie, widząc w dzisiejszym wieczorze znaczny postęp w swoich stosunkach towarzyskich, przyczem zawsze jej stawał Flo-ryan przed oczyma.

XXVI.

Po tym wieczorku zaraz rozpoczął się karnawał. Pani Izajaszowa była teraz w niemałym kłopotcie. Chcąc panią marszałkową z wszystkimi krewnymi u siebie przyjąć, musiała pierwej salon swój znacznie spuryfikować. Tyle naleciało tam śmiecia i szlifruków warszawskich, że sama pani Izajaszowa poznała że to śmiecie i że dłużej tak pozostać nie może.

Twarda jednak była przeprawa z tem śmieciem. Byli to ludzie zazwyczaj bezczelni, bez wstydu i charakteru. Najprzód nie chcieli ustąpić, potem rzucili chmarę obelg na dom, który ich karmił i tworzyli na jego karb najrozmaitsze anegdotki.

Ale jakoś w końcu to się udało. Zmieniono czwartki na wtorki, a potem zaniechano zupełnie takich zebrań tygodniowych i zamieniono je na prozzone.

Po wieczorku danym dla wysokich gości w domu pani Izajaszowej, nastąpił wieczór tańczący u pani marszałkowej, na którym młodzież wyższego świata, lub chcąca za takową uchodzić, w komplecie była zgromadzona. Młodzież ta wyczekiwała tylko sposobności, aby rzucić się na dom milionowego mieszczanina.

Zaraz na drugi dzień po tym baliku zarzucono pana Izajasza i żonę kartami wizytowymi, z rozmaitemi herbami i koronami.

Od tej chwili zapełnił się dom pana Izajasza zupełnie nową populacją, która tylko po francuzku mówiła, zaczawszy od wyrostków o piętnastu włosach pod nosem, aż do podtatusiałych epuzerów z szkiełkiem w oku a reumatyzmem w nogach.

Sąsiedzi tłumnie pouciekali z domu pana Izajasza. I pan Izajasz byłby także sam za góry gdzie uciekł, gdyby tylko nie obowiązki względem dziecka, od których faktycznie odsądziła go pani Izajaszowa.

Dom na Podwalu stał się teraz istną kawiarnią i restauracją. Bawiono się, rozmawiano po francuzku, chociaż wszyscy wiedzieli o tem, że ani pan Izajasz, ani żona jego tego języka nie umieli.

Pani marszałkowa miała tyle taktu, że panią Izajaszową ratowała zawsze w niebezpieczeństwie francuzkiej konwersacyi, zaco pani Izajaszowa była jej niewymownie wdzięczną.

O pana Izajasza nikt nie dbał. Byli nawet tacy, którzy go mieli za sługę. Niektórzy nawet wcale go nie znali i nie widzieli tego potrzeby, aby mu się przedstawić.

Pierwsza kategoria gości przynajmniej ścisłała go za rękę — druga ignorowała go.

Zdaje się, że pan Izajasz mocno wziął to sobie do serca. Pobladł, posmutniał i wtedy tylko był weselszy, gdy wymknąwszy się chyłkiem z domu, dostał się do sąsiada Tomasza z ulicy Mostowej i z nim kilka słów zamienił.

Elżusia była teraz w dziwnem usposobieniu. Wykształcenie jej usposobiało ją więcej od matki do towarzystwa wielko-światowego. Mówiła dobrze po francuzku, grała pięknie i miała naukę niepospolitą. Stan jednak umysłowy rodziców zaczął

ją w tem towarzystwie niepokoić. Spozrzęła to pani marszałkowa i przysłała jej w pomoc Urzędziła tak rzeczy, że często matkowała jej na rautach i wieczorkach, brała ją do swojej łoży do teatru i wyłącznie nią się opiekowała.

Pani Izajaszowa, którą towarzystwo podobne często w kłopot nie mały wprawiało, zgodziła się na to zastępstwo i kontentowała się relacją, jaką sąsiadkom swoim dawała o powodzeniu córki na salo-
nach wielko-światowych.

Z drugiej strony pan Wit-Ostroga tak się zajął planem ożenienia Lulu z Elżusią, iż często wyprawiał w swoim domu kosztowne zabawy i wieczorki, woził Elżusię z matką swoim pysznym angielskim ekwipażem po alei belwederskiej i tysiączne świadczył im grzeczności.

Jakim sposobem taki wydatek mógł ze swoim skąpstwem połączyć, trudno było odgadnąć. Niektórzy mniemali, że czynił to dla uratowania sukcesyi po sobie, która w części mogła się dostać Lulowi. Był to dziwaczny sposób ratunku, ale pan Wit był dziwakiem.

W nowem tem towarzystwie miała Elżusia wielkie powodzenie. Tak się jej przynajmniej zdawało. Hrabina Oliwia wiązała ją coraz więcej do tego obcego jej świata. Zaznajamiała ją i zaprzyjaźniała i wszędzie z sobą prowadziła.

Najbliższym jej w tem towarzystwie był zawsze Lulu. Czy to potrzeba było jej w czem dopomódz, czy szal podać, czy nuty przewracać, czy wreszcie w jakiejś dowcipnej rozmowie po jej stronie stanąć — wszystko to robił Lulu z nadzwyczajną zręcznością, z całą swobodą człowieka obytego z taką służbą.

Elżusia spostrzegła tę nadzwyczajną uwagę, jaką jej Lulu poświęcał. Powzięła nawet pewny planik, którego jednak nie mogła do końca przeprowadzić.

Przypomniała sobie, że tenże sam pan Lulu uchybił jej kiedyś u wód krajowych. Ułożyła sobie mały plan zemsty. Chciała go trochę przyciągnąć do siebie, a potem dać mu nauczkę.

Pierwszą połowę tego planu wykonała sumiennie. Na drugą nie stało jej odwagi.

Patrząc się na jego niestanną służbę, będąc zarzuconą grzecznościami ze strony jego najbliższej krewnej pani Oliwii i mając tyle dla niej teraz wdzięczności, zapomniała o epilogu swego planu i darowała Lulowi jego dawniejsze błędy.

Na tej drodze mógł już dla niej Lulu być bardzo niebezpiecznym. Był to człowiek przystojny, zręczny i przemyślny. Grał pięknie na fortepianie, a nawet śpiewał wcale przyjemnym barytonem. Przedewszystkiem otaczała go aureola wielko-światowa, która na nią teraz tak ważny wpływ wywierała. Elżusia była teraz tą atmosferą oszodłomiona i sama już zapominała czasem, w jakim celu w tę atmosferę weszła.

Wprawdzie miała jeszcze czasem przytomność umysłu. Wtedy myślała na seryo o Floryanie i rachowała dotychczasowe zdobycze. Zdawało się, że zdobyła wiele, że tem samem był już Floryan upokorzony i powinien teraz do niej zbliżyć się.

Floryan zaś przeciwnie tłumaczył sobie to zbagacenie. Był prawie pewny, że kobieta po takich zdobyczach nie cofnie się do skromnej swojej dawniejszej sfery, a gdyby się nawet cofnęła, nie

widział w tem żadnego warunku stałego jej na przyszłość szczęścia.

Trzymał się więc na uboczu, chociaż nie gardził żadną sposobnością zbliżenia się do Elzusi, gdyby to zbliżenie nie odbyło się z ujmą jego godności osobistej.

Takiej zaś sposobności dotąd nie było.

Elzusia zaś mnożyła coraz więcej swoje zdobycze i sama nie spostrzegła, że to, co z razu było u niej środkiem tylko, stawało się powoli — celem.

Powoli gasło w jej sercu wspomnienie o Floryanie a natomiast wchodziła weń żądza życia wielkoświatowego z wszystkimi temi rozkoszami, jakie jej okazywano.

W tym to czasie zaszło zdarzenie, które całym domem na Podwału silnie wstrząsnęło.

Pod koniec karnawału był już pan Izajasz wszystkimi temi uciechami tak serdecznie znudzony, że zaczął na seryo przemyśliwać o ucieczce z domu.

Dawni znajomi nie poznawali go, tak się zmienił. Wyłysiał cały, skulił się i pozołkł. Jakaś czarna melancholia prześladowała go nieustannie. Szukał samotności, podczas gdy rój gości bawił się w jego pokojach. Uciekał wtedy często aż na strych i tam oddawał się jakimś nadto smutnym kontemplacyom. Zarządca domów, Janek, obawiał się na seryo, aby pan Izajasz kiedy nie powiesił się.

Otóż z wielką radością tegoż Janka nie powiesił się pan Izajasz, choć do tego na strychu miał wszelką sposobność — tylko zszedł na dół i w łóżko się położył. Był to znak oczywisty, że nie chciał zostać samobójcą, ale chciał umrzeć przykładnie, jak umiera każdy prawy chrześcjanin.

Zaraz w pierwszych dniach zażądał księdza i oleju świętego. Żona jednak sprzeciwiła się temu i zamiast księdza, zawołała trzech lekarzy, którzy przy chorym długi czas po łacinie rozmawiali, a przytem mocno głowami kiwali.

W kilka dni po tej łacińskiej rozmowie przywołano księdza, ale pan Izajasz popadł już był w tak dziwny stan odrętwienia, że kapłan Boży tylko w przypuszczeniu pocziwego jego żywota i prawdopodobnego miłosierdzia Boga, dał mu na drogę wieczności olej święty.

Od tego czasu miał pan Izajasz kilka razy jaśniejsze chwile przytomności, ale w tych chwilach zaledwie zdołał wyrzec kilka słów do obecnych.

Między obecnymi był także pan Bonawentura. Nie odstępował on łóżka chorego, bo był przekonany że w panu Izajaszu traci swego sprzymierzeńca.

Pan Bonawentura miał wszystkie papiery wartościowe pana Izajasza u siebie. Obawiano się, że pan Izajasz, również jak i św. p. Sebastyan z obawy taks rządowych, nie zrobił żadnego testamentu.

Zdaje się, że ta myśl ciążyła także na bezprzytomnym chorym. Ile razy pan Bonawentura o pieniądzach wspomniał, chory podnosił zaciśniętą pięść do góry, jakby się chciał od czegoś bronić.

Gesta te powtarzały się często i wszyscy obecni widzieli to.

Raz nawet otworzył pan Izajasz oczy, sięgnął po rękę pana Bonawentury i konwulsyjnie wyrzekł:

— Pieniądze... pieniądze... nie moje pieniądze!...

Potem wskazała na biurko, w którym znaleziono dokładny spis tych pieniędzy.

Ostatnich słów pana Izajasza nie wzięto na seryo.

Często bowiem zwykł się być z tem odzywać, że pieniądze nie są jego. A mówił tak do tych, którzy od niego pożyczyć chcieli. Brano więc to za rodzaj obawy, aby go nie zmuszano do pożyczki.

Na wieść o zbliżającej się śmierci pana Izajasza zbiegli się wszyscy dawni jego sąsiedzi. Jednych przypuszczono, drugim wstępu wzbroniono.

Pani Oliwia, jako dama opieki i miłosierdzia, była także i cutęła zapadającą w mdłości panią Izajaszową.

Lulu w salonie pocieszał płaczącą Elżusię, trzymając ją za drobną rączkę, która była w tej chwili bezwładną i pozwoliła z sobą robić, co się mu podobowało.

Lulu ścisnął więc tę rączkę, aby przez to nie doć zemdleć bolejącej srogo Elżusi.

Przyszła także senatorowa i Floryan, ale pani Izajaszowa kazała przeprosić.

Elżusia słyszała to, ale nic na to nie odpowiedziała.

XXVII.

Pan Izajasz miał pogrzeb wspaniały. W angielskiej karecie pana Wita, wiozła pani marszałkowa panią Izajaszową i Elżusię, które z wielkiej boleści piechotę za trumną iść nie mogły. Zato w niejakiem oddaleniu szedł Lulu z panem Witem i miał głowę ku ziemi spuszczoną, jakby go gniółł smutek nieutulony.

Pan Bonawentura z rybakim Tomaszem szli zaraz za trumną i widać było na ich twarzach żalszczery za nieboszczykiem.

Przesunęli się także na chwilę z ukrytymi papie-

rosikami dawni znajomi a dzisiaj abszytowani: literat, artysta i poeta dworu niegdyś podwalskiego. Śmieli się i coś dowcipnego sobie do ucha mówili.

Nazajutrz kuryer wydrukował długi nekrolog, sławiąc gościnność św. p. Izajasza, a utyskując między wierszami na tych, co pozostali i innemi od nieboszczyka poszli drogami.

Po pogrzebie wzięła pani Oliwia Elżusię do siebie, aby się trochę rozerwała. Pani Sydonia zaś zakwaterowała się na Podwal i aby pani Izajaszowa czarnej melancholii nie dostała, obiecywała jej, że za mąż wyjdzie.

I po dwóch tygodniach wszystko jakoś ułożyło się po tej katastrofie do dawnego trybu życia z wyjątkiem, że głośnych zebrań nie było i nie tańczono.

Zato były ciche, familijne wieczorki u pani Oliwii a pani Izajaszowa z płaczem opowiadała sąsiadkom swoim, że tylko jedną ma przyjaciółkę na świecie a nią jest hrabina Oliwia.

Elżusia po śmierci ojca spoważniała trochę. Lulu także wyglądał poważniej, tylko pan Wit zatrzymał dawny swój humor i z galanterią kawalera z czasów Ludwika XIV bawił Elżusię różnemi sposobami.

Pan Bonawentura zrazu był srodze strapiiony. Po kilku dniach jednak przekonał się, że właściwie jego sytuacja teraz poprawiła się.

Za życia pana Izajasza stały jego interesa jak najgorzej. Miał do walczenia z literatem, poetą i artystą, a była to walka gigantyczna. Potrzeba było ich młodość, dowcip i odwagę czemś innem zastąpić. Grał więc z Elżusią na basetli i czekanie. Opowiadał jej o operacjach bankowych i o sposobach podwojenia wkrótce miliona.

Zaledwo jako tako zdołał zbliżyć się do Elżusi,

już nowy zastęp wystąpił przeciw niemu. Pan Bonawentura poodnawiał w tym celu dawne swoje stosunki i na salonach wielkiego świata był znowu obok Elżusi.

Tu mu szło bardzo trudno. Lulu i inna młodzież wielkoświatowa miała nad nim widoczną przewagę. Wziął się i tutaj do basetli i czekanu, ale już nie sprawiał takiego efektu jak na Podwału.

Były chwile, w których w tak fatalny wpadał humor, że stary Józef po dwudziestoletniej służbie już kilka razy zabierał się do ucieczki.

Teraz jednak zabłysła mu nowa nadzieja.

Miał u siebie cały ruchomy majątek po św. p. Izajaszu; pani Izajaszowa widząc w nim przyjaciela domu, powierzyła mu nadal te pieniądze i z tego powodu zawiązał się między nim a domem na Podwału bardzo ścisły, familijny prawie stosunek.

Pan Bonawentura był w tym domu alfa i omega. We wszystkim odnoszono się do pana Bonawentury. On był faktycznym opiekunem pozostałych. Elżusia nawet raz powiedziała mu ze łzami, że ją bardzo zmartwił, nie przyszedłszy wczoraj, bo po śmierci ojca widzi w nim jedynego z pozostałych dawnych przyjaciół domu.

Pan Bonawentura postanowił więc skorzystać z dzisiejszego swego stanowiska. Zdawało mu się że rozsądną rozmową pozyska najprzód przyzwolenie matki, a potem za jej pomocą uda mu się odwrócić Elżusię od niebezpiecznych błyskotek wielkiego świata, które jej nieszczęściem zagrażały i powoli jej serce przychylić ku sobie.

Do tego ważnego kroku przygotował się należycie. Do północy grał w domu na czekanie, a od północy do drugiej wybierał najrzewniejsze tony z basetli.

Wstał rano, ubrał się z całą systematycznością starego kawalera i wyszedł na ulicę Smolną, aby świeżego powietrza zaczerpnąć.

Po śniadaniu wypalił cygaro jakie miał najlepsze i koło południa udał się na Podwał.

Elżusia nie była jeszcze ubrana, przyjęła go sama pani Izajaszowa.

Pani Izajaszowa wyglądała dzisiaj lepiej aniżeli kiedyindziej. Zmartwienia ostatnich tygodni odjęły jej nieco tuszy. Twarz jej przybladła, a kolor żalobny podwyższył białosć jej lic.

W ostatnich dniach dużo nagadała jej pani Sydonia o powtórnem zamażpójściu, jeżeli nie z miłości to z potrzeby jakiej takiej męskiej opieki nad domem i majątkiem. Wspomniała także kilka razy o panu Bonawenturze, który jakby stworzony był na jej męża.

Pani Izajaszowa brała za żart te słowa przyjaciółki, twierdziła że kobieta po czterdziestu latach za mąż iść nie powinna, mimo to rzucona myśl jak uporczywy komar brzęczała jej czasem koło ucha, chociaż ją od siebie odpędzała.

Pan Bonawentura natrafił właśnie na taką chwilę brzęczenia. Jego niezwykła wizyta, strój uroczysty i twarz niecodzienna poruszyły dziwne myśli w głowie pani Izajaszowej.

— Jakże się masz, panie naczelniku, powitała go zaraz przed progiem, jakże wdzięczną jestem, że nie zapominasz o domu, w którym pozostała biedna sierota!... Ach, Elżusia to istna sierota, dodała po chwili, wyprowadzając córkę na pierwszy plan.

Pan Bonawentura wrzucił sobie wiele dobrego z tego dobrego początku.

— Sierota, odpowiedział z namaszczeniem, sierota

ta miała zawsze dla mnie urok nieodparty! Sierota to niby anioł a niby człowiek, którego sam Bóg prowadzi za rękę, aby po cierniach ziemskiej pielgrzymki nie rozranił sobie nóg swoich!

Pani Izajaszowa westchnęła. Po chwili rzekła:

— Już to grzesznie znowu tylko na Boga się spuszczać! Opatrzność Boska prowadzi nas wszystkich, ale dla sieroty dobrze jest, jeśli i człowiek jakiegoś dobrego weźmie ją za rękę! Widziałny towarzysz życia...

— Otóż kubek w kubek moje zdanie, pani dobrodziejko, przerwał uradowany pan Bonawentura, podgarniając czuprynę — właśnie to samo powiedzieć chciałem! Dla sieroty potrzebny jest towarzysz rozsądny, wytrawny, nie młodzik ani wiercipięta, słowem człowiek z doświadczeniem i należytą nauką. Wtedy bowiem tylko jest małżeństwo szczęśliwe, jeśli w domu jest ktoś, który na pewnych, niewzruszonych zasadach stoi!

— To prawda co pan naczelnik mówisz. Gdyby Elżusia miała...

— Gdyby panna Elżbieta miała tyle rozsądku, o czym bynajmniej nie wątpię, i zamiast chwycić jakiegoś łapigrosza, zwróciła złote serduszek swoje tam, gdzie pewien rozum, statek i powaga...

— Elżusia ma rozumek swój własny! Ona wie dobrze, że te wszystkie czułości młodych fircyków...

— Tak, tak, młodych fircyków... to do niczego!

— Bywał tu ich legion cały i cóż z tąd?

— Prawda, prawda, legiony były i nie z tąd!

— Ja, z mojej strony, byłabym zawsze za człowiekiem poważnym, chociażby niebardzo młodym...

— Ach, pani dobrodziejka moje myśli odgaduj!

— Chociażby był nie bardzo młody, ale zato żeby pewne stanowisko miał między ludźmi.

— Tak, tak, stanowisko! powtórzył pan Bonawentura i podniósł się z dumą na palcach do góry.

— Bo widzisz pan, niczem majątek, jeśli niema stanowiska odpowiedniego!

— Prawda, stanowisko, dobrodziejko!

— Wtedy przecież jest i powaga w domu i opieka.

— Powaga i opieka!

— A nawet w interesach pieniężnych, których lekceważyć nie można.

— O broń Boże! Tych interesów nigdy lekceważyć nie można!

— Ale z drugiej strony myślę sobie, czy mógłby się znaleźć taki człowiek, któryby dla nas mógł się poświęcić?

— O mógłby się znaleźć... ja sam nawet znam takiego.

— Czy pan żartujesz, panie naczelniku... czy prawdę mówisz?

— Prawdę mówię, prawdę, szczerą prawdę, jak mi Bóg miły!

Pani Izajaszowa spuściła oczy i milczała chwilę.

— Już to prawda, czasami dziwne przychodzą mi myśli do głowy, rzekła po chwili zamyślenia.

— Czy o takim człowieku?..

— O takim człowieku?... może tak, a może i nie!

— A ja pani dobrodziejce powiadam, że myśli o takim człowieku są wyborne, bardzo dobre... a nawet i panna Elżbieta, gdy się dobrze nad tem zastanowi...

— Ach Elżusia kocha mnie i co jabym zrobić mogła, uważałyby za dobre i stosowne.

— W słowach pani widzę tyle nadziei, że mógłbym się nawet odważyć...

— Nie trzeba tego teraz domawiać.

— Czy sądzi pani, że czas...

— Ja nie nie sądzę, panie naczelniku! Pan chwytasz mnie za słowa... a ja... ja jestem, sama nie wiem dlaczego, tak roztargniona...

— Jest to zawsze dowód nieobojętny nazwany.

— Pan jesteś dzisiaj nie miłosierny!

— Pozwoli pani, że będę jeszcze niemilosierniejszy. Ja nie mogę dłużej ukrywać w sobie...

— Zlituj się pan, coby na to ludzie powiedzieli?

— Czyżby to było tak dziwne?

— Przecież jeszcze cały rok żałoby...

— To nic... możnaby coś zacząć...

— Nie, to być w żaden sposób nie może!.. a przynajmniej nie tak prędko, nie tak zaraz.

— Pani dobrodziejko! Zlituj się, ja w tej niepewności dłużej nie wytrzymam.

— Panie Bonawenturo!

Dwa te słowa były wymówione z taką słodyczą, takie spojrzenie im towarzyszyło, że pan Bonawentura chwycił za rękę panią Izajaszową i z należytym łoskotem ukląkł przed nią, wybuchając głośnym płaczem.

Pani Izajaszowa uczuła w tej chwili że jest słabą kobietą, że na lzy cudze patrzeć obojętnie nie może.

Położyła jedną rękę na peruce pana Bonawentury, a drugą wzięła go za ramię, aby go podnieść.

— Przysięgam ci, matko, zawołał w tej chwili patetycznie pan Bonawentura, że Elżusi do śmierci kochać nie przestanę!..

Ręka pani Izajaszowej zsunęła się po peruce kłęzącego kawalera, zbakierowawszy ją nieco.

— Elżusie kochać do śmierci, powtórzyła głosem, w którym odbiło się najwyższe zdziwienie.

— Tak jest, szlochął pan Bonawentura, będę mężem dla niej, jakiego drugiego w całym świecie nie będzie! Będę ją na rękach nosił.

Pani Izajaszowa odetchnęła ciężko, jakby powietrza jej brakowało. Oczy jej zaiskrzyły się blaskiem złowrogim.

— Mężem Elżusi?... Czyś pan oszalał? Co pan bredzisz!

— Tak jest, mężem Elżusi! Od pół roku prawie noszę się z moją miłością dla niej! Bywały chwile, w których bywałem bliskim rozpacz! Osobliwie ten poeta i artysta wleli mi dobrze sadła za skórę. Potem szubrawiec ten, tak zwany Lulu....

— Co pan przeciesz. Gadasz pan od rzeczy!.. Czyś pan zwaryował!... Z Elżusią się żenić!

— Wszak sama pani ośmieliłaś mnie dobrocią swoją! Myślałem....

Pani Izajaszowa zacisnęła zęby. Zbladła nagle i postarzała się.

— Pan zapominasz, krzyknęła przeraźliwie, że mógłbyś być dziadkiem Elżusi.

Pan Bonawentura zerwał się na nogi. Nazwać go starym przy młodej jego wyobraźni, było shańbić go.

— Zkądże pani tak nagle ton zmienia do mnie? zapytał z butną postawą.

— Mówię jak do człowieka, który nagle ogłupiał.

— Jak możesz pani w ten sposób mnie hańbić!

— Pan shańbiłeś swemi zamysłami dom mój!

— Czy dlatego że się zniżyłem do was?

— Radzę panu wyjść jak najprędzej!

— Może żywiłaś pani nadzieję, że się z panią ożenie? cha cha cha!

— Precz ztąd, stary grzybie!

Słowa te wymówione były z takim akcentem, że pan Bonawentura uznał za stosowne wyjść jak najprędzej na schody.

Za nim wyszło jeszcze kilkanaście dosadnych słów zranionej w najdrażliwszych uczuciach swoich kobiety.

Gdy pana Bonawentury już w pokojach nie było, wybuchnęła pani Izajaszowa głośnym płaczem, rzuciwszy się na fotel.

Zkąd ten płacz pochodzi i jakie były jego powody—trudno dociec. Ludzie płaczą czasami z wielkiego gniewu, z wielkiej złości lub z niezmiernej niedoli. Co znaczyły łzy pani Izajaszowej? Dlaczego właśnie w tej chwili dopiero płynęły?

Być może że w tej chwili przedstawił jej się przed oczy smutny obraz osierocenia? Myślała że jednego człowieka zostawił jej nieodżałowany nieboszczyk, któremu we wszystkim zaufać będzie mogła, a tym czasem człowiek ten żywił w swoim sercu tak niegodziwe zamiary względem jej córki!...

Być może że takie myśli, a może i inne rozrzewniły ją w tej chwili i wycisnęły z serca obfite łez zdroje....

Elżusia słyszała głośniejsze słowa matki i czemprędzej z drugiego piętra zeszła na pierwsze.

— Cóż to się stało, mateczko? zapytała zadziwiona, widząc matkę płacząc.

— Wyobraź sobie, kłaka matka, ten stary grzyb, ten Bonawentura śmiał... śmiał oświadczyć się....

— O rękę maceczki?

— Gdzie tam! O twoją rękę!

Elżusi uderzyła krew do głowy. Poczzerwieniała i pobladła nagle.

— Zwaryował! wyszeptwała zcicha, bo łzy cisnęły się jej do oczu.

Uważała to przy skrytych marzeniach dzisiejszych i powodzeniach swoich za coś bardzo boleśnego.

Było to dzisiaj dla niej coś tak rażącego, że miała nawet wielką ochotę zemdleć.

W tej chwili otworzyły się drzwi i w sutej liberyi lokaj z prześlicznym bukietem wszedł do pokoju.

— Pan hrabia Ludwik Ostroga, ozwał się, zasyła dzień dobry i prosi o przyjęcie tego bukietu pannę Elżbietę.

Pani Izajaszowa przestała nagle płakać, Elżusia z twarzą uśmiechniętą wzięła bukiet.

— Proszę hrabiemu podziękować, rzekła do służącego i powiedzieć, że sama ten bukiet odebrałam.

Gdy służący odszedł, rzuciła się na fotel i rzekła do matki:

— Maceczko, stało się wielkie nieszczęście! Pan Bonawentura rzucił na mnie cień złowieszczy. Gdy się dowiedzą że o moją rękę się starał, stracę bardzo wiele. Może się drugi i trzeci podobny jemu oświadczyć, a wtedy przepadłam!

— Cóż ci to tak bardzo szkodzić może?

— Bardzo wiele. Gdyby mi się jaki hrabia lub książę zaraz oświadczył i ja im odkosza dała, byłoby to nawet dla mnie zaszczytem. Ale taki pan Bonawentura, taki Walenty lub Michałek, to przez

oświadczenie swoje nadają pannie pewien kurs żony.

— Prawda!

— Dlatego obawiam się ponowienia czegoś podobnego.

— Uchowaj Boże! Senatorowej wczoraj nie przyjęłam.

Elżusia zamilkła. Patrzyła zamyślona przed siebie.

— Gdyby p. Floryan, ozwała się po chwili, gdyby pan Floryan dowiedział się o oświadczeniu pana Bonawentury, toby tryumfował.

Tu westchnęła i oczy w ziemię spuściła.

Pod oknami zaturkotała karetka.

Do pokoju weszła pani Oliwia.

— Odwiedzić sieroty obowiązkiem chrześcijańskim, rzekła po pierwszych słowach przywitania.

— To prawda, że sierotami jesteśmy! odpowiedziała p. Izajaszowa z płaczem.

— Bóg zasmucił, Bóg pocieszy!

— Byle tylko ludzie byli lepszymi.

— Są dobrzy ludzie, ale trzeba ich umieć znaleźć, a znalazłszy ocenić.

— Dzisiaj z każdym dniem świat gorszy.

— Bolesć sieroctwa mówi z pani.

— Prawda! być sierotą to okropnie!

— Dom bez opieki męzkiej ostać się nie może.

— To prawda... ale cóż robić!

— Jeżeli pani pozwoli, to w obec córki zaproponuję pani taką opiekę i ręczę, że będzie dobra.

— Hrabina jesteś zawsze łaskawą dla nas.

— Zdaje mi się, że pannie Elżbiecie nie tajne jest uczucie szlachetne mego kuzyna Ludwika...

Elżbieta stanęła w płomieniach.

— Znam go dobrze, sama wychowałam go, człowiek zacny, pracowity, a przedewszystkiem tak Elżusią zajęty, że w tej chwili obawiam się o jego życie.

— O jego życie! krzyknęła Elżusia.

Ma właśnie odbyć pojedynkę z jakimś poetą, który dawniej u państwa bywał.

— Pojedynkę! mateczko, pojedynkę! wołała Elżusia, łamiąc ręce i padając w fotel.

W tej chwili otworzyły się drzwi z łoskotem. Wszedł pan Wit z małą szkatułką pod pachą.

— Już po pojedynku! zawołał. Obaj żywi i cali. Czy mogę?.....

Tu zwrócił się pan Wit do pani Oliwii.

— Nie mam jeszcze odpowiedzi, odpowiedziała marszałkowa.

— Więc zdrów i żyje! krzyknęła Elżusia i rzuciła się na szyję panu Witowi.

— Otóż jest odpowiedź! odpowiedział tenże i otworzył szkatułkę, w której błyszczały pyszne brylanty.

I jakby już żadnej odpowiedzi nie oczekiwał, zaczął z pudełka wyjmować brylanty.

Był to przeszliczny, bajecznej ceny garnitur. Naszyjnik wysadzony był dużymi brylantami z bardzo piękną, artystycznie wykonaną złotą robotą. Brozka wyobrażała amerykańskiego motyla z świecącymi skrzydłami, w których tkwiło mnóstwo brylantów. Stosowne były kolczyki i bransolety.

Pani Izajaszowa przypomniawszy sobie pana Bonawenturę i oblała się rumieńcem wstydu.

Elżusia zarumieniła się także i zbladła. Zdaje się, że również sobie coś przypomniawszy.

— Niech to pani przyjmie od kuzyna, ozwał się pan Wit, który od dzisiaj jest kuzynem pani....

— Co pan mówi? przestraszona zapytała Elżusia.

— Przecież słyszałaś, Elżusiu, rzekła matka, pani hrabina imieniem hrabiego Ludwika oświadcza się i prosi o twoją rękę....

— O moją rękę? powtórzyła Elżusia i nagle ścisnęło ją coś za gardło.

— O rękę i serce! dodała pani Oliwia.

— O... serce... wykrztusiła Elżusia.

W tej chwili zagrały brylanty najjaśniejszym blaskiem, a blask ich oświecił najcudowniejszy cały szereg słonecznych obrazów, który w tej chwili przemknął przed jej oczami....

Pani Izajaszowa o mało co nie umarła z radości...

Za kilka chwil całował pan Wit drobną rączkę Elżusi, która dawszy Lulowi milion, oswobodzi go od natręctwa marnotrawnego kuzynka!..

XXVIII.

Noc, która po tym dniu nasąpiła, była dla wielu osób nocą pamiętną.

Elżusia tej nocy prawie oczu nie zmróżyła. Po gratulacjach najbliższych sąsiadek, między którymi szczególnie odznaczała się pani Sydonia, która oświadczenie hrabiego Ludwika porównywała z wielkim losem wygranej, wprawiły ją w rodzaj obłąkania tak, że w końcu sama nie wiedziała co się z nią dzieje.

Widząc około siebie tyle twarzy gorączką jakąś rozognionych, uwierzyła, że to w istocie jest los

wielki. Matka całowała ją co chwila i płakała z radości.

Po północy, gdy do swego pokoiku na spoczynek przyszła, uczuła potrzebę płaczu i płakała długo i rzewnie.

Co jej płacz oznaczał, nie wiedziała sama. Czy to była radość, czy żal za czemś, co się już traci nieodzwrotnie, czy wreszcie obawa przed zakrytą przyszłością, której zasłona już niebawem podnieść się miała — trudno wiedzieć.

Rano wstała błada i smutna. Koło południa jednak ożywił ją ruch nadzwyczajny przed domem.

Co tylko z panią Oliwią w niejakiem pokrewieństwie, lub w dobrej zażyłości było, wszystko to pośpieszyło z wielką ostentacją na Podwał.

Cała ulica zatarasowana była powozami i karetami. Lokaje w herbowej liberyi schodzili i wychodzili po ciemnych schodach, zapowiadając wizyty gratulacyjne.

Salon pani Izajaszowej zapełniony był samymi dostojnymi gośćmi. Lulu z twarzą rozpromienioną, z olbrzymim bukietem w ręku z kwiatów egzotycznych, był jeden z pierwszych, który ucałował drobną rączkę Elżusi i mamy dobrodziejki, nie zważając na to, że ta druga rączka nie była ani mała, ani ładna.

Zdaje się, że wszystkie te wizyty były wyrachowane na efekt sceniczny. I rzeczywiście sprawiły efekt należyty na prostych ludziach nietylko wewnątrz domu, ale nawet i w sąsiedztwie. Tu i owdzie wychylały się z łufcików głowy sąsiadów i sąsiadek mimo chłodnego powietrza i widać było po oczach patrzących, że patrzyli z pewną zazdrością tak wielkiego szczęścia.

Lulu tę noc po oświadczeniu swoim spędził także w sposób dosyć pamiętny.

U swojej przyjaciółki „Karolci“ dał dla kilku najbliższych swoich znajomych wesołą herbatkę, na którą także dla urozmaicenia przyszyły dwie kapłanki choreografii niższego rzędu.

„Karolcia“, która obok wdzięków swoich była dziewczyną praktyczną, cieszyła się niewymownie z powodzenia Lulu, który z posagu przyszłej żony obiecał jej nając okazalsze pomieszkacie i większe dla niej ponosić wydatki. Radość jej po kilku kieliszkach szampana doszła do pewnego stopnia ekstazy, wśród której opierając piękną główkę swoją o ramię Lulu, zapytała go z figlarnym uśmiechem:

— Czy bardzo brzydka ta twoja narzeczona?...

Lulu mrugnął niezrozumiale oczyma i uśmiechnął się.

Ale czem ta noc była dla pana Bonawentury?

Była ona dla niego pamiętną, bardzo pamiętną.

Pan Bonawentura miał teraz minę najszcześniejszego człowieka pod słońcem.

Zaraz po niefortunnej oświadczeniu wybiegł za miasto i biegł jak tur dziki roztrzucając ludzi na wszystkie strony.

Po kilku godzinach takiego biegu, przeszedłszy dwa razy przestrzeń między rogatkami Wolską i Czerniakowską, wpadł do cukierni Loursa i zjadł pięć porcyj lodów, wypiwszy do tego dziesięć szklanek wody.

Śród tego chłodzenia się zasłyszał rozmowę przy drugim stole, że Lulu oświadczył się i jest przyjęty.

To zelektryzowało znowu jego nogi, wziął kape-

lusz i w drugim kierunku od Mokotowa do Pragi przeszedł znowu dwa razy całą Warszawę.

Już był dobry wieczór gdy zdążył do domu.

Józef, jak zwykle, chciał mu kilka anegdotek wśród smutnej katastrofy wymyślonych opowiedzieć, ale pan Bonawentura ofuknął go i wszedł do swego pokoju. Józef zasmucił się.

Za chwilę zaczął grać pan Bonawentura na bassetli.

Grał najprzód Elegią Ernsta, a potem marsz żałobny Chopina i zakończył arją z Trubadura.

Grał nader smutno i rzewnie.

Ludzie przechodzący stawali przed oknami i słuchali długo, długo czystej, rzewnej gry, gry prawdziwie mistrzowskiej.

Był to śpiew łabędzi pana Bonawentury....

Po niej jakim czasie ustała bassetla, a cicho i płacząco ozwały się tony czekana.

Na czekanie grał Szuberta: „pieśń bez słów“ i Szumana: „Płakał we śnie“...

Długo i długo rozchodziły się wśród turkotu powozów płaczliwe tony czekanu... Wreszcie zaczęła głuchnąć ulica, jedna latarnia po drugiej gasła jak gwiazda spadająca a strop nieba stawał się coraz jaśniejszym w miarę, jak światła ziemskie przygasły....

A na tym stroju ciemnoszafirowym wypływały białe chmurki, takich samych kształtów jak ongi gdy Idalia konała....

Pan Bonawentura przestał grać i wyjrzał na niebo.

Jedna z tych chmur białych, tak samo jak ongi, oderwała się od swojej gromadki i chciała chyżej od niej po szafirowym polu przebiec... Pochwycił ją samą wiatr północny, powydzierał z jej głowy srebr-

ne włosy, podarł całą na sztuki i na kraniec widnokręgu rzucił...

Pan Bonawentura patrzył na ten obłoczek i wzdychał.

Cóż on widział w nim dzisiaj?...

Potem odszedł od okna i zawołał na Józefa.

— Rozpal ogień w kominku! rzekł do niego głosem ochryplym.

Józef przestraszył się teraz swego pana.

Miał on głowę łysą, świecąca. Peruka czarna leżała na podłodze zgnieciona i potargana. Pasemka siwych włosów sterczyły po za oczyma jak kolce u jeża. Twarz pana Bonawentury była starą, mocno starą.

— Na co ognia na kominku? zapytał zadziwiony Józef, już dawno po północy, a w pokoju przecież nie zimno.

— Rozpal ogień, wołał pan Bonawentura, wyprawimy pogrzeb, wspaniały pogrzeb!

— Pogrzeb?... A gdzie nieboszczyk?

— Czy go nie widzisz?... Człowiek żyje dotąd póki marzyć, póki do jakiego celu dążyć może. Potem umiera, choćby był czerwony jak rydz, gruby jak beczka.

— Zlituj się pan, co panu do głowy przychodził... Idalia już dawno umarła.

— Dzisiaj umarła druga Idalia!... Widzisz te rozpierzchną chmurkę na niebie?... To druga Idalia!

Józef przeżegnał się.

— Rozpal ogień... rozpal... bo mi zimno.

— Jeżeli pan tylko chcesz się rozgrzać...

Józef przyniósł drzewa i zaczął rozpalać. Pan Bonawentura patrzył rozgorączkowanym okiem na pryskające iskry i błękitny płomyk siarki...

Za kilka chwil czerwony płomień buchał w kominku.

— A teraz będzie pogrzeb! zawołał pan Bonawentura.

— Pogrzeb?

— Pogrzeb tego wszystkiego, co było we mnie lepszego, czem żyłem lat kilkadziesiąt, czem do serc ludzkich przemawiałem i czem skarżyłem się z cierpień moich, nikomu niewiadomych!...

— Zlituj się pan, co pan mówił!

— Wszystko to pogrzebie teraz i kamień kamieniem przywalę, aby nie zmartwychwstało!... Jestem już starym, bardzo starym człowiekiem!...

— Przecież ja o dwadzieścia lat starszy!...

— Co ty tam pleciesz! Tyś jeszcze młody jak dziecko! Gdy masz smaczne kluski lub kapustę z wieprzowiną, to jesteś szczęśliwy!... Dla mnie już nie niema!... Ja już jestem stary!... Precz z tem, co nam młodość przypomina i co nas czyni młodym! Pogrzebać, pogrzebać trzeba to na zawsze!...

— Cóż pan chcesz pogrzebać?

— Podaj... basetkę!

— Basetkę?

— Rozłup ją pierwej na kilka kawałków!

Józef już kilka razy nosił się z tą myślą. Usłyszawszy to, stary nie namyślał się długo, chwycił za łabędzią szyję instrumentu, któremu wszystkie dziwactwa swego pana przypisywał, i jednym zamachem rozłamał na kilka części.

Dzieło włoskiego mistrza jętko w rękach prostego człowieka, który jak wandal cieszył się, że może zniszczyć to, na co wysiliła się sztuka i umiejętność.

— A teraz rzuć w ogień! wyksztusił pan Bonawentura, bo skrzyp drzewa ścisnął go za gardło.

Szczałki basetli leżały w ogniu....

Pan Bonawentura siadł na krześle i przypatrywał się dzikim wzrokiem płomieniom.

Najpierw zajęły się struny.

Struny pierwsze, struny, po których tyle tajemnych marzeń przesunęło się, skórczyły się i zwinęły w kłębek, jakby od bólu wielkiego....

— Patrz! zawołał pan Bonawentura, to rezultat naszego całego życia. Ból i kara, śmierć!....

Struny zwęgliły i rozsypały się.

— Prochem jesteś i w proch się obrócisz! szepnął z cicha.

Teraz zajęło się drzewo.

— Ciało już rozpadło się, teraz próchnieją kości! mówił znowu do siebie ponurym głosem.

Suche stuletnie drzewo spopiełało.

— Teraz podaj.... czekan! zawołał ponuro pan Bonawentura.

— Czekan?.... Czekana szkoda! odpowiedział Józef.

— Podaj czekan!

Józef podał nieszczęśliwą ofiarę.

Pan Bonawentura wziął go do ręki i jak kawał prostego drzewa rzucił do kominka.

Twardy heban nie tak prędko się zajął. Wprzód zaczął pękać i łupać się.

— Patrz, mówił pan Bonawentura, jak to drzewo pęka i łupie się. To tak jak człowiek twardego charakteru....

Wreszcie bez widocznego płomienia spalił się i spopiełał ukochany niegdyś instrument, który przyspieszył bicie tylu młodych serc!..

Gdy ostatnia iskra uleciała do góry, wstał pan Bonawentura i rzewnym głosem zaśpiewał: *Requiem aeternam!*..

Był to ostatni śpiew jego.

Potem rzucił się w całym ubraniu na łóżko i jak człowiek nagle pozbawiony zmysłów, zaczął głośno chrapać.

Józef stał nad nim czas niejaki. Widząc jednak że normalnie oddycha i że to są prawdziwe symptomy głębokiego, zagasiał świecę i wyszedł.

Pan Bonawentura tymczasem, jak Napoleon po wielkiej bitwie, spał dwanaście godzin, to jest do czwartej po południu!

O tej godzinie przebudził się, ale przebudził jakoś zupełnie innym człowiekiem. Perukę kopnął, aż pod komodę poleciała, ubrał się w stary, wyszarżały surdut, którego już oddawna nie nosił. Wyglądał starym, bardzo starym.

— Wszystko co było szlachetnym i harmonijnym, już za mną! rzekł do siebie chodząc po pokoju. Jestem starym skrzypiącym kołem. Radbym zaskrzypieć przeraźliwie i przestraszyć kogoś!.. Chciałbym się zemścić!

Tu zaczął znowu chodzić po pokoju.

— Tak, zemścić się! Mówią, że zemsta jest słodka. Dla mnie niema już żadnej słodyczy chyba ta!..

Znowu przeszedł się kilka razy.

— Ależ nie. Zemsta, to zawsze rzecz brzydka!.. Nie, ja nie chcę zemsty... ja chcę ratować drugich... tak, tak, ratować drugich. To prawdziwe słowo i szlachetne!..

Po niejakej pauzie mówił znowu do siebie:

— Przecież nawet mam obowiązki do tego!.. A zresztą przecież nieboszczyk Izajasz, wyraźnie...

wyraźnie z tem się odezwał, że to... to... nie jego pieniądzel...

Tu zatrzymał się pan Bonawentura a twarz jego rozpromieniła się.

— Tak, to... nie jego pieniądzel... Powiedział wyraźnie, a reszta, reszta się znalazł... Przy śmierci nawet słyszeli świadkowie... a pan Izajasz od czasu tych pieniędzy był smutny i przybity... tak, to nie jego pieniądzel..

Zaśmiał się przy tych słowach i poszedł do biurka, w którym leżały pieniądze św. p. Izajasz.

— Pieniądze te po wczorajszej katastrofie zapewne trzeba będzie komuś innemu oddać...

Pan Bonawentura zaczął je przeglądać.

Były między niemi listy św. p. Sebastjana i różne notatki pana Izajasz.

Bonawentura czytał i przewracał, przewracał i czytał.

Wreszcie wziął do ręki jakiś świstek.... czytał go długo.... długo....

Potem wstał i rzekł do Józefa:

— Józefie! Chcę się trochę rozerwać i przewietrzyć. Wyjadę na kilka dni. Jeśli kto do mnie przyjdzie, to powiedz żem chory.

Jeszcze tego samego dnia pod wieczór wziął pan Bonawentura torbę podróżną do ręki i wyszedł z domu.

Gdzie pojechał—nawet Józef nie wiedział.

XXIX.

Ta sama noc, w której Elżusia śmiała się i płakała, w której pan Bonawentura spalił basetkę i czekan, była także i na Mostowej ulicy pamiętną.

Nad wieczorem bowiem nadeszła tam wieść przez Janka, że panna Elżbieta już po słowie z hrabią.

Senatorowa spojrzała z niepokojem na Floryana, który co tylko wstał od pracy.

— Słyszałeś, Floryanie? rzekła matka.

— To co Anusia mówiła? zapytał tenże.

— Że panna Elżbieta za mąż idzie.

— Słyszałem.

— A wiesz za kogo?

— Wiem!... Dawno o tem wiedziałem.

— Jakto wiedziałeś?

— Wnosiłem, że na tem skończyć się musi.

— Ja przynajmniej tego nie przypuszczałam.

Floryan zamyślił się.

— Stało się! rzekła dalej, przynajmniej mamy fakt dokonany, a to czasem lepsze, niż krucha nadzieja, która nam pokoju nie daje!

— Zkądże matka wie o tem, że miałem pewną nadzieję?

— Jestem od tego matka.

Twarz Floryana zarumieniła się.

— Nic na tem nie stracięś.

— Co nie było mojem, tego tracić nie mogę.

— Masz słuszość! Elżusia nie mogła nigdy być twoją. Warunki jej życia zupełnie inne od naszych! Mybyśmy wzajem się nie rozumieli!

Floryan na to nic nie odpowiedział.

— Zważ tylko, mój Floryanie, czy jej miłość mogłaby się wznieść do tej wysokości, żeby tobie nigdy tego uczuć nie dała, że ci wniosła znaczny posag?..

Floryan patrzył w ziemię zamyślony.

— Wierzę, mówiła dalej senatorowa, że bolałeś przytem nieco.

Floryan westchnął.

— Ale ból ten chwilowy nie był bez korzyści dla ciebie. Widziałam jak z nim walczyłeś. Zajęłeś się pracą umysłową, jednym z najskuteczniejszych lekarstw, jakimi taki ból się leczy!... Wypracowałeś dziecko o opiece małoletnich, które zwróciło uwagę nie tylko twoich przełożonych, ale nawet i literackiej przysporzyło ci sławy!... Niech ci będzie nagrodą za utracone marzenia!

W tej chwili zastukał ktoś do drzwi.

Do pokoju weszła Bronisława. Ozwała się zaraz od progu:

— Śpieszyłam się, aby za widna do pani wpaść z nowiną, ale na Podwalu już mnie zmrok schwytał. Upadła jak nieżywa na krzesło i zaczęła pełną piersią oddychać.

Twarz miała zarumienioną, oczy błyszczące. Pulsa jej były gwałtownie, tak że każde uderzenie prawie słyhać było.

— Dlaczegoż, moje dziecko, tak prędko biegasz? rzekła senatorowa i przesunęła rękę po jej czole.

Bronisława pocałowała tę rękę i zostawiła na niej kilka kropli łez.

— Ja muszę przecież prędko chodzić, rzekła, powstrzymując łzy, bo jedna godzina lekcji łączy się z drugą.

Floryan patrzył na jej twarz piękną, pełną wyższego wyrazu.

— Ci zresztą ludzie są tak niegodziwi! mówiła dalej Bronisława, zasłaniając twarz rękami.

— Czy ci kto co złego wyrządził?

— Gdym przechodziła przez Podwał, właśnie kilku mężczyzn wyszło z domu państwa Izajaszów. Między nimi z głosu poznałam pana Ludwika, czyli

jak go nazywają Lula, który wychodził... Czy wiesz pani, że już jest po słowie z Elżusią?

— Wiemy!

Bronisława nieznacznie spojrzała na Floryana. Floryan był zamyślony i patrzył w tej chwili w ziemię.

— Otóż przed samym domem narzeczonej swojej, mówiła dalej Bronisława, ozwał się do mnie pan Lulu, nie poznawszy mnie, w sposób tak nieprzyzwoity, że od tego domu aż do pani przez całą drogę płakałam!

— Biednaś pani! ozwał się Floryan.

Bronisława czuła w tej chwili obfity źródł łez pod powieką, ale zacisnęła zęby i nie puściła ich.

— Sierocie zawsze źle na świecie, mówiła senatorowa, ale z tego com słyszała, to ręczę ci że jesteś szczęśliwszą w tej chwili od Elżusi. To ma być człowiek pozbawiony wszelkich szlachetniejszych uczuć, który już przeżył wszystkie fale życia i zatrzymał tylko jedną namiętność—dla pieniędzy, jako środka wszelkiej wyuzdanej rozpusty.

— Elżusia może go na dobrą drogę naprowadzić, ozwał się Floryan.

— Czyni ci to zaszczyt że w ten sposób mówisz. Widać, że nie umiesz odplacać się światu złością. Ale ja, jako kobieta, powiem ci że Elżusia nie tylko go nie naprawi, ale nawet pomoże mu do coraz większego upadku. Niema bowiem nic gorszego w świecie, jak fałszywy apetyt. Elżusi w głowie się przewróciło. Urodzona pod ciasnym horyzontem, straciła teraz równowagę zmysłów, gdy ją przypadek na większą arenę życia rzucił. Ona teraz będzie go popychać do coraz większego zbytku, bo nie mając starożytnych tradycyji w rodzie, ani szlachetniej-

szego stanowiska pracy, tylko w zbytku będzie widziała blask arystokracji.

— Już to od czasu wejścia w nową sferę życia, ozwała się Bronisława, zmieniła się Elżusia do niepoznania. Zdaje się, że zrazu nie miała tego na celu. Był to może kaprys, lub źle obliczony manewr... Czy pan nie jesteś tego zdania, panie Floryanie?

Floryan spotkał się z wejrzeniem Bronisławy i lekko zarumienił się.

— Być może, odparł, że miała w tem jakie wyrachowanie tylko z początku, ale żywioł, któremu na chwilę się oddała, pochwycił ją i uniósł na pełne morze.

— Zkąd niema powrotu, myślisz pan.

— Tak, zdaje mi się, zkąd nie ma powrotu!

Oczy Bronisławy zaszkliły się. Floryan spojrzął na nią i zamyślił się.

— Są ludzie, ozwał się po chwili, którzy żyją samymi sobą. Jest to prawdziwe szczęście. Wypełniają oni swoje obowiązki, jak daleko, nie wychodząc ze swego stanowiska, dosięgnąć mogą. Dlatego to mówi chińskie przysłowie, że ten jest szczęśliwy, kto najmniej miejsca na świecie zajmuje. Inni zaś ludzie żyją tylko tem, co ich szeroko roztoczyć może. Do tego szerokiego, że tak powiem, roztoczenia się potrzeba pieniędzy. Za pieniądze sprawiają sobie szeroką atmosferę. Budują pałace, mają wielkie domy, liczną służbę, okazałe ekwipaże i drogo opłaconą sławę istnienia swego. Oni sami, jako ludzie, są niczem, żyją tylko tą szeroką atmosferą, oddychają piersiami sług zapłaconych, angielskich i arabskich koni i całym tuzinem magazynów, które im towarów dostarczają.

— Jak to pięknie pan powiedziałeś! zawołała Bronisława z rozjaśnioną twarzą.

— Zdaje mi się, że Elżusia weszła na tę drogę. Zasmakowała w szerokiej atmosferze, która imponuje prostaczkom z sąsiedztwa i czyni z niej przedmiot zazdrości dla gminu ulicznego. Pokazać się, zwrócić oczy na siebie kosztem wyrzuconych pieniędzy, to sprawia jej przyjemność. Z takiej drogi ludzie zazwyczaj nie wracają do ciaśniejszego horyzontu.

— Bardzo słusznie powiedziałeś, rzekła matka, a wyraz zadowolenia przebiegł po jej twarzy.

Długo jeszcze o tem rozmawiano w małych pokojach ulicy Mostowej.

Bronisława zapomniała że już późna godzina, a Floryan tak był dzisiaj ożywiony rozmową, jak go dawno matka nie widziała.

Wreszcie przypomniała sobie Bronisława biedną kalekę, którą ma w domu. Powstała szybko i chciała pożegnać senatorową, prosząc ją o służącą.

— Już tak późno, ozwał się Floryan, sama ze służącą pani iść nie możesz. Jeśli pani pozwoli, to ja...

— Nie śmiem pana trudzić, odpowiedziała i oblała się szkarłatem.

— Idź, Floryanie, idź, ozwała się matka — sama tak daleko iść nie możesz!

Bronisława szybko ucałowała ramię senatorowej i długo trzymała twarz przy jej piersi. Nie chciała pokazać łez, które w tej chwili z oczu jej spływały.

Wnet oboje wyszli na ulicę. Służąca szła tuż za nimi. Floryan podał ramię Bronisławie.

Długi czas szli oboje w milczeniu. Przechodząc

poprzed domem na Podwalu, spojrzeli oboje mimowoli w okna rzęśisto oświetlone.

Floryan uczuł, że ręka Bronisławy jakby konwulsyjnie zadrżała.

— Czy pani lęka się czego? zapytał Floryan.

— Nie, odpowiedziała Bronisława, ale zdawało mi się że pan się potknął. Tu taki bruk niewygodny!.. Przypomniałam sobie, że na tem samym miejscu spotkałam przed trzema godzinami pana Lulę.

I znowu przebiegł ją dreszcz zimny.

— Czy towarzyszka pani jest ciągle chorą?

— Ciągle.

— Sprawia to pani wielką przykrość.

— Przeciwnie, jej choroba i sieroctwo jest dla mnie źródłem mego szczęścia.

— Źródłem szczęścia? Jak to pani rozumie?

— Każdy człowiek goni za szczęściem. Nie wszyscy jednak mogą je uchwycić, stwarzają więc sobie szczęście sztuczne.

— Nie mogą pani pojąć.

— Największym nieszczęściem dla człowieka jest, jeśli go nikt nie kocha.

— To prawda, wielka prawda.

— Jestem sierotą, nie mam ani ojca, ani matki, nikt mnie nie kocha... otóż chciałam sobie zarobić czemś na tę miłość.

— Rozumiem panią. Biedna wdowa otoczona opieką pani i wygodami życia...

— Kocha mnie jak córkę. Otóż jest cały sekret mego sztucznego szczęścia!

— I to szczęście wystarcza pani?

Bronisława potknęła się tutaj i miała dobrą sposobność nic na to pytanie nie odpowiedzieć.

Floryan nie powtórzył drugi raz tego zapytania. W milczeniu doszli do domu i pożegnali się.

XXX.

W dniach następnych o niczem innem nie mówiono w mieście, jak tylko o zamążpójściu Elżusi i o ożenieniu się tak zwanego hrabiego Lulę.

Jedni mówili o tem z prostej ciekawości, inni z widoczną radością. Do tych ostatnich należeli kupcy i rzemieślnicy, którzy od pięciu lat różnych rzeczy Lulowi dostarczali na kredyt. Nietylko winszowali mu tak wielkiego szczęścia, ale oraz ofiarowali mu nanowo zamknięty w ostatnich czasach kredyt do cyfry nieograniczonej, z czego Lulo nie zaniedbał korzystać.

Do tych którzy z tego cieszyli się, należała także i przyjaciółka „Karolcia“, która już za pomocą nowo utworzonego kredytu rozszerzyła o dwa pokoje swoje dawne mieszkanie, przybrawszy do niego za parę tysięcy mebli zagranicznych.

I tak, wiele, bardzo wiele ludzi było szczęśliwych.

Najszczęśliwszą z nich była pani Izajaszowa, a po niej zaraz Elżusia.

Elżusia żyła teraz w ustawicznym oszołomieniu. Pani Oliwia wydawała dla niej codziennie prawie małe, wielkopostne, na pół żałobne uczyty. Na tych ucztach było wiele szumu słów francuzkich i światła ze świec stearynowych. Oczy Elżusi i uszy były w ustawicznym rozgorączkowaniu. Sama nie wiedziała kiedy czuwała, a kiedy śniła. Jak sen, jak złoty, rozkoszny sen, przebiegały chwile jej życia.

Pan Wit sadził się na różne grzeczności, o jakie dawniej go posadzić nie można było. Zdawało się

że nagle odmłodził, że wrócił do swego dawnego hulaszczego życia, że stał się napowrót rozrzutnikiem, jak to dawniej za młodych lat praktykował.

Znajomi tłumaczyli sobie to dziwne postępowanie pana Wita w sposób różny.

Jedni, którzy go bliżej znali, utrzymywali, że pan Wit chce cały swój majątek przetracić, aby sukcesorowie po nim nic nie dostali. Była w tem tajemna rozkosz skąpca, który tym sposobem chciał czyhającym na swoją śmierć spadkobiercom wyprawić niemłą niespodziankę.

Drudzy mniemali że pan Wit chciał dopomódz Lulowi do bogatego ożenienia się, aby tym sposobem uwolnić się od pewności że ten człowiek nie będzie już niepokoić go.

A byli jeszcze i tacy, którzy poprostu w dzisiejszym życiu pana Wita, na ostentacyą wyrachowaniem, widzieli ponętę założoną na jakąś pannę, któraby z nim chciała przystąpić do stopni ołtarza. Jednym słowem, że pan Wit chciał się ożenić, a nie mając młodości, chciał jaką pannę olśnić bogactwem.

W tym też celu, gdzie tylko była sposobność, występował z wielką okazałością, dawał uczyty, baliki i partyjki, które bardzo wiele pieniędzy kosztowały i wiele hałasu między publiką robiły.

Dał więc i dla narzeczonej swego kuzynka kilka wieczorków cichych, które jednak kosztowniejsze były od najgłośniejszych zabaw z muzyką i tańcami.

Postarano się, że Elżusia na tych wieczorkach była królową, mimo żałoby po ojcu, która, jak się wyrażała, tylko z wierzchu do serca się cofnęła.

Piękna Niobe wcale ładnie wyglądała na tych ucztach, w ciasnej sukni z długim ogonem.

Pan Wit zazwyczaj obsypywał ją na każdym ta-

kim wieczorku drogiemi prezentami, a Elżusia zato, w przepełnieniu serca, pozwalała mu pieszczoty stryjowskich, które czasem po za granicę statecznego stryjostwa wychodziły.

Chyżo więc i rozkosznie, pełnemi żaglami dążyła Elżusia do swego szczęścia, którego jej wiele, bardzo wiele równieście zazdrościło i była już blisko, bardzo blisko portu — gdy pan Bonawentura nagle ze swojej tajemniczej wycieczki powrócił.

Pan Bonawentura miał jakiś dziwny uśmiech na twarzy, jak człowiek zupełnie z siebie zadowolony. Nawet odmłodził trochę, chociaż już nie miał na głowie czarnej peruki.

Józef ucieszył się z powrotu swego pana. Chciał z nim wesoło trochę pogawędzić, chciał mu opowiedzieć co przez te kilka tygodni widział z okna i co mu przyjaciel jego Kentara opowiadał, ale pan Bonawentura odprawił go prędko, a zamknąwszy drzwi na klucz, siadł przy biurku, na którym porozkładał różne papiery i notatki, wyjęte z torby podróżnej.

I od czasu do czasu prowadził z sobą taki monolog:

— Nie ulega żadnej wątpliwości, że te pieniądze nie były własnością pana Izajasza. Pan Izajasz za życia sam to często wypowiadał, chociaż niebardzo zrozumiale. Dowodem także tego jest, że pan Izajasz od powrotu z Gdańska zupełnie się zmienił. Był zamknięty, smutny, ponury. Walczył widocznie z czemś wewnątrz swego sumienia. Wpadł w końcu w melancholię, a nawet przy śmierci ostatniem wysileniem sił zawołał: to nie moje pieniądze! Słyszeli świadkowie i mogą przysięgnąć!.. Nawet w liście św. p. Sebastjana stoi wyraźnie: chcę powierzyć tobie

pieniądze i pewną myśl swoją. Czyż to nie dowodzi, że Izajasz miał być tylko wykonawcą pewnej myśli swego krewnego, który dalej pisze: że po to wyjechał pracować za granicę, aby ztamąd część tych pieniędzy odebrać i krajowi powrócić, które panowie nasi tam marnotrawiali.. Nie... św. p. Sebastyan zebrał te pieniądze w jakimś celu szlachetniejszym, niżeli by je dać krewnemu, który i tak miał dla siebie wystarczający majątek. Ale jaka mogła być ta myśl? Gdzie są prawne dowody?

Pan Bonawentura wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. Po chwili ozwał się znowu do siebie:

— Ależ pan Izajasz był poczciwym człowiekiem.. Ba! poczciwość u prostych ludzi ma pewne granice. Gdyby pan Izajasz dostał do rąk sto tysięcy złotych, to możeby ich ani tknął, tylko oddał komu należało. Ale milion... milion!... milion sprawia dreszcze, palce się kurczą i trzymają go konwulsyjnie, choćby tam sumienie Bóg wie jak krzyczało!.. Ztąd ten nagły rozstrój u Izajasza, walka wewnętrzna i śmierć. Tak, tak, pieniądze nie były jego... były własnością dobra powszechnego, ale w jaki sposób? W tem sęk!

Pan Bonawentura chodził znowu po pokoju.

— Przekonanie mam święte, ale prawnych dowodów nie mam. Pieniądze mogą przepaść w spragnionem gardle tego marnotrawcy, który Elżusię obalamucił. A więc trzeba dowodów... trzeba dowodów prawnych!

Tu zatrzymał się. Pomyślał chwilę, potem mówił znowu:

— Każdy środek, który do dobrego celu prowadzi, jest dobry. Ba, ale to niemoralnie!

Pochodził trochę po pokoju.

— Inaczej nic z tego nie będzie. Pieniądze przepadną! Pochłonie je marnotrawca, a ludzkość... bo św. p. Sebastyan miał nieomylnie ludzkość na względzie, a ludzkość straciłaby na tem milion i więcej niż milion dobrych, szlachetnych owoców.

Znowu przeszedł się kilka razy.

— Czyż nie posądzonoby mnie o zemstę prywatną? mówił dalej do siebie... Nie, tej już teraz nie mam, jestem poprostu prokuratorem ludzkości, prokuratorem ludzi biednych, którym ten milion chciało wydrzeć!... Choć nie małą będzie dla mnie rozkoszą ten nagły przestрах narzeczonego!... Nie, prawa ludzkości wymagają tego odemnie... Kto wie, może to jedyna misya mego życia!...

Pan Bonawentura usiadł i zadumał się.

Potem wyjął z podróźnej torby starannie zwinęty papier, rozwinął go i zaczął z wolna pisać.

Przy każdym słowie, przy każdej dużej literze zaglądał do różnych notatek i listów, które częścią z podróży przywiózł, a częścią między papierami pana Izajasza znalazł.

Gdy już pisanie skończył, posypał papier jakimś proszkiem żółtawym—potem pisał znowu dalej.

Skończywszy to wszystko, wyjął z biurka wszystkie papiery i pieniądze pana Izajasza, schował w zanadrze i wyszedł.

Za dwie godziny wrócił wesoły i rozpromieniony. Mówił wiele z Józefem, opowiadał mu że był daleko, że nawet kawałek morza widział.

Śród tego opowiadania ktoś zapukał do drzwi.

Wszedł pan Wit z kuzynkiem. Z nimi wszedł także znany panu Bonawenturze regent.

— Mości naczelniku, ozwał się pan Wit, przychodzimy tutaj z pełnomocnictwem od wdowy ś. p. Iza-

jasza, aby odebrać od pana złożone u niego kapitały według znalezionych spisów...

— Kapitały? odpowiedział z dziwnym uśmiechem na twarzy pan Bonawentura. — Kapitały?... Św. p. pan Izajasz zostawił wprawdzie u mnie milion, ale w papierach tych mieścił się także testament ś. p. Sebastyana, że te kapitały przeznaczone są na cele publiczne...

— Na cele publiczne! krzyknął pan Wit.

Lulu zbladł jak trup.

Pan Bonawentura milczał chwil kilka. Z wewnętrzną rozkoszą patrzył w zbladłą twarz bohatera.

— Potrzeba przecież do tego pewnych prawnych kroków, zauważył regent.

-- Już poczyniłem, spokojnie odparł pan Bonawentura. Kapitały dałem w depozyt do banku, a testament znaleziony i kwity bankowe wręczyłem prokuratorowi.

— Czyby nie można wiedzieć treści tego mniemanego testamentu? zapytał po chwili powszechnej konsternacji—regent.

— I owszem, tu jest odpis tego testamentu.

Regent chwycił za papier, a pan Wit i Lulu nachylił się do niego.

Testament był wprawdzie prywatnie zrobiony, ale przez dwóch świadków w Gdańsku podpisany.

Ś. p. Sebastyan, po długim wstępie o generalnym majątku społeczeństwa, postanowił kapitały swoje dać na założenie instytucji dobroczynnej, która by zajmowała się przemysłem wykształceniem dzieci rodziców niegdyś bogatych, którzy rozrzutnym życiem za granicą majątki potracili....

Pan Wit rozśmiał się z ironią. Lulu nie mógł jeszcze przyjść do siebie.

— Cóż pan sądzisz o tem? zapytał po chwili regenta.

— W każdym razie sprawa bardzo zawikłana.

— Więcej nie masz pan nam nic do powiedzenia? zapytał pan Wit.

— Nic, odparł pan Bonawentura.

Wszyscy trzej wyszli, zapomniawszy nawet pożegnać się z gospodarzem.

Takiego zwrotu rzeczy żaden z nich nie spodziewał się.

Przez trzy dni mówiono w stolicy o tem wydarzeniu. Prawnicy podzielili się na dwa obozy. Jedni widzieli sprawę biednych wygraną, inni potrzebowali jeszcze różnych wyjaśnień, których tylko sam pan Bonawentura mógł udzielić. O niego opierało się teraz wiele...

Pani Izajaszowa mdlała ustawicznie przez te trzy dni. Elżusia z wielkiego zmartwienia—zbrzydła.

Pod koniec trzeciego dnia otrzymała list od hrabiego Ludwika, w którym tenże odsyłał jej pierścionek i przeproszał za zawód, który również i dla niego jest niemniej bolesnym.

Po napisaniu tego listu wyjechał za granicę przed długami.

Dowiedziawszy się o tem wszystkim pan Bonawentura, uznał że teraz rzeczywiście misja jego skończona. Dalszą nawet swoją egzystencją uznał za szkodliwą. Poszedł więc do Fukiera, wypił butelkę starego węgryzna i wcześniej do domu powrócił.

W domu aż do wieczora był zdrow i wesół. Opo-

wiadał Józefowi różne przygody ze swego życia. Mówił mu jak pewna generałowa za nim szalała i spokoju mu nie dawała. Potem opowiadał jak razu jednego na maskaradzie intrygował go mały diablilik z czerwonymi różkami i zbyt pieszczotliwie do ucha szepnął mu: kocham, cię drogi Bonusiu, nad życie, ale ty nigdy o tem nie dowiesz się.... Tak go to oszołomiło, że przez kilka tygodni chodził jak struty i ciągle nad tajemniczym diablikiem przemyślał. W końcu był już na tropie i okazało się, że to nikt inny nie mógł być, jak tylko księżniczka Otylia, ale księżniczka już wtedy wyjechała do Włoch i od tego czasu nigdy w życiu jej nie widział...

Wiele jeszcze podobnych historyj opowiadał Józefowi i zawsze dodawał: „gdy byłem młody,“ czego dawniej nigdy nie robił.

Późnym wieczorem położył się do łóżka zupełnie normalnie, to jest: wypalił fajkę, wypłukał sobie usta, głowę chustką zawiązał i na prawy bok się położył.

Józef zagasił świecę i odszedł.

Rano, gdy przyszedł, pan Bonawentura już nie żył. Tknęła go apopleksya.

XXXI.

Dom pani Izajaszowej był teraz domem prawdziwej żaloby i rozpaczy.

Zrazu nie chciano jeszcze wierzyć w ogrom nieszczęścia. Zwołano prawników i zapytano ich o radę. Sprawa była mocno powikłana. Dołączała się jeszcze i ta okoliczność, że spadek po ś. p. Sebastyanie traktowany być miał podług pruskiego prawa,

bo Sebastyan był zamieszkał w państwie pruskiem. Jakby na domiar nieszczęścia, wyniósł się pan Bonawentura milczkiem na drugi świat, nie odpowiadziawszy na żadne z tych pytań, które senat dla niego gotował.

Potrzeba było badać, zbierać dowody i informacye—słowem z tej sprawy stał się proces długi i niefortunny.

Jakkolwiek prawnicy to i owo przyrzekali, nie wierzono im, jak przyrzeczeniom dobrze płatnego lekarza, który do ostatniej chwili utrzymuje że chory może być zdrowym.

Teraz dopiero mogła się przekonać pani Izajaszowa czem dla świata była—bez miliona.

Wszystkie nowe stosunki domu, tak misternie przez hrabinę Oliwią pozawiązywane, zerwały się nagle, jak się zrywa sztuczna pajęczka tkanka, gdy wiatr przeciwny w nią dmuchnie...

Dom pani Izajaszowej osamotniał nagle. Wszyscy nowi znajomi unikali go, jak uciekają szczury ze starych komor, które grożą upadkiem....

Niepokojoyony przez karety i powozy, Podwał ucichł nagle i spowaźniał. Czasami tylko numerowana dorożka przetłukła się po nierównym bruku, postraszony trochę żerujące szczury w kanałach.

Wdowa na Podwale wyobrażała sobie nieszczęście daleko większem, niżeli było w istocie. Stracono wprawdzie fałszywy szyk, ale pozostały jeszcze zawsze pewne warunki życia. Można się było cofnąć napowrót w dawniejszą sferę i być tem, czem się było przed milionem.

Na to potrzeba było tylko trochę hartu duszy i odwagi. Tego zaś nie miały mieszkanki domu na

Podwału. One dla siebie widziały tylko wstyd i hańbę. A odwrót ich równały się śmierci.....

Do tego jeszcze, jakby przez wyłom ruiny, zaczęło do nich wpełzać jakieś brzydkie robactwo.

Najprzód zapukał do drzwi młody, modną perfumą obłany człowieczek, w białej kamizelce i czarnym tużurku.

— Jestem patron, rzekł do kobiet płaczących, i znany jestem z obrony śmiałych spraw kryminalnych. Zbadałem sprawę pani i widzę, że można ją wygrać. Otóż zajmę się tą sprawą, ale zarazem proszę o rękę panny Elżbiety, którą już dawno.....

Młody patron, niedokończywszy, dostał odprawę.

Za nim przyszedł człowiek już niemłody z nosem czerwonym i różnemi polipami narosłym.

— Asani dobrodziejka pozwoli, że się przedstawię, rzekł przy progu zgięty we dwoje — jestem palestrant, którego boi się trybunał i senat. Sprawa jak bursztyn czysta i upewniam panią, że za lat dwa... ale przedtem radbym mój afekt pannie Elżbiecie....

I ten, nie dokończywszy, dostał odkosza.

Nazajutrz przyszedł pewien znany w całym mieście lichwiarz. Obejrzał się po salonach, oszacował sprzęty, cmoknął językiem i rzekł:

— Gdybyś pani dobrodziejka chciała pieniędzy, to ja dam... ja dam, co pani chce... tylko zato chcę być przyjacielem w domu, chcę tu często przychodzić, a może panna Elżbieta....

Odpędził go znany żydek Goldberg, który zadywany wpadł do pokoju.

— Mam dla pani dobry interes! Jeden już niebardzo młody generał w dymisyi chciałby oglądać pannę Elżbietę...

Odpędzono i tego, a po nim wsunął się chudy drukarz, który wszystkie swoje trzcionki, walce i maszyny chciał złożyć u nóg Elżusi, byle tylko sprzedać jedną z kamienie i dług jego wekslowy zapłacić...

Elżusia była w rozpacz.

Płakała rzewnie, gorzkimi łzami płakała!

Spać nagle, spać z tak wysoka!

Podejrzывała nawet dawnych znajomych, że nau-myślnie dla jej umartwienia nasyłali jej podobnych ludzi, o których nigdy nie marzyła....

Z lepszych dawnych znajomych nikt nie przyszedł. Wiadomość o zatajeniu testamentu i przywłaszczeniu sobie pieniędzy cudzych, pieniądze do ubogich należących, odebrała im w oczach świata wszelką cześć i szacunek. Dawniej wzgardzili oni dawnymi znajomymi, dzisiaj ci odpłacili się jeszcze większą pogardą.

Położenie biednych kobiet było okropne, rozpaczliwe.

Pojęła to położenie senatorowa i razu jednego rzekła do Floryana, który zamyślony chodził po pokoju:

— Możeby wypadało odwiedzić kiedy Izajaszową i nieszczęśliwą Elżusię.

— Właśnie o tem myślałem! odpowiedział Floryan.

Matka pomilczała chwilę i z uwagą spojrziała na syna.

— Czy do tej myśli nic nie dołączasz ukrytego? zapytała po chwili z badającym wejrzeniem.

Floryan rozśmiał się.

— Nic i jeszcze raz nie, kochana matko! odpowie-

dział stanowczo. W pewnym względzie nie wierzę w poprawę kobiet.

— Jak to rozumiesz?

— Jeżeli kobieta jaką drogę w życiu wybiera, to wie dlaczego to robi. Bez myśli, bez żądy na tę drogę nie wchodzi. Los niefortunny może ją z tej drogi zepchnąć—wtedy wpadnie w przepaść, ale nie wróci się.

Senatorowa zamyśliła się.

— Elżusia, mówił dalej Floryan, zbyt długo żyła wrazeniami tej sfery, z której teraz przez niefortunny przypadek jest wyrzuconą. Powrót jej do dawniejszych warunków życia jest niemożliwy, a przynajmniej wymaga wielkiego hartu duszy i wyższego wykształcenia, jakiego nie ma. W najlepszym zaś razie, taki zawrót kobiety pod skromniejszy horyzont życia nie daje gwarancji przyszłego jej szczęścia tak dla niej samej, jako też i dla jej towarzysza....

Nie wszystkie rośliny tropikowe dadzą się przemieścić i aklimatyzować w strefie zimniejszej, a kobieta należy do tych, które nigdy tutaj żyć nie mogą. Zależy od tego, jak i jak długo żywiła duszę skwarem i barwami nieba równikowego, zamiast posilać ją łagodnemi, ciepłemi promieniami strefy nie tak jaskrawej, ale za to zdrowej, we wszystko bogatej.....

Senatorowa myślała nad tem, co Floryan powiedział, jeszcze czas niejaki.

— Jeżeli tak myślisz, rzekła potem, to niezawadzi, abyśmy biedne kobiety odwiedzili. Niestety jest zawsze nieszczęściem, chociażbyśmy i sami do tego nieszczęścia się przyczynili.

Floryan przystał na propozycję matki i oboje wyszli na ulicę.

— Przed kilkoma dniami, rzekł na ulicy Floryan do matki, nie odważyłbym się iść do nich. Były one wtedy tak wysoko, że obawiałem się ubliżenia jakiego. Dzisiaj przecież nie mogą już mieć tej pychy, i przyjmą nas tak, jak sobie na to zasługujemy.

— Masz słusność, odpowiedziała senatorowa i oboje weszli teraz do sieni.

Przypadkiem stała pani Izajaszowa w oknie i widziała idących gości.

— Elżusiu, zawołała skwapliwie, senatorowa i Floryan idą tutaj!

Elżusia, chwilkę pomyślała.

— Nie, mateczko! ozwała się, ja tego nie zniosę! Prędzej umrzeć, niżeli dać innym tryumfować nad sobą! Oni tu idą, aby pastwić się nad naszym upadkiem... Nie, mateczko—ja ich widoku nie zniosę!... Gdybym była panią Ludwikową... przyjęłabym ich z całą okazałością... a tak... tak... ja ich widzieć nie chcę!

Służąca otrzymała rozkaz przeproszenia gości.

XXXII.

Po pierwszej katastrofie, po następnych bolesnych drganiach, sytuacja na Podwalu poczęła się zwolna uspokajać. Nie był to jednak powrót do zdrowia, ale była martwota i bezwładność, jaka zazwyczaj po wielkich ciosach następuje.

Chmura pioruna, burza hałaśliwa i wicher złowrogi, który tumany kurzu, liści i gałęzi niósł po przestworzu, przeminęły zwolna, ale niebo nie okazało błękitnych oczu, zasunęło się całe szarą, grobową mgłą jednostajnej niepogody.

Taki stan rzeczy panował teraz na Podwalu.

Pani Izajaszowa opuchła z płaczu, a Elżusia zbladła i pozołkła. Żółciowe plamy wystąpiły na jej czoło i odebrały mu wdzięk spokojnej myśli. W oczach gorzał jakiś dziki płomień, który nie przyciągał, ale odpychał patrzącego.

Matka i córka siedziały teraz jak zakonnice w domu. Zdawało się im, że cały świat patrzy na nie, że cały świat o niczem innym, tylko o nich myśli.

Nie odważyły się wyjść piechotą na chodnik Podwala, po którym niegdyś w pysznych ekwipażach, jak zakłete księżniczki, przesuwaly się. Nie odważyły się wyjść piechotą do kościoła św. Jana, aby się Bogu pomodlić, bo wyobrażały sobie że na idące piechotą cały ten świat palcem pokaże i zawoła: Oto idą te, co dawniej jeździły karetą!...

Tak dziwne i przesądne miały o swoim nieszczęściu wyobrażenia, które było dla nich istną torturą.

Śród tej jednostajnej katuszy życia, którą sobie dobrowolnie zadawały, był przecież jeden łagodniejszy promień nieba, który czasami ich niedolę dobroczynnie oświecał.

Co drugi lub co trzeci dzień zajeżdżał przed dom na Podwalu pyszny, angielski powóz pana Wita z dwoma lokajami w galonowanej liberyi.

Wyświeżony i wyperfumowany p. Wit wchodził ze słodkim uśmiechem do salonu i bardzo czule witał się z płaczącymi kobietami.

Potem widzieli sąsiedzi, jak obydwie kobiety schodziły na chodnik, siadały do powozu i razem z panem Wittem na Krakowskie-przedmieście jechały.

Były to dla nich jedyne chwile szczęścia. Z całego blasku ich nowych stosunków pozostał tylko

ten jeden promień, jakby ostatni promień zachodzącego słońca. Był on tem droższy, że był jedyny, tem piękniejszy, że był ostatni! Wszystko inne już uleciało!...

Pani Izajaszowa nie miała słów wdzięczności dla wiernego towarzysza w szczęściu i nieszczęściu, a Elżusia przyjmowała jego pieśczęty jak prawdziwie kochająca córka.

I stało się, że w sąsiedztwie o czemś nowem mówić zaczęto....

Pani Sydonia, kobieta praktyczna i światowa, przysła raz o zmroku na Podwał, o którym to czasie zazwyczaj kobiety płakały, lub smutno w milczeniu siedziały.

Zdawało się, że pani Sydonia nie bez celu i pewnej skrytej myśli tę porę wybrała.

— Jak tu u państwa smutno teraz, jak w grobie! rzekła zaraz po przywitaniu.

— Jak w grobie! powtórzyły kamienne ściany.

— Przecież tak nadal pozostać nie może, mówiła dalej, bo to byłoby dobrowolne męczeństwo.

— Cóż robić! ozwała się pani Izajaszowa—proces o pieniądze może się lata pociągnąć, a nawet mówią wszyscy że nie z nich nie dostaniemy.

— Co to, to prawda, odrzekła pani Sydonia—mąż mój mówił z pewnym mecenasem, który twierdzi że ani nadziei niema, by wygrać.

Matka i córka westchnęły.

— Ale przecież tak pozostać nie może! mówiła dalej pani Sydonia, trzeba coś zrobić!

— Cóż chcesz, abyśmy zrobiły? zapytała oboje—nie pani Izajaszowa.

— Elżusia przecież może jeszcze zrobić dobrą partya.

- Cóż ty nazywasz dobrą partją?
- Rozumie się, że na raz zdobytej wysokości trzeba się trzymać, a na dół nie schodzić.
- Czy chcesz, żeby Elżusia poszła za jakiego kupca, rzemieślnika lub aplikanta?
- Ach, broń Boże! Toby była kapitulacya bez honoru! To być w żaden sposób nie może.
- Jakież są inne widoki?
- Widoki.... widoki.... byłyby widoki, gdyby rozsądnie na rzeczy się zapatrywać.
- Nie rozumiem cię!
- Sąsiedzi już nawet mówią o tem... Ci, co się z waszego nieszczęścia cieszyli, zaczynają się znowu smucić i głową kiwać.
- Czy to prawda? zawołała Elżusia w gorączce, czy pani co wiesz takiego?... O, wierzaj mi pani, że wiele, bardzo wiele poświeciłabym, gdybym tylko nad niektórymi ludźmi jeszcze tryumfować mogła....
- Mówią że pan Wit....
- Pan Wit! zawołała z zadziwieniem Elżusia.
- Pan Wit! powtórzyła tak samo pani Izajaszowa.
- Co też pani mówil!
- Co też ty mówisz!
- Mówię to, co sąsiedzi mówią, którzy się z tego bardzo martwią.
- Ależ zlituj się, on taki stary!...
- Prawda, że trochę zastary!...
- Stary, nie stary. Dzisiaj w tym wieku mężczyźni więcej są jeszcze warci, niżeli młodzież, którą cechuje albo sceptycyzm, albo cynizm...
- Nie, to być nie może, moja Sydonio!..
- To dziwna kombinacya, moja pani!
- Za pozwoleniem. Proszę tylko o rozsądne

słówek. Czemże jest dzisiaj życie nasze? Czy sądzisz, Elżusiu, że życie kobiety składa się z tych wszystkich pięknych rzeczy, o których w roman-sach czytasz? Nieprawda! Miłość jest to frazes, który traci walor zaraz po ślubie. Życie nasze jest męczarnią, jednostajną katuszą. Mężczyźni wszystko lepsze wzięli dla siebie, a dla nas zostawiają obowiązki rodzinne i tym podobne służebności. Je-żeli się tym prawom poddamy, jesteśmy sługami, jesteśmy niewolnicami....

— To prawda! westchnęła pani Izajaszowa.

— Inaczej jednak rzecz się przedstawia, jeśli kobieta jest w tem położeniu, że przez całe życie bawić się może.

— Bawić się, bawić się! Ale na to trzeba pie-niędzy.

— Otóż zdaje mi się, że tutaj tylko o pieniądze chodzi! A najlepszym dostarczycielem takich pie-niędzy jest—maż stary.

Elżusia wzdygnęła się. Pani Sydonia mówiła dalej.

— Mąż stary wie dobrze o tem, że młodą żonę tylko za pieniądze ubawić może. Żaden mąż nie chodzi tak na palcach koło żony, jak stary. Żaden tak prędko nie uprzedza ich marzeń i życzeń, żaden nie jest zdolny tyle dla niej poświęcić!...

Elżusia uśmiechała się z goryczą.

— Będziecie podróżować oboje po całym świecie! Paryż, Wenecya, Londyn, Drezno, Rzym, Neapol będą dla was stacyami! Opery, koncerty, wycieczki na góry szwajcarskie zapełnią ci wszystkie chwile życia. Otoczona będziesz zawsze szeroką atmosf-e-rą bogactwa i dostatków. Cały świat wyższy bę-dzie waszym światem, rozrywki i rozmaitość życia

nie dopuszczają ani jednej takiej chwili smutnej, w jakiej was dzisiaj zastałam.

Elżusia zaczęła się bawić wstążką.

— Nie, to być nie może! szepnęła zcicha—to zawsze tak jakoś dziwnie!...

— A ja ci mówię że to lepiej, niż żebyś poszła za Lulu. Pan Lulu po jakimś czasie byłby fruwał od ciebie do baletu, a ty martwiłabyś się tem odstępstwem... Stary mąż nigdy tego nie zrobi. On tylko do ciebie modlić się będzie. Ty będziesz jego obrazkiem...

— Nie... nie... to być nie może, powtarzała prawie machinalnie Elżusia.

— A zresztą co za tryumf nad tymi, którzy myśleli, że już spadłaś do poziomu aplikantów... Tytuł szumny wyróżniać cię będzie w każdym towarzystwie, a na męża nawet patrzeć nie będą... Kobieta nie lubi ginać w tłumie! Ona lubi, aby ją wszędzie widziano....

Tu umilkła pani Sydonia. Milczenia nikt nie przerwał. Było ono długie i wymowne.

I tak cicho zrobiło się w pokoju, że tam gdzieś z drugiego kąta słychać było brzęk muszki, którą pajak we śnie w swoje szpony ułowił...

Brzęk stawał się słabszym, coraz słabszym, wreszcie ustał zupełnie....

XXXIII.

Kilka tygodni minęło od tego czasu. „Kuryer“ doniósł mieszkańcom Warszawy, że jakiś korespondent jego z nad Nidy słyszał na własne uszy skowronka i widział wracające z cieplejszych krajów bociany.

I zapewne była to prawda, bo trawa w ogrodzie Saskim zaczęła się zielenić, a sędziwi emeryci poobsiadali szeregami ławki, wygrzewając się na kwietniowym słońcu, co nawet lepszą było wróżbą nadchodzącej wiosny, niż bociany i skowronki.

W samej rzeczy wiosna rozpoczęła się na pięknie. Jedni cieszyli się tą wiosną, która obiecywała tak ulubione dla miejskich mieszkańców majówki, inni znowu z pewną obawą wciągali w siebie aromat rozwijającej się wegetacji przepelnione powietrze, które ich słabe płuca do niebezpiecznego kaszlu pobudzało....

W jednym z tych dni dla jednych pięknych i orzeźwiających, dla drugich zaś złowrogich i zabijających, wróciła z miasta senatorowa i zaraz na progu rzekła do Floryana:

— Przynoszę ci dwie wiadomości — jedna z nich, że Elżusia idzie za pana Wita...

— A druga? zapytał Floryan.

— Czy ci pierwsza jest tak obojętną, że nawet dłużej nad nią zastanowić się nie chcesz?

— Od czasu jak Elżusia na tę drogę poszła, na której nęciły ją zewnętrzne blichtry, dziecinna próżność i ta wygodna maksyma, że życie jest zabawą a nie spełnieniem obowiązków—od tego czasu nic już dla mnie nie może być niespodzianką.... Alboż to po raz pierwszy sprzedaje się kobieta za dostatki i zabawy?...

Senatorowa pomyślała chwilę, a potem rzekła:

— Druga wiadomość jest tego rodzaju, że trzeba ją przyjąć z wielkim współdzięciem.

— Cóż to za wiadomość?

— Wdowa, którą u siebie ma Bronisława i nią

się opiekuje, jest niebezpiecznie chora, a nawet prawie konająca.

Floryan szybko postąpił naprzód.

— Trzeba w czemś dopomódź! zawołał i lekko zarumienił się.

— Bronisława, mówiła dalej spokojnie senatorowa, od dwóch tygodni po całych nocach przy niej siedzi. Jej zdrowie jest także w niebezpieczeństwie. Słyszałam to od lekarza, który tam chodzi.

— Trzeba żeby matka tam poszła... poszła niezwłocznie.....

— Co to za pismo leży na stole?

— To... to.... trzeba żeby matka nie odwlekała!

— Ale o pismo pytam.

— To... uwiadomienie od przełożonego, że za wypracowaną rzecz o opiece małoletnich... żeby tylko zapóźno nie było...

— Uwiadomienie....

— Uwiadomienie że mam otrzymać wyższą posadę.

— Więc to praca, którą podjąłeś dla rozerwania smutku, jaki z powodu Elzusi....

— To już należy do przeszłości, ja teraz myślę... o wdowie!

— O wdowie?... Ja przeciwnie myślę o biednej Bronisławie. Nieszczęśliwe, dobre dziecko!

— Zostawmy rozmowę na potem... teraz.

— Czy chcesz abym zaraz tam poszła?

— Sądzę, że takby dobrze było.

— Więc idę... do zobaczenia!

— Do zobaczenia, matko!... Ale czy matka sama tam pójdziesz?

— A kogóżbym mogła wziąć z sobą? Służąca zatrudniona.... Do zobaczenia!

— Jeszcze słowo! Czy... czy niebyłoby to nie stosownem.... abym.... abym ja....

— Dlaczegoż nie stosownem? Tam gdzie śmierć puka, tam ustają wszelkie względy. Zresztą przy prawdopodobnej śmierci wdowy możebyś nawet być potrzebnym.

— Jeżeli tak matka sądzisz.... to zabiorę się!

Za chwilę byli już w drodze na Śto-Krzyżką.

Na samym rogu Śto-Krzyżkiej było mieszkanie Bronisławy. Składało się ono z dwóch małych pokojów.

Pokoiki były skromne, ale co można było z nich zrobić małym kosztem, to było zrobione.

Posadzka była czysta i lśniąca. Skromna, wełnianą materyą pokryta kanapka, stała między oknami. Z tejże samej materyi sofka, nakryta gustownym dywanikiem, służyła właśnie sparaliżowanej wdowie za łóżko. Mały stoliczek z książkami i lampką stał przed sofką. Dwa zwierciadła i kilka sztychów Towarzystwa sztuk pięknych uzupełniały urządzenie pierwszego pokoiku.

Drugi pokoik był pokoikiem Bronisławy. Drzwi miał przymknięte, a to co z niego widać było, każało wnosić, że był również czysty i gustownie urządzony.

Gdy senatorowa z Floryanem do pokoju weszli, zastali właśnie Bronisławę siedzącą przy łóżku i czytającą chorej psalmy konających.

Biedna wdowa leżała na poduszkach z rękami na piersiach w krzyż złożonemi. Twarz jej była tak biała, jak karta papieru. Nie było na niej bólu, ani przestachu śmierci, tylko spokój głęboki i oczekiwanie końca pielgrzymki ziemskiej. Na małym stołeczku koło łóżka siedziała mała dziewczynka

z błękitnymi oczami i przez łzy patrzyła w oblicze umierającej matki.

W nogach chorej z twarzą nadzwyczaj bladą, oczami zapadniętymi siedziała Bronisława i pięknym harmonijnym swym głosem czytała z książki.

Gdy senatorową i Floryana spostrzegła, zarumieniła się lekko, a głos jej zdrzał, jak struna silniej trącona.

Chora otworzyła oczy. Uśmiech łagodny przemknął po jej twarzy. Chciała podnieść rękę, ale ta bezwładnie upadła na piersi.

Senatorowa pośpieszyła do chorej, ścisnęła ją za rękę i powiedziała kilka słów pociechy.

Bronisława tymczasem uprzętnęła dwa miejsca dla niespodziewanych gości. Sama zaś usiadła plecyma do okna, aby światło z niego nie dozwalało zbyt wyraźnie widzieć jej twarzy, na której w tej chwili wiele było można czytać.

Po zwykłych przywitaniach, po kilku zapytaniach i odpowiedziach dotyczących się choroby wdowy, rzekła nieśmiało Bronisława do Floryana:

— Wprawiasz mnie pan w niemały kłopot. Należę do tych osób, które nie lubią, aby kto na nie wtedy patrzył, gdy wypełniają obowiązki.

— Ręczę pani, odpowiedział Floryan, że kobieta w takim razie ma więcej uroku, niżeli w stroju balowym, wśród wyszukanej muzyki i tysiąca świateł.

— W obec biednej chorej naszej—zostawmy taką rozmowę na później...

— Nie, nie! wyszepnęła zcicha chora, mówcie tak dalej, bo pan Floryan bardzo dobrze i bardzo pięknie powiedział... I ja... i ja jestem kobietą i wiem czem strój balowy dla kobiety być może. Ale wierzę mi pan, gdy patrzę na Bronisławę siedzącą

przy mnie, gdy jej oczy suche od bezsenności na mnie się zwracają, to zdaje mi się że widzę przed sobą anioła, anioła w całym majestacie niebieskim...

— Mówienie szkodzi pani! przerwała Bronisława, nakrywając jej ręce.

Chora uśmiechała się boleśnie i spoczęła chwilę. Po chwili szepnęła znowu zcicha:

— Jestem szczęśliwa, że umieram! Dłużej w ten sposób żyć nie mogłam! Każda chwila przeżyta pod opieką Bronisławy była dla mnie ciężarem, wielkim ciężarem!

— Ciężarem, powtórzyła senatorowa i z zadziwieniem na Bronisławę.

Bronisława zarumieniła się i spuściła oczy.

— Nie spodziewam się, ozwał się Floryan, abyś pani mogła te słowa zostawić bez odpowiedzi.

— A jednak muszę to uczynić, odpowiedziała Bronisława i zarumienioną twarz pochyliła ku ziemi.

Głębokie milczenie trwało czas niejaki; Floryan nie chciał dalej pytać, a senatorowa uznała również za rzecz słuszną, aby chorej w ostatnich jej chwilach rozmową nie trudzić.

Chora tymczasem odpoczęła sobie.

— Błagałam Boga o śmierć, mówiła zcicha, bo życie moje nieudolne na nic się już nikomu nie przyda. Marynia moja nie ma i tak ze mnie matki—lepiej więc żeby już była sierotą. Sierotą zajmie się Bóg i ludzie jej nie odepchną. A życie moje... życie na opiece Bronisławy było dla mnie torturą, prawdziwą torturą...

— Przyznaję się, odpowiedziała Bronisława podnosząc z lekka głowę do góry — przyznaję, że byłam winną, ale okoliczności zmienić nie mogłam.

— Okoliczności zmienić nie mogłaś? zapytała z rosnącym zadziwieniem senatorowa, — cóżby to mogła być za okoliczności?

— Okoliczności... nad moje siły!

— Nie wierz jej pani, odpowiedziała wdowa, — ona nie mówi prawdy! Można było poprostu nie przyjąć żadnych zobowiązań, a ja byłabym spokojniejsza w jakiej sali szpitalnej i nie potrzebowałabym błagać Boga codziennie o śmierć, którą uważam dzisiaj za wielką łaskę.

— Nie rozumiem tej sprawy, zauważyła senatorowu i smutno spojrziała na Floryana.

Floryan nie podzielił wcale tego smutnego spojrzenia matki. Zdawało się że nic nie myślał, coby mogło być niekorzyścią dla Bronisławy.

Bronisława powoli posunęła oczy swoje aż do twarzy Floryana. Widocznie ucieszyło ją, że na tej twarzy nie spostrzegła nic takiego, coby ją zasmuciło mogło.

— Zapewne chora majaczy! szepnął Floryan do ucha matki i spojrzął szybko na Bronisławę, jak głosem obronę przyjmie.

Bronisława zmarszczyła brwi.

Chora, przy swej piersiowej słabości, miała słuch nadzwyczajny. Usłyszała słowa i odparła:

— Niech pan nie nazywa tego majaczeniem, jeśli kto dobrze o bliźnim mówi. Dzisiaj i tak trafia to się bardzo rzadko!

— Sądzikiem że pani masz co pannie Bronisławie do zarzucenia? odpowiedział Floryan.

— Tak jest, mam jej do zarzucenia wielką winę. Są pewne stosunki między ludźmi, które o ile jednych wysoko stawiają, drugich nader boleśnie ugniatają, otóż ja jestem tą biedną ofiarą!

— Ofiarą! powtórzył Floryan z rosnącą ciekawością.

— Ofiarą jej bezprzykładnej szlachetności!

Bronisława wzięła chustkę i szybko wybiegła z nią do drugiego pokoju. Chora tymczasem mówiła dalej cichym głosem:

— Bronisława, aby mnie wyżywić z sierotą, wzięła dwie lekcyce więcej dziennie.

— Dwie lekcyce dziennie! powtórzyła matka z synem.

— Gdy była u pewnej opiekunki biednych i moje niedolę jej przedstawiła, ta wymyśliła plan taki, że wystara się jej o dwie godziny dziennie, byle za to mnie wzięła do domu.

— Wygodna dobroczynność! zawołał Floryan i poruszył się niecierpliwie na krześle.

— I biedna Bronisława przystała na to? zapytała senatorowa a łzy stanęły jej w oczach.

— Jak widzisz pani. To jej poświęcenie zatruwało mi życie!

Głuche milczenie panowało chwil kilka.

Wreszcie wyszła Bronisława z drugiego pokoju.

Miała oczy czerwone od płaczu.

— Czy to prawda, moje dziecię, że ci taki warunek zaproponowano?

— Prawda! odpowiedziała nieśmiało Bronisława.

— Dlaczegoś mnie okłamała? Powiedziałaś że dano ci na to potrzebny fundusz.

— Alboż to dwie godziny dziennej pracy nie są funduszem?

— Ty jednak mogłaś siebie tą pracą zameczyć.

— Widzisz pani że to nie nastąpiło.

— Dziwiłam się, że z każdym dniem gorzej wyglądasz.

— To nie z pracy... to... tak... z różnych zmar-
twień.

— Nie byłaś szczerą przedemną!

— Nie miałam ani z czem pochwalić się, ani po-
skarżyć. Robiłam to w swoim interesie.

— Jakież interes mogłaś mieć w tem?

Bronisława odetchnęła głęboko, poiknęła łzy które cisnęły się jej do oczu i odpowiedziała:

— Każdy człowiek potrzebuje przywiązania dru-
gich a najbardziej kobieta. Chciałam sobie zarobić
miłość matki — i na to pracowałam dwie godziny
dziennie. Czyż to tak wiele? A miłość mojej przy-
branej matki czyż mi hojnie tej pracy nie wynagro-
dziła?.. Czyż nie jest to najdroższem szczęściem na-
szem, jeśli nas kto kocha i my to widzimy? A moja
przybrana matka kochała mnie jak rodzona i teraz
dopiero czuję, jak nieszczęśliwą jestem!..

Tu zakryła twarz i chwilę milczała.

Senatorowa miała łzy w oczach.

Floryan ożywionem okiem patrzył na Bronisławę.

Chora wdowa dobytej ostatnich sił swoich, oparła
się na poduszkach, a wyciągając ręce nad głową
Bronisławy, mówiła coraz słabszym głosem:

— Dzięki ci, córko moja, za to słowo pociechy,
które mi dajesz na ostatnią drogę!.. Tam będę Bo-
ga błagała za szczęście twoje, które ci się należy...
Jesteś sierotą i często wypowiadasz to gorzko, że
nie masz posagu! Wszystkie twoje nieszczęścia upa-
trujesz w tem jednym słowie, że jesteś bez posagu!
Świat obwiniasz o brak miłości, który dlatego jest
zimnym dla ciebie, że jesteś bez posagu!.. „Bez po-
sagu“ są to wprawdzie straszne słowa dla tylu tysię-
cy kobiet, które posażnym pierwszego miejsca i
szczęścia ustąpić muszą. Ale nie myśl, aby to była

prawda bezwzględna, aby to była zasada społeczeń-
stwa!.. Działają w niem jeszcze i inne niż złota potęgi...
A te potęgi są dla każdego do nabycia, byle tylko
chciał i pragnął. Są to potęgi cnót, które często sta-
nowią tak ogromny kapitał, że nawet dzieci i wnuki
nim się obdzielają. Zaiste żywot dobry i poczciwy
rodziców, którzy prócz cierpień przebytych przez
ten żywot, nic innego dzieciom zostawić nie mogli,
jest dla dzieci kapitałem, który równać się może
milionom!.. A mianowicie my, w naszym społeczeń-
stwie, potrzebujemy uznania tego kapitału, potrze-
bujemy jego kursu—bo gdy takowy ze zwykłym zło-
tem, czy też poczciwą pracą się połączy, wtedy na-
biera społeczeństwo sił i zdrowia. Dlatego mówię
ci nie płacz i nie narzekaj na ubóstwo twoje—nieza-
służona niedola rodziców twoich, gdy do niej pracę
dorzucisz, jest dla ciebie posagiem, którym szczęście
swoje okupić możesz. Żegnam cię... oby Bóg był
tak samo sprawiedliwym sędzią dla sprawiedliwych,
jak jest nim dla niesprawiedliwych!..

Tu głos jej ustał, a głowa upadła na poduszki.

Stan chorej nie pozwolił obecnym dalej rozmawiać,
lub jakie uwagi sobie podawać.

Każdy w głębi duszy miał słowa chorej, ale w tej
chwili byli wszyscy jej życiem zaniepokojeni.

Chora położyła jeszcze rękę na głowę swej małej
sierotki, ale już nie mówić nie mogła.

Prosiła tylko znakami, aby Bronisława dalej czy-
tała psalmy konających.

Bronisława zaczęła czytać. Wszyscy z uwagą i po-
ważnym nastrojem umysłu słuchali tych psalmów.

Jedna godzina biegła za drugą—nikt nie czuł i
nie liczył ich—aż wybiła godzina dwunasta.

Floryan zbliżył się do lektorki.

— Daj mi pani książkę, rzekł do niej, ja dalej czytać będę, a pani tymczasem udaj się na spoczynek, bo z sił upadasz.

Bronisława dała książkę Floryanowi. Sama pochylała głowę na poręcz fotelu i tak siedziała.

Floryan czytał wzruszonym głosem, w którym drżał smutek głęboki, ale oraz i rezygnacja mężka.

Twarz chorej, blada jak marmur biały, zaczęła się uśmiechać.

Powoli, nieznacznie zastygał ten uśmiech... i w końcu zastygł jak marmur kararyjski pod dżutem rzeźbiarza.

— Skończyła! rzekła senatorowa i wszyscy troje ukłękli do modlitwy.

XXXIV.

We dwa tygodnie po tem zdarzeniu, bawiło się miasto ważną i ciekawą nowiną.

Nowiną tą, były zapowiedzie pana Wita-Ostrogi z panną Elżbietą.

Mówiono o tem jeszcze przed zapowiedziami, ale nie miano pewności, czy to w rzeczy samej nastąpi.

Jedni utrzymywali że już było po słowie i zaręczynach, inni znowu przeczyli temu, uważając prosto całą tę historiją za niemożliwą i przez próżniaków wymyśloną.

Dzisiaj miano to jako fakt przed oczami, a każdy starał się wynaleźć powody, które mogły przyprawić do skutku podobne małżeństwo.

Jedni utrzymywali że pan Wit zręczną intrygą wplątał na chwilę w amory z Elżbietą swego kuzynka a potem, gdy ta innego wyjścia po odstąpieniu Lula nie miała, również zręcznie obmotał ją swemi nadzwyczajnymi względami i do słowa przymusił.

Ci co bliżej pana Wita znali, byli tego zdania, że znany ze swej skłonności skąpiec dowiedział się od ludzi wpływowych, że zatrzymany na chwilę milion zwrócony będzie spadkobiercom św. p. Izajasza. Postarał się więc o wręcz przeciwne przedstawienie tej sprawy spadkobiercom, a korzystając z ich łatwowierności i przestachu, ofiarował im za utracony milion swoje zasoby, swój ekwipaż i tytuł.

O Elżusi rozprawiano z wielkiem rozdrażnieniem. Uważano to za rzecz bardzo zwyczajną, że uboga dziewczyna sprzedaje się staremu człowiekowi za majątek albo tytuł. Wypadki takie, jakkolwiek w gruncie niemoralne, powtarzają się w życiu tak często, że już nawet wcale uwagi na siebie nie zwracają. Ale Elżusia miała ojczysty majątek, były dwa domy, chociaż nieokazałe, ale zawsze z pewną intratą. Nic jej nie zmuszało do takiego kroku, a dalsi znajomi lub nieznajomi nie widzieli tych drobnych ogniwek, z których dopiero sam fakt się wywiązał. Potępiali więc ją głośno i bez ogródki.

Niemniej jednak znaleźli się także prostaczkowie którym w prawdzie przybiecane jest królestwo Boże w niebie, ale którzy tutaj na ziemi nie odznaczają się nigdy zbyt dużym rozumem.

Ci prostaczkowie zazdrościli losu Elżusi, które wychodzi za tak bogatego magnata!..

Pan Wit występował rzeczywiście teraz jako bogaty magnat.

Zdaje się że usiłowaniami jego było utrzymywać Elżusię do przysięgi ślubnej niejako w nieustającym delirium.

Wydawał rauty, organizował nader kosztowne wyprawy majówkowe, obsypywał narzeczoną pre-

zentami bajecznej wartości — słowem ~~żaden~~ dzień nie przeminął, aby o nim w stolicy nie rozprawiano.

Wszystko to dochodziło do uszu Elzusi i wprawiało ją w ekstazę szczęścia. Wyobrażała sobie że całe jej życie ubiegać będzie wśród takich laurów, że nie przestanie być nigdy przedmiotem podziwu i uwielbienia próżniaczkiej gawiedzi wielkomiejskiej, czy to nad Wisłą, czy nad Sekwaną lub Gangesem.

O zapowiedziach więc Elzusi z panem Witem mówiono głośno i szeroko. Były tu i inne zapowiedzie, ale o te nikt się nie troszczył, bo nie miały ani szyku, ani nie były skandalem, który również jak blask każdy pociąga wszystkich oczy na siebie...

W małym tylko kółku ludzi pracy i szlacheńskich dążeń gratulowano młodemu pracownikowi przysięgłego szczęścia, które wkrótce miało go spotkać.

Kółko to nie było wielkie, ale w robotach społecznych niemniej ważne od małego punkciku wypukłego szkła, które skupiwszy w sobie słoneczne promienie, zapala wszystko czego się dotknie.

W punkcie tym zaiste więcej jest światła i ciepła, niżeli na szerokiej przestrzeni misternie szlifowanej szyby rozmiarów olbrzymich.

Ponieważ zaś szybko okazała każdy widzi, a na drobne choć zapalające punkta nikt nie patrzy, więc i okazały pochód ślubny pana Wita z Elzusią podziwiany był przez całą stolicę, która znaczny kontyngens ciekawych wysłała do archikatedry ś. Jana.

Równocześnie odbywał się ślub u oo. Paulinów, o którym pisma codzienne zaledwie gołosłownie wspomniały, podczas gdy okazałość obrzędu ślubnego w kościele św. Jana wychwalano nader doborowymi frazesami z dołączeniem całej genealogii pana

młodego, nie wspominając wcale o genealogii panny młodej....

O drugim ślubie zaledwie dziesiąty wiedział, kto jest pan młody.

— Czy to ten san Floryan X***, który napisał tak piękną książkę o opiece nad małoletnimi?... pytał jeden z przypadkowych widzów drugiego.

— Zdaje się że ten sam. Twarz piękna i inteligentna! panna śliczna jak Wenus... Co za szlachetny wyraz twarzy, jakie piękne okol...

— Wierzę, że będą szczęśliwi!

— Daj im Boże... Ludzi pożytecznej pracy co raz mniej na świecie.

Po wspaniałej wieczery, na której lał się potokami szampan, mieli państwo Witowie natychmiast rannym pociągiem wyjechać za granicę.

Cały plan był już gotowy. Radzono nad nim na Podwalu kilka tygodni.

Najprzód miano się zatrzymać w Dreźnie. Żadne miasto bliżej leżące nie było godne tak znakomitych gości.

Po Dreźnie i wycieczce do saskiej Szwajcaryi miano się udać nad brzegi Renu i tam miała Elzusia w kostiumie fantastycznym wśród gapiących się turystów odmalować kilka drzew nadbrzeżnych, jako pamiątkę do swego albumu z podróży. W tym celu uczyła się nawet od jednego z warszawskich artystów.

Po brzegach Renu następował Paryż — stolica świata.

Tam miano dłuższy czas przesiedzieć. Co tylko ta stolica miała do użycia, miano używać, a zarys kosztów do tego był olbrzymi!

Z Paryża postanowiono spuścić się na południe,

przejechać całą południową Francją, przebyć Pyreneje, i środkiem Hiszpanii, wśród lasów cytryn i pomarańcz, spuścić się na sam cypel Europy, a z Przyładka dobrej nadziei popłynąć morzem do kraju muzyki i makaronu, obaczyć Neapol, ale nie umrzeć, obaczyć Rzym i z odpustem dla wszystkich domowników wrócić na chwilę do kraju, aby trochę wypocząć po podróży na północ, po której znowu podróż na wschód miała nastąpić.

Wszystko to było naprzód ułożone, drobną rączką Elzusi stwierdzone i rozkosznym śmiechem pani Izajaszowej zapieczętowane.

Wybierając się w tak długą i daleką podróż, potrzeba było pozbyć się wszystkich ciężarów niepotrzebnych.

Przepyszne urządzenie domu odprzedał, czy jak inni twierdzili, oddał pan Wit kupcom, od których te drogie sprzęty były tylko na pół roku wypożyczone. Również i angielska karetka wraz z lokajami galonowymi wróciła gdzieś do szopy przemysłowca, od którego była wdzierżawiona.

Został się tylko sam pan Wit, w szarym surducie, z podróżną torebką.

Czekającej na ranny pociąg małżonce oświadczył, że z powodu wilgotnego powietrza przypomniawszy mu się pedogra, dla której podróż za granicę odłożył trzeba.

Małżonka skrzywiła się.

— Cóż będziemy robić? zapytała smutno — pomieszkowanie wynajęte, służba odprawiona....

— Pojedziemy ma chère do dóbr! odpowiedział z ironicznym uśmiechem pan Wit.

— Do dóbr?

— Tak jest, na wieś — do mojej rezydencji.

— Och, to strasznie nudno!

— Nie koniecznie, ma chère! Będziesz miała trawki zielone, chrząszcze wąsate, chmurki białe na niebie i ćwierkanie wróbli.... Wy, kobiety, które macie tak poetyczne natury, wy to lubicie....

— A podróż nasza?

— Podróż.... podróż można sobie wyobrazić. Gdy byłem młody, czytałem sławnego niemieckiego poety, który powiada że podróż jest to jazda z góry na dół i z dołu do góry i t. d....

Elzusia uderzyła go rękawiczką po ramieniu.

— Ty mon cher lubisz zawsze żarty stroić! rzekła z przymileniem.

— Tak... tak... madame, proszę to wszystko wziąć za żart... ot tak sobie za żart dziecka.

I rozśmiał się pan Wit śmiechem pełnym i serdecznym, który Elzusi boleśnie do duszy wniknął.

Z dobrą jednak i wesołą miną zgodziła się na tymczasowy wyjazd na wieś do pałacu, jak się wyrażał p. Wit, w nadziei że to potrwa tylko dni kilka.

Zajechał prosty wózek pocztowy.

Elzusi stanęły łyż w oczach. Niechając jednak w pierwszym dniu robić mężowi wymówki i mając to na względzie, że było jeszcze prawie ciemno, a zatem nikt ze znajomych widzieć jej nie mógł, siadła na wózek i zacisnęła drobne rączki ze złości.

Podróż do pałacu letniego trwała dziesięć godzin.

Czas ten skracala sobie Elzusia marzeniem tryumfalnego swego wjazdu do pałacu. Wyobrażała sobie, jak to ongi bywało, gdy nową dziedziczkę witali oficyaliści i poddani.

Widziała cały szereg białych ubranych dziewcząt z kwiatami... słyszała jakąś cudowną kantatę przez te dzieci natury czystym głosem odśpiewaną... wi-

działa nawet humorystycznie rysującego się baka-
larza, który szeroką gębą swoją ten śpiew prowa-
dził... Dalej widziała całą gromadę w strojach od-
świętnych... Starzy o siwych włosach gospodarze
zginali się do ziemi przed jaśnie panią, ofiarując jej
chleb i sól... nie chleb, i cukier.... Potem wyroiła
się służba w herbowej liberyi, w granatowych
frakach i czerwonych kamizelkach.... Kamerdyner
Francuz, mówił do niej niezrozumiałym dla gawie-
dzi językiem... Dalej ganek pałacu oszklony, oświe-
cony, kwiatami ubrany... Salony wykwiłtne, per-
skie dywany, buduar, galerya obrazów, trebhauzy
etc. etc. Pałac otoczony angielskim parkiem, figar-
nia i bażantarnia....

Wszystko to w uroczych obrazach przesuwało się
po przed oczy młodej mężatki, która teraz tylko
o tem marzyła, aby sobie niewygodną jazdę czem
bądź skrócić.

Wreszcie nad samym wieczorem spojrział pan Wit,
który dotąd drzemał, przed siebie i rzekł: Otóż je-
steścieśmy u celu!

Elżusia spojrzała także i ujrzała — wioskę biedną
z chatami mchem poroślemi....

Wioska była w nizinie położona nad brzegiem ma-
łej błotnistej rzeczki.

Jakkolwiek ziemia czarna mogła niejednego go-
spodarza zachwycić, jednak Elżusia zamknęła oczy,
aby tak prędko nie rozczarować się....

Po chwili obaczyła kościółek mały, dosyć zanie-
dbany. Za kościółkiem czernił się przysiadły do
ziemi budynek z poszarpaną od wiatru strzechą.

— Czy to uboga plebania? zapytała smutno.

— Nie, ma chère, to mój pałac.

— Pałac?

— Tak jest, pałac... w całym znaczeniu tego słowa.
I rozśmiał się na całe gardło pan Wit, aż się za-
kaszał i cały jak koral poczerwienił.

Elżusia osłupiałym wzrokiem patrzyła przed
siebie.

Zamiast spodziewanych owacyj gromady, było
wszędzie smutno i pusto. Czasami z okna wyrzała
błada twarz włościanina, ale na niej był jakiś dzi-
wny gniew że pan już wraca....

Pan Wit nie był lubiany.

Przed chatami tu i owdzie stały dzieci w koszu-
lach, brudne i rozczochrane. Zamiast kantaty, wznosi-
ły przeraźliwy krzyk i uciekały do sieni, jakby
obaczyły wilka...

Wreszcie wtoczył się wózek, przebywszy kilka
kałuż, na dziedzińcu obszarpanym płotem ogrodzony.

Na dziedzińcu nie było ani oficyalistów, ani służ-
by wyfrakowanej, ani kamerdynera Francuza.

Zawałana Małanka w brudnym fartuchu wybie-
gła na ganek i z uśmiechem ironicznym wpatrzyła
się w panią dziedziczkę....

Chłopiec od trzody, który pełnił także czasem
służbę służącego i lejblokaja, przyłączył się do niej
na czarnej jak noc koszuli i bure oczy wytrzeszczył
na nową panią z jakimś dziwnym nieokreślonym wy-
razem na głupiej twarzy swojej....

Elżusia była bliska omdlenia. Zamknęła oczy
i wysiadła z wózka.

W sieni uderzyła ją stęchlizna jakby z piwnicy.
Pełno w niej błota, brudów i śmieci....

W pierwszej izbie, ubogiej i dusznej, zastała kil-
ku ludzi, których wcale nie znała. Siedzieli na
płóciennych krzesłach, z których lepsze obicie już
dawno zniknęło i palili cuchnące cygara i fajki.

Był to najparadniejszy salon pałacu.

Elżusia zakasłała się z dymu, potrafiła jakieś stare buty leżące na ziemi i prawie bez zmysłów upadła na jakąś ławkę.

— Ah, jesteście! Dobrze, dobrze! ozwał się pan Wit do palących cygara, jestem wam wdzięczny żeście stawili się na moje zaproszenie.... Mam bowiem zaszczyt przedstawić wam swoją żonę... cha, cha, cha... moją żonę... moją żonę!

Elżusia dgnęła konwulsyjnie.

Zaproszeni goście powstałi z wylupionemi oczyma.

— Cha, cha, cha! Czy mi wierzycie? prawili dalej pan Wit... Elisabeth, ma chère — powiedz im sama, że jesteś moją żoną! Cha, cha, cha! moją żoną....

— Czyż to jest co tak dziwnego? zapytała z indignacją Elżusia.

— Al... trochę dziwne jest zawsze! Cha, cha, cha!... Powiedźże ma chère... bo to wszyscy... z wyjątkiem głupiego Lulu, który przed długami drapnął za granicę... bo to wszyscy są moi spadkobiercy... cha, cha, cha! spadkobiercy... Patrz jak skamienieli... Cha, cha, cha! Wypłatałem im kapitalnego figla...

Wszystkim jakoś wraz z Elżusią zabrakło głosu. W milczeniu osłupiałym wzrokiem patrzyli przed siebie.

— A co? Prawda że koncept wyborny? prawili dalej pan Wit, djabelnie założyłem wam za skórę, że ani trzech zliczyć nie możecie... Ożeniłem się, cha, cha, cha! ożeniłem się aby wam niespodziankę zrobić... Cha, cha, cha! I oto stoicie jak mężowie Galilei...

Zwołani krewni jeszcze do słowa przyjść nie mogli...

— Widzicie, mówił dalej wesoły dzisiaj pan Wit,

zakroilem zrazu na Małankę tylko, a ot widzicie, dostałem nawet coś lepszego... Cha, cha, cha! to wszystko na wasze umartwienie... Teraz nie macie już po co jeździć do mnie, nie potrzebujecie macać mnie czym już ostygł, czy jeszcze serce kołacze w pierśsi... Tego już wam nie potrzeba.... Tego już wam nie potrzeba.... Mam żonę... cha, cha, cha! mam żonę na wasze nieszczęście... Stary dziad, który, według waszej nadziei, miał lada dzień nogi zdradzić, stary dziad ożenił się i ma prawowitą żonę, a wy idźcie sobie z kwitkiem... Skończyłem.

Rzekłszy to, obrócił się plecyma do krewnych, a twarz jego gorzała taką radością, jakby to była najpiękniejsza chwila jego życia....

Elżusia w tej chwili zemdląła.

Pan Wit był teraz w zenicie szczęścia. Podczas gdy Małanka z brudnego garnka wodę na Elżusie lała, aby ją ocucić, chodził pan Wit jak tryumfator po izbie, patrząc z radością na skamieniałych krewnych.

Stary dziwak, pozbywszy się w młodych latach wszelkich szlachetniejszych uczuć człowieka, rozkoszował się dzisiaj na widok liczną rodziną obarczonych krewnych, którzy z osłupienia jeszcze do siebie przyjść nie mogli.

Chwila ta była dla niego najpiękniejszą chwilą życia.

Skąpiec, skeptyk, odarty z wszystkiego co lepszą stroną życia stanowi, trawił się po całych nocach bezsennych tą straszną zmorą, że pieniądze przez niego zebrane wezmą po jego śmierci krewni, którzy na tę śmierć jego tylko czyhają...

I długo, długo myślał nad tem, aby tym krewnym wyprawić jaką szatańską biesiadę...

I wreszcie wymyślił — ożenił się.

Zdawało mu się, że nie mógł boleśniejszego ciosu zadać spadkobiercom swoim, nie mógł z większą rozkoszą pastwić się nad ich męką przez ten czas niespodziewanej zadumy...

I cios ten dla biednych krewnych był rzeczywiście straszny. Osobliwie jeden z nich, ojciec ośmiorga dzieci i podupadły dzierżawca, który całą nadzieję w spadku po panu Wicie pokładał, przyprowadzony został tem do rozpacz.

I rozpacz swoje, stosownie do stopnia swego wykształcenia, objawił w sposób bardzo naturalny.

Posiwiął ze złości i krzyknął aż szyby zabrzęczały.

— Ty stary psie, ty łotrze, który za młodu brodziłeś w najohydniejszych kałużach życia — ty wydarłeś nam to, co nam się należało!...

I zaciwnąwszy pięć ogorzała, rzucił się na pana Wita z wściekłością.

— Ratujcie! Zabijają mnie! krzyknął przerażliwie pan Wit przyparty do ściany.

Z pięciu krewnych, trzech przyłączyło się na jedną, dwóch na drugą stronę. Krzesła, stołki trzeszczały, szyby wylaływały z okna, obrazy spadały na podłogę.

Małanka dużym garnkiem broniła pana swego, ale z garnka tylko ucho zostało jej w ręku. Przyszędł jej na pomoc lejblokaj i pastuch z ogromnym kołem, a nie wybierając gdzie uderzy, machał na prawo i lewo bez względu, czy to była głowa pana Wita, czy kufak jednego z krewnych.

Elżusia była podczas tej sceny bezprzytomna....

Zbiegła się wreszcie cała służba. Ekonom, gu-mienny, parobek — wszystko co żyło wtłoczyło się do izby, jedni drzwiami, drudzy przez okna.

Bitwie pomiędzy krewnymi położono koniec, ale tak jakoś niezręcznie broniono pana Wita, że tenże przy tej obronie więcej guzów oberwał, niżeli był powinien. Podejrzrywano ekonoma i lejblokaja, że stało się to z ich wiedzą i wolą....

Tak rozpoczął się pierwszy dzień małżeńskiego pożycia państwa Witów!...

Dalsze dni nie były o wiele lepsze.

EPILOG.

Zemsta nad czyhającymi na jego śmierć krewnymi, była głównym powodem ożenienia się p. Wita.

Gdy tej zemsty pan Wit dokonał i z szatańskiej radości swojej nieco się uspokoił, okazało się że w rachubie swojej pomylił się.

Pozbył się wprawdzie przez ożenienie się swoich krewnych jako najbliższych spadkobierców, ale zato nabył nowego spadkobiercę, którym była jego żona.

Powoli więc zaczął nienawiść, jaką miał dla dawnych spadkobierców, przenosić na żonę, a nienawiść ta postępowała tem chyżej, im bliżej niego był przedmiot tej nienawiści.

Rozczarowana, oszukana we wszystkich swoich marzeniach, Elżusia cierpiała teraz okropnie, cierpiała jak tylko kobieta cierpieć umie i potrafi.

Od rana do nocy kapana we łzach, musiała jeszcze do Warszawy pisywać listy, w których wiele o swoim szczęściu mówiła....

Duma czy raczej pycha nie pozwalała jej przyznać się w obec tych, którzy jej losu zazdrościli, do swego nieszczęścia. Połykała łzy, zaciskała z bólu wargi, a pisała że jest szczęśliwą, że bawi się sielankowemi rozkoszami....

Podobne listy piszą się często do przyjaciółek i krewnych od młodych mężatek. Na listach tych często można odkryć ślady łez....

Ludzie nie lubią przyznawać się do nieszczęścia, jeżeli sami stali się do tegoż powodem... i im więcej dolega im to nieszczęście, tam więcej jest w listach szczęścia i radości!...

Elżusia nawet do matki pisała o swoim szczęściu, bo wiedziała że matka te listy sąsiadkom czytać będzie....

Litość tylko od przyjaciela jest słodką jałmużną — litość świata jest gorzkim, trapiącym chlebem!..

Elżusia nie chciała od nikogo litości — pisała do wszystkich że jest szczęśliwą, że mąż koniecznie napiera na nią, aby podróżowali, ale ona tak wieś polubiła, tyle w niej odkryła czystych rozkoszy, że się wszelkiej podróży sprzeciwia i na wsi siedzieć woli....

Tak pisywała Elżusia.

Świata jednak tem nie oszukała. Ludzie wiedzieli o jej nieszczęściu, i to bardzo wielkiem nieszczęściu.

A nieszczęście to było bardzo naturalne.

Stary mąż, nasyciwszy się zemstą swoją nad krewnymi, przeniósł teraz wszelką nienawiść na żonę. Najpierwszym i bardzo naturalnym powodem tego był kontrast ich wieku.

Elżusia była młoda, cierpienia doznane wyszła-chetnily jej twarz — była prawie piękną!

Pan Wit był stary, skurczony, wyżyty. Ostatnia

jego gorączka zemsty, którą żył przez pół roku w stolicy, wyczerpała do reszty jego siły. Gdy ta gorączka sztuczna ustąpiła, zostawiła na jego twarzy liczne zmarszczki, jakie na śliwkach zostawia pierwszy wiatr zimowy.

Na pana Wita wionął teraz ten wiatr zimowy. Był on teraz starym, starszym nawet nad wiek swój.

Elżbieta odbijała od niego młodością i krasą.

Zgrzybiały mąż patrzył ze złością na jej twarz młodą i ładną, która tak wielkim kontrastem była jego starej pomarańczowej twarzy....

I wyrodził się pomiędzy nim a żoną bardzo naturalny, z różnicy wieku pochodzący antagonizm, który przechodził w najdrobniejsze szczegóły życia. Była między nimi wojna, ustawiczna wojna. Ale nie ta wojna wielka, bohaterska, która po jednej wielkiej bitwie z nieprzyjaciół robi sprzymierzeńców, ale tylko wojna podjazdowa, w której napada się znie-nacka na nieprzyjaciela lub z za płota do niego się strzela, a przytem zawsze go się niepokoi....

Pan Wit zrobił teraz z żony swojej drugą Małankę. Skąpiec aż do ostateczności, kazał jej wszystkim się trudnić w domu, co tylko jaką drobną oszczędność przynieść mogło, a zakazywał surowo tego wszystkiego coby, ład przyzwoity, czystość lub lepszą wygodę w życiu zaprowadziło.

Dom pana Wita, była to fabryka drobnych dochodów. Chleb pieczono z pośladu, pito kawę z mlekiem, jedzono mięso z dobitych cieląt, które zdechnąć miały... a wszystko inne spieniężano i pieniądze pod własnym swym kluczem chował pan Wit.

Elżusia była najnieszczęśliwszą służebnicą w domu. Wszystko złe o nią się opierało, wszystko musiała odpokutować....

Za to wszystko miała teraz te same wymówki, jakich pierwszej jej krewni słuchali.

Codziennie wymawiał jej z złością, starego, niedołężnego męża, że czyha na jego śmierć, że dlatego niezdrowe potrawy gotować każe, aby go otruć i czempredzej pójść zamąż....

Elżusia zalewała się łzami, ale łzy te podrażniały jeszcze żółć starego męża....

Kłutł ją ustawicznie jak szpilkami, każdy jej krok, każde spojrzenie natrafiało na te szpilki....

Była to dla niej śmierć powolna, było konanie nieustanne....

I tak przecierpiała nieszczęśliwa kobieta długie dwa lata.

Dłużej już wytrzymać nie mogła.

Upokorzyła się, przyznała do nieszczęścia i wróciła do matki na Podwał.

Ale była to już kobieta zupełnie złamana.

Ze wszystkich dawniejszych namiętności, pozostała jej tylko jedna, że się tak wyrażę, religijna namiętność.

Wszystko, co tylko życie kobiety stanowi, skupiło się, jak rozbiitek światowy, w tem jednym namiętnem uczuciu.

Z całym ogniem młodej duszy oddała się różnym zewnętrznym praktykom religijnym i stała się jedną z najgorliwszych penitentek.

Po całych dniach siadywała w kościołach. Wpisała się do rozmaitych bractw i pełniła wzorowo obowiązki na nią włożone. Spowiadała się co trzy dni, a całe długie wieczory poświęcała rozmyślaniami tajemnic religijnych.

Nigdy jej inaczej nie widziano jak w czarnej su-

kni. Chodziła piechotą, z głową spuszczoną ku ziemi, nie patrząc wcale na przechodniów.

W tym czasie przeniosła się pani Izajaszowa z Podwała do wieczności.

Elżusia po śmierci matki stała się jeszcze nabożniejszą. Teraz już jej nic nie wstrzymywało od praktyk różnych bractw religijnych. Cały czas poświęcała im i jeszcze więcej łaknęła!

Sumienie jej było nienasycone. Kiedy nie miała ani chwili spokoju, zawsze pragnęła i łaknęła dobrych uczynków i pokuty.

Religijność ta podniesiona prawie aż do fanatyzmu, zastępywała jej wszelkie inne uczucia, któremi karmi się serce kobiece. Wszystko było dla niej stracone prócz gorącej adoracji Boga i literalnego wypełnienia Jego zakonu.

W tem usposobieniu zaszło ją nowe zdarzenie. Zdaje się, że do tego zdarzenia była dostatecznie przygotowana.

Oznajmiono jej wyrok senatu, że złożony w depozycie milion do niej należy.

Roztrząsanie tej sprawy trwało trzy lata. Sprawa była bardzo zawiła. Przesłuchiowano świadków z Gdańska, badano cały żywot ś. p. Sebastjana.

Okazało się w końcu że jest wszelkie prawdopodobieństwo, iż ś. p. Sebastjan milion ten przeznaczył na jakieś cele dobroczynne, co pan Izajasz z chciwości zataił, ale z drugiej strony wyświecono, że ś. p. Bonawentura działał jako strona interesowana, jeździł do Gdańska, i z nabytych listów podrobił rękę ś. p. Sebastjana.

W takim razie nie było prawnych dowodów do zatrzymania pieniędzy na rzecz ubogich, chociaż

z drugiej strony było moralne przekonanie, że te pieniądze im się należą.

Według litery więc prawa oddano pieniądze sukcesorom, chociaż na tych pieniądzech ciążyło zawsze podejrzenie nieprawego posiadania....

Gdy się Lulu o tem dowiedział, o mało co reszty rozumu nie stracił, a pan Wit przyjechał znowu do Warszawy ładnym koczkiem, aby z żoną traktować o powrót.

Tym razem jednak była Elżusia nieubłagana. Chciała zostać samą i być panią swojej woli i swego miliona.

Stosownie do swego dzisiejszego usposobienia rozrządzała majątkiem swoim. Zakłady dobroczynne, kościoły i rozmaite instytucje mające na celu dobro publiczne, miały w niej gorliwą opiekunkę, która nie szczędziła pieniędzy.

I tak pieniądze owe, na których ciążyło podejrzenie że są własnością ubogich, przechodziły z wolna na rzecz tych ostatnich, ale już nie drogą prawa, ale drogą, jaką Bóg wybiera do wielkich nieocfionych celów swoich....

Elżusia była przekonaną że ten milion prawem jej się należy, ale czuła oraz w duszy swojej potrzebę jałmużny, potrzebę dobrych uczynków, przez co ten milion na rzecz ubogich przechodził.

Jałmużną i dobrymi uczynkami karmiła teraz biedne serce swoje, które za drogą raz źle obraną musiało pokutować i wyrzec się tego wszystkiego, co szczęście kobiety stanowi....

Gmin zwykły, który w tajniki psychologiczne nigdy nie wnika, tylko sam fakt widzi — powiedział krótko i węzłowato, że niesłusznie nabyte pieniądze wracają zawsze tam, gdzie były przeznaczone,

jeżeli nie zaraz to przez, drugą albo trzecią generacją.... Być może że gmin ma słuszość....

Biedna pokutnica, oplakując złamane życie swoje, miała jeszcze tę pociechę, że po każdym dobrym uczynku, po każdej jałmużnie, po każdym datku na wyższe społeczne cele, doznawała złagodzenia cierpień swoich i dziękowała tylko Bogu, że jej dał czem ten ból koić....

I jakoś łżej i znośniej było jej na świecie.

A pan Wit, jakby na utrapienie swoich spadkobierców, jest zdrów i żyje, jakby chciał żyć lata matuzalowe....

* * *

Możeby jeszcze chciał ktoś wiedzieć coś o Floryanie i Bronisławie?

Należą oni do grona tych cichych pracowników, o których świat najmniej mówi, choć im najwięcej zawdzięcza.

Również niemożna powiedzieć, aby ta cicha i rzetelna praca była wynagrodzoną jakimi wysokimi honorami i zaszczytami...

Społeczeństwo nasze nie ma nagrody materyalnej dla takich pracowników, ale zato daje im wewnątrz duszy spokój i pogodę, która stanowi najwyższe szczęście, jeśli jest rezultatem sumiennie spełnianych obowiązków.

Należy się spodziewać że Floryan i Bronisława są szczęśliwi.

Do szczęścia swego wnieśli oni pokrewne sobie kapitały — cierpień niedoli przebytej i pracy, co często nie jeden posag przynosi...

K O N I E C

268497

